KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 5/115 1957



• « La Culture » • Revue mensuelle •

Al. HERTZ : **CZARNA AMERYKA**

G. HERLING-GRUDZIŃSKI : **SĄD OSTATECZNY**

MŁODZI POECI WROCŁAWSCY

DOKUMENTY - ZESZYT III

SPIS RZECZY



KRAJ

ARCHIWUM POLITYCZNE

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

KRONIKA KULTURALNA

KSIĄŻKI

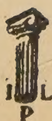


DOKUMENTY — ZESZYT III.

KULTURA

zkice • Opowiadania • Sprawozdania

ARYŻ Maj-Mai 1957



NSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA BIBLIOTEKĘ NARODOWĄ

Adam Kozłowski, Rio de Janeiro (Brazylia)	26.250 f
Edward Pomorski, Bruksela (Belgia)	350 "
Jan E. Grodzki, Clifton, N.J. (USA)	700 "
Henryk Schoenfeld, London, Ont. (Kanada)	4.500 "
E. Królikowski, Londyn (Anglia)	1.250 "
Andrzej B. Liebich, Montreal, Que. (Kanada)	3.800 "
M.A. Krystyniak, Pretoria (Afryka Poł.)	2.000 "
E.Ł. Hołdanowicz (W. Brytania)	1.000 "
L.E. Hołdanowicz (Polska)	1.000 "
B.L. Hołdanowiczówna (Polska)	1.000 "
Gustaw Herling-Grudziński, Neapol (Włochy)	3.500 "
Zbigniew Jordan, Paryż	5.000 "
Abraham Anyż, Meksyk	3.500 "

Zbiórka na terenie Argentyny, przeprowadzana przez przedstawiciela ,,Kultury" - Składnicę Książki Polskiej wspólnie z T-wem ,,Klub Polski" oraz T-wem Miłośników Historii przyniosła do dnia 1 kwietnia rb. łączną sumę *pesos* 3.35

Na sumę tę złożyli się: 1) Składnica Książki Polskiej: 100 pesos; 2) T-w ,,Klub Polski": 1.000 pesos; 3) Tadeusz Dąbrowski: 100 pesos; 4) J remi C. Stempowski: 300 pesos; 5) Izydor Dowgiałło: 100 pesos; (Albert Bukiet: 100 pesos; 7) Jan Rygier: 100 pesos; 8) Wanda Wacław Kozłowscy: 500 pesos; 9) Stanisław Lis Kozłowski: 50 pesos; 10) Joachim Mandrysz: 100 pesos; 11) Jan Stefan Ryniewic 100 pesos; 12) Stosław Kowalski: 100 pesos; 13 Jan Bieles: 5 pesos; 14) Witold Tołłoczko: 50 pesos; 15) Jan Łaszewski: 50 pesos 16) Ewa Banach Maciejewska: 50 pesos; 17) Apolinary Żebrowsk 50 pesos.

DZIĘKUJEM



DALSZE WPŁATY NA DOM "KULTURY

Od czytelników z Kraju	12.500 f
Kazimierz Netzel, Barcelona (Hiszpania)	1.000 "
Irena i Stanisław Mrozowscy, Buffalo, N.Y. (USA) dodatk.	2.000 "

DZIĘKUJEM

Imprimé en France

Czarna Ameryka

(Z CYKLU ,,REFLEKSJE AMERYKAŃSKIE''

W jakimś piśmie krajowym przeczytałem kiedyś (a było to w okresie największego nasilenia stalinowskiego ,,mrozu'' w Polsce), że sprawa murzyńska jest jedną z tych, które w Ameryce są wstydliwie przemilczane. Wstydliwie przemilczana sprawa ! Mój Boże ! Najwidoczniej autor polski nie mógł sobie wyobrazić, by tak drażliwa sprawa mogła nie być przemilczana. Byłoby to zgodne może z tradycjami polskimi, kiedy to uważało się za właściwe nie mówić o sprawach ,,drażliwych''. Choćby o sprawie antysemityzmu. Ale w Stanach Zjednoczonych — i to jest jedna z najbardziej pociągających stron Ameryki — zawsze znajdą się ludzie, którzy odważnie i z pasją mówią o najbardziej drażliwych sprawach.

I sprawa murzyńska z pewnością nie jest w Ameryce przemilczana. Jest głośna, bardzo głośna. Wciąż zajmuje się nią opinia publiczna — prasa, radio, stowarzyszenia. Poświęcona jej jest olbrzymia literatura — piękna i naukowa. Kto potrafi przeczytać wszystkie książki, które na ten temat zostały napisane ? I wciąż są pisane. Zagadnienie murzyńskie jest badane i dyskutowane. Przecież jedna z najpoważniejszych instytucji zaprosiła specjalnie Gunnara Myrdala, by kilka lat poświęcił w Stanach Zjednoczonych na badanie problemu Czarnej Ameryki. Zaproszono Szweda, wybitnego uczonego o sławie światowej, właśnie po to, by mieć bezstronne, wolne od namiętności opracowanie tematu. I zrobiono *wszystko,* by Myrdal mógł pracę swą prowadzić. Wyszło z tego fundamentalne dzieło (An American Dilemma, the Negro Problem and Modern Democracy), jedna z najgłębszych prac, jakie w ogóle o cywilizacji amerykańskiej zostały

napisane. A były tam rzeczy dla Ameryki przykre, nawet — bolesne. Ale nikt na autora się nie obruszał. Jego książka do czekała się wielu wydań, była czytana, studiowana, ba — stał się punktem wyjściowym dla całej szkoły badań.

Nie, sprawa murzyńska z pewnością nie jest wstydliwi przemilczana w Stanach Zjednoczonych! Sprawa ta jest tu od czuwana nadzwyczaj boleśnie, namiętnie — zarówno przez Czar nych jak i przez Białych, przez zwolenników pełnej integrac i jej przeciwników. Myrdal słusznie uważa ją za jedną z domi nant duchowego klimatu Ameryki, za punkt wyjściowy dl wniknięcia w duszę tego narodu. Jest to trafne nawet w odnie sieniu do Północy, gdzie problem murzyński przedstawia si stosunkowo dość łagodnie. A cóż dopiero mówić o Południu!

Spróbujmy rozważyć ten problem. A zacząć musimy o przypomnienia pewnych faktów historycznych. Taka dygresj w przeszłość będzie przydatna dla zrozumienia zjawisk teraź niejszości.

Wśród różnych pasm przędzy, które złożyły się na tkanin Ameryki, Murzyni są jednym z najstarszych. Początki ich po bytu w Ameryce łączą się z początkami tego kraju. Albo racze — części tego kraju. To zaś, że najwcześniej zjawili się oni na Południu, miało swe uzasadnienie historyczne. Albowiem od sa mego początku Ameryka wykazywała znaczne zróżnicowani społeczne i gospodarcze. Było to następstwem różnych czynni ków, wśród których geograficzne i klimatyczne odgrywały po ważną — choć nie wyłączną — rolę.

Kolonialna Ameryka rozwijała się na stosunkowo wąskim pasmie ziemi między Atlantykiem a górami. Pasmo to inacze wyglądało na Północy i inaczej na Południu. Na Północy góry zbliżają się do oceanu, są tu dość wąskie i długie doliny rzek — Hudsonu, Connecticut, Susquehanna i innych — linia brzegowa jest bardzo wycięta, pełna głębokich zatok, jakby stworzonych dla powstawania wielkich miast portowych. Do tego klimat jest raczej umiarkowany, zbliżony do południowo-europejskiego. Ko lonizacja rolnicza, która tu się rozwijała, była w dużym stopniu przedłużeniem tego, co było w starej Europie. W dolinie Hud sonu pierwszymi kolonistami byli Holendrzy, wierni tradycjom gospodarczym i społecznym swej ziemi macierzystej. Warunk nie sprzyjały tu tworzeniu się wielkich latyfundiów. Gospodark rolna miała charakter rodzinny, obszary uprawne nie były znacz ne. Olbrzymia większość gospodarstw mogła się obywać be pomocy zewnętrznej. Nie wiele się to różniło od gospodarstw chłopskich w Europie Zachodniej. Później nastąpiły tu wielki zmiany, ale było to znacznie później.

Południe prezentuje się zupełnie inaczej. Tu góry odsuwaj się od wybrzeża i między nimi a Atlantykiem ciągnie się wielk równina, miejscami bagnista. Klimat jest gorący, im bardzie ku południowi tym bardziej nabierający cech tropikalnego. Lini brzegowa jest stosunkowo niezbyt wycięta. A gospodarka o samego początku opierała się na nadaniach królewskich, niera

bardzo znacznych, obejmujących duże obszary ziemi. Istniały tu wszelkie dane dla rozwinięcia się gospodarki typu plantatorskiego.

W wieku XVII plantacje te przede wszystkim uprawiały tytoń, a obok niego — trzcinę cukrową, indygo, ryż itp. Od końca wieku XVIII zaczęła tu panować bawełna, owa królowa bawełna (King Cotton), która aż dotąd wyznacza oblicze agrarnego Południa.

Gospodarka plantatorska nie może mieć charakteru rodzinnego. Wymaga ona rąk do pracy, rąk licznych i bardzo tanich. Takich rąk na miejscu nie było. Miejscowi Indianie na plantacjach pracować nie chcieli. Zresztą nie było ich wielu, a poza tym byli bardzo trudni do ujarzmienia. Potrzebne były inne ręce robocze.

Były to ręce niewolnicze i dostarczała ich Afryka, ściślej — północno-zachodnie pobrzeże Afryki. W wieku XVII niewolnictwo wciąż jeszcze nie było czymś osobliwym i wywołującym gwałtowne sprzeciwy moralne. Na to kolej przyszła znacznie później. Przecież w wieku XVII na znacznych obszarach Europy — by nie mówić o Azji i Afryce — panował system poddańczo-pańszczyźniany, który w praktyce nie wiele się różnił od niewolnictwa. Aż do połowy wieku XIX handel ,,duszami'' był w Rosji zjawiskiem powszechnym i prawnie uznanym. Trudno się więc dziwić plantatorom Virginii, że bez skrupułów przyjęli propozycję dostarczania im niewolniczej siły roboczej. Widzieli w tym tylko rozwiązanie ich trudności gospodarczych.

Do tego niewolnicy byli Murzynami. W wieku XVII znane były teorie o ,,naturalnej'' niższości ras czarnych i o ich przeznaczeniu do służenia białym. Teorie te opierały się na różnych interpretacjach Biblii i były wzmacniane przez ideologie purytańskie z ich koncepcją wybrańkstwa jednostek i całych grup ludzkich. Czarni jako potomkowie Hama byli odpowiedzialni za postępek swego praojca, który tak niewłaściwie zachował się wobec własnego rodzica. A więc za karę obowiązani byli służyć potomkom Sema. Te koncepcje zachowały swą żywotność aż do naszych czasów i sam bardzo niedawno czytałem sprawozdanie z pewnej konferencji religijnej, na której udowadniano, że z Biblii wcale nie wynika, by Ham i jego dzieci mieli czarną skórę...

Jest rzeczą jasną, że teorie tego rodzaju były znacznie mniej rozpowszechnione w środowiskach katolickich niż protestancko-purytańskich. Kościół katolicki nigdy ich nie głosił i nigdy nie występował przeciwko integracjom międzyrasowym, nawet jeżeli godził się z faktem istnienia niewolnictwa. To nam w dużym stopniu tłumaczy dlaczego w krajach katolickich nie utrwaliła się doktryna niższości ras czarnych i dlaczego konflikty takie, jakie cechują życie amerykańskie, w krajach tych albo nie występowały, albo zaznaczały się bardzo słabo. Wszędzie tam, gdzie purytanizm mocno umiał zaznaczyć swą obecność, wytwarzała się atmosfera, sprzyjająca filozofiom rasistowskim.

Na temat ten dużo pisano i tu na szczególne podkreślenie za-
sługują prace profesora Franka Tennenbauma.

Północno-zachodnia Afryka już w starożytności była dostaw-
cą niewolniczej siły roboczej. Handel niewolnikami miał tam
swoje tradycje, był instytucją istniejącą od stuleci. Pozostawał
on w rękach kupców arabskich, którzy wzdłuż wybrzeża, a
mniej więcej po rzekę Kongo, utrzymywali szereg osiedli i stacji
handlowych. Robili oni wyprawy na pół wojenne w głąb kraju,
by zagarniać niewolników, ale jeszcze częściej prowadzili handel
z miejscowymi plemionami, które kupcom arabskim odstępowały
jeńców, zabranych w wojnach międzyplemiennych (niektóre
z tych plemion były bardzo wojownicze), czy nawet mniej pożą-
danych rodaków. Wszystko to — powtarzamy — miało swoją
długą tradycję.

I właściwie jedyną inowacją, jaką wprowadził tu wiek
XVII, było ogromne wzmożenie się tych operacji. Zapotrzebo-
wanie na czarny towar było teraz bardzo duże. Do wybrzeża
Afryki napływali kapitanowie statków angielskich, holenderskich
czy francuskich lub portugalskich, by przeprowadzać transakcje
handlowe z lokalnymi arabskimi eksporterami żywego towaru.
Handel kwitł ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych stron.
Czy zadowolony był sam towar — to już inna sprawa!

Towar ten był dowożony do Ameryki i sprzedawany na
plantacje Virginii i Indii Zachodnich. Oczywiście tylko część
tych czarnych, których ładowano na statki, docierała do samych
plantacji. Olbrzymia część ginęła po drodze. Podróż przez ocean
w warunkach ówczesnych nie należała do łatwych. A cóż do-
piero, gdy się ją odbywało w potwornym tłoku, o głodzie, gdy
odbywali ją ludzie (towar był przecież złożony z istot ludzkich!)
gwałtownie i nieoczekiwanie wyrwani z ram określonej egzys-
tencji, znanej im dobrze i przez nich rozumianej. Rekiny stale
towarzyszyły statkom niewolniczym i pokarmu im nie brako-
wało. Kupcy liczyli się z tymi stratami i odpowiednio kalkulo-
wali ceny niewolników, których udawało się dostarczyć na
rynek. Na szczęście dla kupców zapotrzebowanie było duże,
a Afryka zasobna w towar.

Był to towar żywy zarówno w sensie biologicznym jak
i społeczno-psychicznym. To ostatnie było szczególnie doniosłe.
Czarni byli ludźmi określonych cywilizacji, dziećmi systemów
plemienno-rodzinnych właściwych tym częściom Afryki. Mieli nie
tylko ciało, ale i duszę. Zostawali brutalnie wyrywani z warun-
ków dotychczasowego istnienia i przerzucani do warunków zu-
pełnie innych, dla nich nowych i obcych. Rzecz jest nie w tym,
że stawali się niewolnikami, że tracili wolność. Wolności w tym
sensie, jak ją dziś rozumiemy, i przedtem nie mieli. Człowiek
„natury" jest fikcją stworzoną przez racjonalizm i sentymenta-
lizm wieku XVIII. Czarni Afrykańczycy wyszli z cywilizacji,
w których pojęcie „wolności" nie istniało i istnieć nie mogło.
Tragizm czarnych niewolników nie polegał więc na tym, że
tracili wolność. Był on bodaj jeszcze większy i boleśniejszy: po-

legał na zniszczeniu całego sposobu życia człowieka, na przekreśleniu wszystkich wartości, z jakich człowiek ten wyrósł, na przerwaniu wszystkich więzi, jakie go łączyły z ludźmi innymi.

To niszczenie podstaw duchowych niewolników było robione świadomie i celowo. Handlarze dbali o to, by w tej samej gromadzie niewolniczej byli ludzie wywodzący się z różnych rodów i plemion, ludzie mówiący różnymi językami i narzeczami, obcy sobie, niezdolni do utrzymania jakichś więzi dawnej solidarności rodowo-plemiennej. Proces przemieszania czarnych był prowadzony bardzo systematycznie, zwłaszcza na terenie Virginii. Znacznie mniej systematycznie był on stosowany w Indiach Zachodnich, co, jak będzie o tym jeszcze mowa, miało swe poważne następstwa. W Wirginii natomiast na jednej i tej samej plantacji spotykali się niewolnicy, którzy nawet porozumieć się ze sobą nie mogli. Stąd tak szybko zaginęły tu tradycje dawnych języków afrykańskich, których miejsce zajęła prymitywna angielszczyzna. To, że żywy towar był w swej większości złożony z młodzieży (starsi nie mogli być właściwym obiektem handlu), musiało również być ważnym czynnikiem zatracania się dawnych więzi.

Ale nawet ludzie młodzi tragicznie odczuwali to wyrwanie ich z tradycyjnych kolein życia. Nie byli już dziećmi. Coś i kogoś za sobą zostawili. Mieli teraz przystosowywać się do zupełnie nowych warunków życia. Przemieszanie i płynące stąd osamotnienie duchowe jednostki (choćby tylko w okresie początkowym) musiało straszliwie ciążyć na pierwszych krokach na nowej ziemi.

II

Robione są nieraz analogie między dolą Murzynów amerykańskich a dolą, na przykład, takich grup etnicznych jak Żydzi we Wschodniej Europie. Niewątpliwie są tu punkty styczności. Ale wynikają one z ogólnej sytuacji wszelkich gromad ludzkich, żyjących w sztywnych ramach systemów kastowo-ghettowych. Kasta wyciska piętno na swoich członkach, niezależnie od tego, czy są oni w Ameryce czy w Europie, w Azji czy w Afryce. I tam samo proces rozpadania się systemu kastowego wytwarza wszędzie analogiczne postawy w samej grupie i analogiczne reakcje w otoczeniu. To, co w Ameryce mówi się o Murzynach, że są „uppity”, żywcem przypomina oskarżanie Żydów o „arogancję”. Ale podobieństwa te nie sięgają zbyt daleko i nie mogą zasłonić zasadniczych różnic.

Przede wszystkim Żydzi w Europie Wschodniej byli grupą o niezmiernie żywych i bogatych tradycjach kulturalnych, o wielkiej spuściznie religijnej, prawnej, literackiej, obyczajowej itd. Mieli poczucie swej ciągłości historycznej i poczucie swej roli dziejowej, co starali się zachować i rozwinąć. Tego w żadnym wypadku nie można powiedzieć o amerykańskich Murzynach.

Ich związek z Afryką i jej cywilizacjami był raptownie prze-rwany. Przemieszanie i warunki życia na plantacjach sprawiły, ż nie mogła się wytworzyć afrykańska ,,diaspora'' że nie mogł się utrzymać żadne tradycje przeszłości. Jedynie w Indiach Za-chodnich, zwłaszcza na Haiti, gdzie przemieszanie nie było ta znaczne, utrzymały się jakieś tradycje dawnych wierzeń i oby-czajów. Ale i one były szczątkowe i nie jest rzeczą pewną, i na przykład w ,,voodoo'' jest z Afryki, a ile z dodatków póź-niejszych. Zresztą i tam szybko zaginęła więź językowa.

W Ameryce północnej nawet i takie szczątkowe formy ni utrzymały się. Są wciąż próby doszukiwania się pewnych pozo-stałości afrykańskich w folklorze czarnej Ameryki. Ale jeże takie pozostałości rzeczywiście istnieją (co wcale nie jest pewne to w całokształcie życia Murzynów amerykańskich są one czym podrzędnym, w żadnym stopniu nie wpływającym na oblicz czarnego Amerykanina i jego gromady.

Murzyn amerykański powstał w Ameryce, tu jest jego ko-lebka i tu są jego dzieje. Kolebką jego była plantacja południowa Urodził się pod znakiem tytoniu, zaczął dojrzewać pod znakier bawełny. Cała jego historia jest nierozdzielnie związana z roz-wojem cywilizacji amerykańskiej. Jest produktem tej cywilizacji Z niej czerpie swe treści, z niej wyprowadza swój rodowód, je zawdzięcza swą dolę i niedolę. Jest Amerykaninem. Dzięki spe-cyficznym warunkom rozwoju tej cywilizacji stał się ,,czarnym' Amerykaninem, ,,czarnym'' w sensie nie tyle biologicznym, il społecznym i psychicznym. Ale jest Amerykaninem. I tak patrz na siebie. Patrzeć inaczej nie może. I dlatego nonsensem jes mówić o czarnych Amerykanach jako o mniejszości narodowej analogicznej do tych, jakie znamy z doświadczeń starej Europy

Parę razy w dziejach czarnych Amerykanów były prób rozbudzenia w nich idei powrotu do afrykańskiej praojczyzny Było to coś w rodzaju sjonizmu afrykańskiego. Ale — cho z jedną z tych prób związane jest powstanie republiki Liber w Afryce — wyniki ich były bardzo mizerne i ów afrykańsk ,,sjonizm'' nigdy naprawdę nie sięgnął do szerszych mas czar-nych Amerykanów. Masy te były amerykańskie i za takie chciał się uważać.

Na marginesie warto tu dodać, że sprawa ta pozostaj w związku z niepowodzeniem komunistów w masach Czarn Ameryki. W latach dwudziestych w Moskwie wymyślono, ż jeden ze stanów amerykańskich powinien być całkowicie wy-znaczony na osiedlenie się tam Murzynów. Mędrcy moskiewsc uważali, że Murzyni jako *mniejszość narodowa* powinni mie osobny teren dla siebie. Był to pomysł szalony. Pomijając ju reakcje białej ludności, niesłychanie ostro przeciwko niemu wy-stąpili sami Murzyni. Proponowano im właśnie to, czego o w żadnym wypadku nie chcieli. Proponowano im wydzielenie s narodowe czyli *segregację,* gdy ich dążeniem była *integrac* z resztą Ameryki. O tej sprawie zresztą wypadnie nam szerz mówić dalej. Tu jedynie zaznaczamy, że czarny Amerykanin je

daleki od wszelkiej koncepcji narodowo-mniejszościowej. Jest i chce być Amerykaninem.

Nie ma też odrębnej cywilizacji czarno-amerykańskiej. To, co swoiście cechuje Murzynów amerykańskich, jest owocem tych specyficznych warunków, jakie w stosunku do nich stworzyła cywilizacja amerykańska. Odrębności czarnego Amerykanina mieszczą się w tej masie odrębności regionalnych, klasowych, kulturalnych w ogóle, jakie wynikły z rozwoju Ameryki i jakie składają się na całość amerykańskiej rzeczywistości narodowej.

Sprawę tę trzeba od razu postawić bardzo jasno. Murzyn amerykański jest czarnym Amerykaninem. Posiada pewne swoiste zewnętrzne cechy anatomiczne, ale kulturalnie nic go nie łączy ze światem Afryki. Mogą być w nim jakieś sentymenty pro-afrykańskie, może — jeżeli jest uczonym lub pisarzem — pasjonować się cywilizacjami afrykańskimi, może nawet w stwierdzeniu ich bogactwa znajdować argument na rzecz swego prawa do znaczenia, ponieważ wniósł swój wkład w życie Ameryki. To ostatnie zresztą jest już czystym mitem, z którym jednak spotkać się można w pewnych środowiskach czarnych intelektualistów. Wszystko to jednak razem nie zmienia faktu, że dla amerykańskiego Murzyna Afryka jest czymś obcym i dalekim. Krajem jego jest Ameryka, jego cywilizacją jest cywilizacja amerykańska.

III

Jak wyglądała ta kolebka Czarnej Ameryki — południowa plantacja? Harriet Beecher Stowe dała nam wstrząsający opis tragicznych losów Wuja Toma. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że szlachetna pisarka dała tu znacznie więcej *Dichtung* niż *Wahrheit*. Była propagatorką pewnej idei, ale nie obiektywną malarką ludzi i instytucji. W jej czasach wypadki okrucieństwa, o jakich mówiła, były czymś wyjątkowym. Przede wszystkich od końca wieku XVIII ustał dopływ siły niewolniczej z Afryki. Podaż zmniejszyła się, ceny na niewolnika poszły w górę. Ludzie są dbali o rzeczy kosztowne. Każdy plantator dobrze rozumiał, że okrucieństwo wobec niewolnika może go uderzyć po kieszeni. Tak kiedyś było u zmierzchu państwa rzymskiego: ustał dopływ niewolników, ceny na nich rosły i w następstwie dola ich znacznie się poprawiła.

Ale i w wieku XVII, gdy dopływ żywego towaru z Afryki był tak znaczny i tym bardziej w wieku XVIII, gdy dopływ ten zaczynał się zmniejszać, położenie czarnego niewolnika nie zbyt różniło się od położenia pańszczyźnianego chłopa europejskiego. W wielu wypadkach było raczej lepsze. Z pewnością chłop rosyjski czasów Katarzyny II miał się znacznie gorzej niż czarny niewolnik amerykański.

Tym niewolnikom, którzy tworzyli obsługę osobistą plantatorów — kamerdynerom, lokajom, kucharzom, pokojówkom,

niańkom i tak dalej — powodziło się nawet bardzo dobrze. Szczególnie w wieku XVIII, w okresie największego rozkwitu gospodarki plantatorskiej, każdy zamożniejszy plantator utrzymywał na swym dworze potężny sztab czarnej służby. Była to arystokracja świata niewolniczego. Wpływ ich na dwór i na samego pana bywał bardzo znaczny. Było też rzeczą bardzo częstą, że między panem i jego rodziną a czarną służbą wytwarzały się więzi mocnego sentymentu, wzajemnego przywiązania i oddania. Folklor amerykański pełen jest opowieści i wspomnień o czarnych kamerdynerach czy stangretach i szczególnie o czarnych niańkach, owych słynnych ,,mammies'', które wychowywały młode pokolenia, były wiernymi przyjaciółkami swych pań, nieraz prawdziwymi tyranami, gdy chodziło o młodzież. Takie stosunki przechodziły z generacji w generację, i pod względem swej treści emocjonalnej były dalekie od chłodu, by nie mówić o brutalności.

Przy wszystkich swych różnicach, cała gospodarka plantatorska na Południu miała bardzo wiele wspólnego z gospodarką pańską feudalnej czy po-feudalnej Europy. Dwór plantatorski niezbyt się różnił od zamożnego dworu ziemiańskiego w Starym Świecie. Gdy się czyta amerykańskie wspomnienia z tego czasu, znajduje się w nich coś bardzo znanego i bliskiego — atmosferę jakże podobną do atmosfery polskiego dworu szlacheckiego sprzed stulecia czy dwóch. Tylko że atmosfera na południowym dworze plantatorskim była na ogół bardziej wyrafinowana, pozbawiona tej rubaszności, jaka tak często cechowała dwór mniejszego szlachcica polskiego.

Intymność stosunków między panami a niewolnikami sięgała bardzo daleko. Jednym z jej następstw jest ta kolosalna ilość mieszańców — mulatów, kwarteronów itd. — jaka uderza nas w Stanach Zjednoczonych. Możliwe, że mieszańcy znajdowali się już wśród przywożonych do Ameryki niewolników. Północno-zachodnia Afryka od wieków znała białych. Arabowie nie brzydzili się ładnymi Murzynkami. Ale te przed-amerykańskie naruszania czystości rasowej — jeżeli były — mogły być czymś raczej sporadycznym. Mulat amerykański jest przede wszystkim produktem naruszania czystości rasowej przez białych na ziemi amerykańskiej. I wobec tej ogromnej ilości mieszańców w Stanach Zjednoczonych dość zabawnie brzmią argumenty tutejszych rasistów na temat ,,naturalnego'' wstrętu białych do mieszania się z czarnymi.

Ten ,,naturalny'' wstręt nie musiał być silny na plantacjach. Ani w sensie seksualnym, ani w żadnym innym. Ze strony białych panów nie było do czarnych jakiejś pogardy, ani nienawiści, ani nawet — pomijając rzadkie wypadki — jakiejś specjalnej bezwzględności.

Oczywiście wszystkiego tego nie można idealizować. To nie była idylla, choć nie było i piekło. Białemu nawet na myśl nie przychodziło traktować czarnego jako równego. Niewolnik był białego *własnością*, ale własnością, którą się lubiło, często

bardzo ceniło i do której nieraz odnosiło się serdecznie czy choćby życzliwie.

Nie było w tym nic osobliwego. Analogiczne postawy spotykają się wszędzie, gdzie istnieje niewolnictwo, i były one dobrze znane w feudalnej Europie. Wszędzie tam stosunek pana do niewolnika czy poddanego miał charakter wysoce ambiwaletny. Niewolnik-poddany był częścią składową szerszego systemu stosunków, którego ośrodkiem był pan i jego rodzina. W systemie tym niewolnik-poddany był wartością bardzo ważną — przede wszystkim dla samego pana. Był taką wartością zarówno w sensie ekonomicznym jak i społeczno-psychicznym. Był nieodłącznym składnikiem doświadczeń pana, głęboko wchodził w świat jego myśli i działań. W tym świecie pańskich doświadczeń niewolnikowi-poddanemu była wyznaczona i dokładnie zdefiniowana jego rola — gospodarcza, prawna, obyczajowa. Pan oczekiwał od niewolnika-poddanego dokładnego wykonywania tej roli i rzadko się zawodził. Ale jednocześnie pan patronował swemu niewolnikowi-poddanemu, traktował go jak coś sobie bliskiego, swojskiego. Dwór — zarówno w Ameryce jak i w Europie — mógł być bardzo bezwzględnym wobec niewolników czy chłopów, gdy chodziło o wymagania natury gospodarczej albo o utrzymanie zależności prawnej i obyczajowej. Ale jednocześnie dwór umiał się zdobywać na patronacką życzliwość wobec swoich „ludzi", mógł o nich dbać i im sprzyjać. Taka patronacka życzliwość była w plantatorskiej Ameryce bodaj częstsza niż w pańszczyźnianej Europie.

Ale podobnie jak w Europie tak i w Ameryce system taki nie mógł trwać bez końca. I tu i tam niszczyły go podobne okoliczności. Były to okoliczności ekonomiczne i społeczne. System pańszczyźniano-folwarczny nie wytrzymał w Europie postępów kryzysu agrarnego, powodowanego przez wielką rewolucję przemysłową. W jeszcze większym stopniu da się to powiedzieć o systemie plantatorskim na Południu Stanów Zjednoczonych. Już na początku wieku XIX w Stanach Zjednoczonych zaczęły rozlegać się głosy, że gospodarka niewolnicza przestaje się ekonomicznie opłacać, że staje się czynnikiem hamującym postęp. Głosy te były szczególnie częste na szybko uprzemysławiającej się Północy, która w zacofanej gospodarce niewolniczo-plantatorskiej widziała przeszkodę na drodze swej ekspansji gospodarczej. Były to już zarodki późniejszego konfliktu między feudalnym Południem a kapitalistyczną Północą.

Obok tego działały momenty społeczne. W końcu XVIII i na początku XIX nie wszyscy czarni Amerykanie byli niewolnikami. Przede wszystkim niewolnictwo jako instytucja prawna istniało tylko w stanach południowych. W stanach północnych nieliczni Murzyni, którzy tam przebywali, byli wolni. Ale i na Południu była pewna ilość wyzwoleńców, którzy choć w praktyce nie mieli praw politycznych, posiadali jednak wolność osobistą. Wśród tych wolnych Murzynów znajdowali się — zwłaszcza na Północy — i ludzie bardziej wykształceni, niekiedy

— dość zamożni. Zaczęli się zjawiać i czarni duchowni. Jak we wszystkich ruchach tego typu, tak i w Czarnej Ameryce pionierami emancypacji byli nieliczni inteligenci, którym udało się wyjść z pierwotnych ram życia w kaście. A i wśród samych niewolników coraz więcej było ludzi o szerszych horyzontach i o pewnej wiedzy. Panowie nieraz sami pomagali swym utalentowanym niewolnikom, by się kształcili i ,,wychodzili na ludzi''.

Ci Czarni przestawali odpowiadać tradycyjnemu wzorowi niewolnika-Murzyna. Buntowników wśród nich było bardzo mało (choć i tacy się zdarzali), ale samym faktem swego istnienia i sposobem swego życia stwierdzali, że system tradycyjnej zależności i tradycyjnego podziału zaczyna szwankować. Mieli zaś oni poparcie w tych radykalnych ośrodkach Białej Ameryki, które — zwłaszcza na Północy — głosiły hasło zniesienia niewolnictwa. W Stanach Zjednoczonych rodził się ruch ,,abolicjonistyczny'', który w imię zasad moralnych domagał się likwidacji systemu niewolniczego. ,,Abolicjoniści'' głosili, że niewolnictwo jest sprzeczne zarówno z Pismem Świętym jak i z Deklaracją Niepodległości. Przy wszystkich swoich błędach, ,,abolicjonizm'' to jedna z najpiękniejszych kart w dziejach Ameryki. Wypowiedział się w nim duch protestu, płynący z sumienia oburzonego krzywdą ludzką, niezgodnością rzeczywistości z Amerykańskim Wyznaniem Wiary. Ten Duch Protestu to jeden z najpiękniejszych nurtów życia amerykańskiego. Płynie on przez całe dzieje Stanów Zjednoczonych — to słabiej, to przybierając na mocy. Nieraz błądzi, ale zawsze istnieje. To, że abolicjonizm został w praktyce wyzyskany przez mniej idealistyczne czynniki, w żadnym stopniu nie przekreśla jego znaczenia.

Było więc niemało czynników, które prowadziły do załamywania się systemu niewolniczego. Załamanie się jego przyszło ostatecznie znacznie później, jako następstwo krwawej i długotrwałej Wojny Domowej. Nie będziemy tu zatrzymywali się nad opisywaniem tych wydarzeń historycznych. Chodzi nam jedynie o wyjaśnienie tych zasadniczych elementów kulturalno-historycznych, które złożyły się na powstanie zagadnienia Czarnej Ameryki. A o wypadkach Wojny Domowej mówią niezliczone tomy prac wszelkiego rodzaju i do nich pozwolę sobie odesłać czytelnika.

IV

O plantacji południowej mówiliśmy, że była ona kolebką Czarnej Ameryki. Tu kształtowało się oblicze duchowe czarnego Amerykanina, tu rodził się jego folklor, stąd wywodzi się to co faktycznie przetrwało do naszych czasów i dziś dopiero zaczyna wchodzić w okres rozpadu — organizacja kastowa. Wszystkie te momenty wymagają nieco dokładniejszego omówienia.

Niewątpliwie warunki życia czarnego niewolnika na plantacji nie były zbyt różne od warunków życia dworskiego fornala

na polskiej czy rosyjskiej wsi szlacheckiej końca wieku XVIII czy początku wieku XIX. Były raczej od nich lepsze. Zachodziły jednak pewne zasadnicze różnice. Fornal był człowiekiem wsi, która mimo wszystkie przeciwności zachowywała charakter spoistej gromady, miała swe tradycyjne instytucje, jakieś wspomnienia odległej przeszłości, jakieś wspólne a żywe treści kulturalne. W czarnej gromadzie wszystkie te rzeczy były bardzo nikłe i właściwie zaczynały powstawać dopiero na samej plantacji. Tradycje afrykańskie były gwałtownie przerwane i szybko zaginęły. Czarny wszystkie swe treści kulturalne, zaczynając od języka jako środka komunikowania się, wszystkie swe więzi społeczne musiał budować na nowo i to wśród okoliczności wyjątkowo niepomyślnych. Wśród tych treści i więzi najistotniejsze znaczenie miała religia.

Nie ulega wątpliwości, że pamięć dawnych kultów afrykańskich zaginęła wśród czarnych niewolników bardzo szybko. Kulty te zresztą, wyrosłe na podłożu rodowo-plemiennym, w warunkach plantacyjnych nie mogły się utrzymać. To, co mogło przemówić i faktycznie przemówiło do czarnej gromady, co dało jej jakieś treści duchowe i stworzyło jakieś więzi silniejsze — to było chrześcijaństwo.

Jakkolwiek początkowo niektórzy właściciele plantacji mieli wątpliwości, czy należy szerzyć chrześcijaństwo wśród niewolników, to jednak w wieku XVIII już nie było najmniejszych wątpliwości, że czarnych trzeba nawracać i w wierze utrzymywać. Działalność misjonarska była prowadzona przez samych plantatorów w sposób dość prymitywny i najczęściej prowadziła do tego, że niewolnicy przyjmowali wyznanie swych panów. Baptyzm i metodyzm były tu najbardziej rozpowszechnione, gdyż najbardziej były one rozpowszechnione na całym Południu. Niekiedy, gdy panami byli ludzie innych wyznań, zjawiały się tak odosobnione wypadki jak czarni katolicy (zresztą wcale liczni w Luizjanie) i nawet czarni Żydzi (w Harlemie są czarne synagogi).

Baptyzm i metodyzm z ich swoistą mistyką, z ich ubóstwem treści intelektualnych, z ich specyficznym emocjonalizmem, miały wszelkie dane, by zapuścić korzenie w świecie murzyńskim. Stawały się one źródłem silnych przeżyć religijnych, niewątpliwie prymitywnych, ale żywych i trwałych. Wchodziły one w całość życia i pracy na plantacji, zespalały się z tym, co niewolnikowi przynosił każdy dzień. Te religie wnosiły jakieś nowe treści w życie czarnej gromady, jednoczyły ją, dawały jakieś nadzieje.

Na takim podłożu rozwinął się folklor murzyński, jeden z najwspanialszych na świecie. Przede wszystkim wypowiedział się on w różnych podaniach i legendach, oraz w słynnych *Negro Spirituals*. Biblia dostarczała tu tematyki, którą szybko aktualizowano, wiązano z rzeczywistością życia plantacyjnego. Przedziwna prostota słów, głębia wyrazu, piękno melodii, dos-

konała konstrukcja formy — wszystko to dotąd budzi w słu chaczu wzruszenie i prawdziwy podziw.

Stopniowo też, w miarę jak słabł pierwotny system, zaczy nały dojrzewać bardziej śmiałe tęsknoty i dążenia. I tu Biblia był bodźcem i ułatwiała znalezienie wyrazu. Pojawi się taki *Spiritu* jak *„Let my people go”*, w którym wypowie się wiara, ż czarni — podobnie jak niegdyś z Egiptu Żydzi — znajdą wyjści do wolności. Oczywiście nie widziano jej w Afryce, o której nik nie myślał i mało co wiedział. Ale już od początku wieku XI odważniejsi czarni zaczynają opuszczać swych panów, ucieka na Północ — do „wolnych” stanów i Kanady.

Trzeba stale i jak najmocniej podkreślać tę wielką rolę, jak chrześcijaństwo odegrało w kształtowaniu się oblicza duchoweg czarnego Amerykanina. Wprowadziło go w świat szerszy ni ciasny krąg plantacji, rozbudziło w nim poczucie człowieczeń stwa, dało nowe spojrzenie na własną dolę. A równocześnie wy tworzyło silną więź międzyludzką, wypełniając tę próżnię, jak przyniosło wyrwanie Murzyna z tradycyjnego układu stosunków afrykańskich. To ułatwiło Murzynowi znalezienie sobie miejsc w tym nowym układzie stosunków społecznych, jakie stworzył plantacja, a później — i pierwsze próby wyzwolenia się o systemu.

Istnienie tego systemu niewolniczo-plantatorskiego był centralnym punktem całego zagadnienia Czarnej Ameryki. Sys tem ów miał decydujący wpływ na przebieg historii amerykań skiej i nawet dziś, gdy niewolnictwo dawno jest zniesione, wcią ciąży on na życiu Stanów Zjednoczonych.

Podobnie jak system poddańczo-pańszczyźniany w Europie taki system niewolniczo-plantatorski na Południu Stanów Zjed noczonych wytworzył sztywny układ stosunków międzyludzkich dzieląc ludzi na dwie odrębne i jaskrawo od siebie odbijając kategorie społeczne. Każda z tych kategorii zajmowała określon miejsce, miała ściśle wyznaczone role, swoisty styl życia, praw i obowiązki. Ten podział utrzymał się, gdy niewolnictwo jak prawna instytucja zostało zniesione. Albowiem zasadnicze treśc niewolnictwa znalazły dla siebie wyraz i przedłużenie w orga nizacji kastowej, która po Wojnie Domowej utrwaliła się w Sta nach Zjednoczonych i istnieje nadal. Niewątpliwie kasta jes czymś znacznie szerszym niż platacja z jej bardzo ograniczc nym terenem zainteresowań i stosunków międzyludzkich. Al kasta — podobnie jak plantacja — wytwarza w osobnikach w niej zamkniętych, analogiczne cechy i postawy życiowe. Cech te występują wszędzie, w każdym systemie społecznym, w któ rym kastowość w jakiejś formie się utrzymała. I dlatego t polski obserwator amerykańskich stosunków kastowych znajdu tu tyle momentów dobrze mu znanych. W masie swej stosune czarnego do białego w Ameryce nie jest zbyt różny od stosunk chłopa pańszczyźnianego do dziedzica, czy też od stosunku Żyd do chrześcijanina w Polsce. Jest to ta sama zewnętrzna pokor ta sama maska, ta sama swoista przebiegłość, jakie cechował

„chłopa-roztropka” czy „Żyda-szachraja” tam, i czarnego Amerykanina tutaj. Podwójna moralność jest nieuniknionym następstwem wszelkiego systemu niewolniczego czy kastowego. Jest naturalną formą samoobrony czy przystosowywania się człowieka kasty niższej. Ślimak z „Placówki” Prusa nie zachowywałby się inaczej, gdyby miał czarną skórę i mieszkał w Alabamie czy Południowej Karolinie.

Jest jednak pewien moment, który kastowość amerykańską różni od pokrewnych zjawisk w Starym Świecie. Wszędzie tam, gdzie podział na kategorie społeczne jest ścisły, przejście od jednej kategorii do drugiej jest bardzo utrudnione. Jednakże w Europie była jakaś — choćby bardzo mała — szansa, że chłop otrzymywał szlachectwo, że mógł opuścić swego pana czy swoją wieś, osiąść w mieście i tam przedostać się do szeregów mieszczaństwa. Od końca wieku XIX zjawiska takie były coraz pospolitsze i stały się zapowiedzią wielkich ruchów emancypacyjnych mas chłopskich. W okresach wcześniejszych w Europie temu przechodzeniu z jednej kategorii do drugiej nieraz towarzyszyły ze strony awansujących jednostek próby zacierania przeszłości społecznej. Takie próby były dość pospolite. Zacierali ślady przeszłości ludzie pochodzenia chłopskiego, w Polsce dodając do swych nazwisk końcówkę „ski”, w Niemczech uzurpując sobie „von”, a we Francji „de”. Zacierali ślady swej przeszłości asymilujący się Żydzi, zmieniając nie tylko wyznanie, ale i nazwisko. Dla innych powodów takie zacieranie śladów pochodzenia ma miejsce dziś w Polsce w wypadku części Żydów, którzy uratowali się od rzezi hitlerowskiej. Zresztą przykłady te można mnożyć w nieskończoność.

Jeżeli przejścia takie nie były czymś prostym ani łatwym w Starym Świecie, to są one nieskończenie trudniejsze w wypadku amerykańskich Murzynów. Na przeszkodzie stoją tu cechy fizyczne osobnika, które od razu definiują jego miejsce społeczne. I tylko w wypadku zupełnego zatarcia się tych cech osobnik może mieć jakąś szansę zmiany swego miejsca. To się zdarza i podobno wcale nierzadko. Pewna ilość mieszańców tak dalece zatraciła swe cechy murzyńskie, że może uchodzić za białych. Jest to właśnie owe „passing”, które jako szersze zagadnienie znalazło swe odbicie i w literaturze (na przykład, jedna z powieści Sinclair'a Lewis'a). W olbrzymiej jednak większości wypadków cechy fizyczne utrzymują się i pozwalają niezwłocznie kastowo określić jednostkę. Zdarzają się omyłki — nieuniknione w takim konglomeracie ras i typów antropologicznych, jakim jest Ameryka — ale i one mówią o roli, jaką cechy zewnętrzne odgrywają w społecznym kwalifikowaniu człowieka.

Cechy fizyczne sprawiły, że zamknięcie Murzyna amerykańskiego w ramach kasty jest tak kompletne i nieubłagane. A jednocześnie przyniosły one Murzynowi świadomość faktu, że indywidualnej ucieczki od kasty nie ma. „Passing” był możliwy tylko w wypadkach wyjątkowych. Był on uwarunkowany przez okoliczności od woli jednostki zupełnie niezależne. Murzyn mu-

siał albo przyjąć sam fakt istnienia kasty, albo — jeżeli szuk rzeczywistej emancypacji — musiał dążyć do obalenia systen kastowego. Trzeciego wyjścia nie było. Obie te alternatywy w znaczyły zasadnicze kierunki dążeń Czarnej Ameryki po znies niu niewolnictwa.

V

Wojna Domowa położyła kres niewolnictwu na Południ Stanów Zjednoczonych. Ale to było tylko podrzędne następstw wielkiej walki bratobójczej. W rzeczywistości bowiem Woj Domowa obaliła cały system społeczny i całą cywilizację, jak na Południu powstała w wieku XVII, by utrwalić się i rozwin w stuleciach następnych. Dla stanów południowych Wojna D mowa była kolosalnym przewrotem, jednym z największyc w dziejach ludzkości. Jego następstwa są odczuwane aż po dz dzień i zapewne długo jeszcze będą odczuwane.

Wyobraźmy sobie, że w Polsce wieku XVII, lub w Ros czasów Katarzyny, Aleksandra czy Mikołaja I, dochodzi w w niku przegranej wojny z jakimś obcym państwem do zupełneg przewrotu gospodarczego i społecznego. Zwycięskie państw *narzuca* stronie przegranej ustrój społeczno-gospodarczy, ra townie likwidujący ziemiaństwo, znoszący poddaństwo chłopów obalający wszystkie te zasady, na których opierało się istnien organizacji społecznych w podbitym kraju. Jeżeli potrafimy w obrazić sobie taki przewrót, to łatwiej nam będzie zrozumieć t co po roku 1865 miało miejsce w stanach południowych. Ko sekwencje tego przewrotu były głębsze i sięgały dalej, niż t co miało miejsce we Francji w czasie Wielkiej Rewolucji.

Ten przewrót na Południu miał w znacznie mniejszy stopniu charakter gospodarczy, niż społeczny i kulturalny. Go podarczo niewolnictwo coraz bardziej stawało się ciężarem i z porą na drodze rozwoju. Jest rzeczą wysoce możliwą, że i b wojny zniknęłoby ono tam, a to po prostu dlatego, że przest wało mieć jakieś gospodarcze uzasadnienie. A i samo zniesien niewolnictwa nie naruszyło, faktycznie rzecz biorąc, stanu p siadania plantatorów. Było z tym zniesieniem tak, jak z refo mą Józefa II : czarnym zdjęto z nóg kajdany, ale razem z b tami. Dano im wolność, ale nie pomyślano o tym, jak gosp darczo uczynić ich niezależnymi.

Stokroć ważniejsze było to, że obalony został cały ukła stosunków, jaki wyznaczał życie i atmosferę duchową Południ Układ ten wyrażał się we współistnieniu dwóch światów — bi łego i czarnego, oraz w tych obowiązkach, jakie w stosunka wzajemnych obciążały każdy z tych światów. Role były tu do ładnie określone, ściśle przydzielone każdej stronie. Biały gentl man uważał za swój obowiązek utrzymywać określony styl życi którego bardzo ważnym składnikiem był fakt władania czarnyı niewolnikami. Uznawał on swoje obowiązki wobec niewolnikó i, jak to już podkreślaliśmy, na ogół wykonywał je sumienni

Zarazem wyznaczał on czarnemu określoną rolę i określone obowiązki, których wykonywania oczekiwał od swego niewolnika. I rzadko się zawodził. Czarny niewolnik rolę przyjmował i obowiązki wykonywał.

Teraz to wszystko zostało zniszczone. Co zaś najgorsze — przewrót nastąpił w wyniku *interwencji zewnętrznej*. Tragizm Wojny Domowej polegał na tym, że gwałtem narzuciła ona Południowi układ stosunków, do którego Południe nie było przygotowane i — co więcej — który zapewne byłby z czasem dojrzał na Południu w wyniku ewolucyjnego rozpadu systemu niewolniczo-plantatorskiego. W roku 1861 ani biali plantatorzy, ani czarni niewolnicy nie byli przygotowani do przyjęcia wielkiej przemiany.

Niezmiernie boleśnie przeżyła ją biała strona. Przez pięć lat z bronią w ręku prowadziła ona walkę na śmierć i życie o zachowanie Południa takim, jakim ono było. Była to walka o coś więcej niż o plantacje i niewolników. Była to walka o oblicze południowej cywilizacji. Taką walkę mogłaby prowadzić szlachta polska z rebelią Chmielnickiego.

W klęsce Południa zespoliły się dwa momenty : gorycz z powodu przegranej na polu bitwy i gorycz z powodu katastrofy społeczno-kulturalnej. Przemiany wprowadzili najeźdźcy z Północy — przeklęci ,,Yankees''. To było gorsze niż gorycz szlachty francuskiej czasów Rewolucji. We Francji upadek *ancien régime*'u był dziełem wewnętrznej rewolucji. Na Południu Stanów Zjednoczonych był dziełem najazdu. Trzeba stwierdzić, że Lincoln zdawał sobie sprawę z tych momentów. Gdy wojna się rozpoczęła, stale podkreślał, że celem Północy nie jest zniesienie niewolnictwa, ale utrzymanie jedności Unii. Proklamację znoszącą niewolnictwo wydał później, już w toku wojny, gdy wypadki posunęły się tak daleko, że w tak ważnej sprawie dłużej zwlekać nie mógł. Ale uczynił to z ciężkim sercem i ze świadomością niebezpieczeństw, jakie akt ten krył w sobie.

Okres powojenny przyniósł dalsze zaostrzenie się stosunków. Nastały czasy tak zwanej Rekonstrukcji. Stany południowe były teraz okupowane przez wojska północne i władze północne na swój sposób przeprowadzały unifikację Południa z resztą Unii. Błędy, jakie wtedy Północ popełniała wobec Południa, dadzą się chyba porównać z błędami, jakie po wojnie ostatniej okupanci sowieccy popełnili wobec krajów satelickich. W jednym i drugim wypadku przejawiała się absolutna niezdolność rozumienia ludzi, którym narzucało się nowy ustrój.

Pod osłoną wojsk okupacyjnych na Południu przeprowadzono *polityczne* równouprawnienie czarnych z białymi. W całym szeregu stanów południowych władza lokalna na czas pewien przeszła w ręce czarnych. O nieudolności i korrupcji tych rządów krążyły fantastyczne wieści. Nie były one usprawiedliwione. Dziś, gdy rzeczy te dzięki perspektywie czasu mogą być spokojniej badane, wiemy, że czarni wykazali raczej zdumiewające

zdolności w zakresie wykonywania władzy administracyjnej. ko władcy nie byli gorsi od białych, a w wielu wypadkach um się wykazać umiarem, rozumem i uczciwością.

Rzecz jednak była nie w tym. Biały plantator czuł się wo czarnego senatora tak, jakby się czuł polski szlachcic wi XVII czy XVIII, gdyby miał otrzymywać rozkazy od Ma czy Bartka — swoich dawnych parobków. A przede wszyst ten czarny Maciek czy Bartek byli narzuceni. Za nimi stały b nety przeklętych „Yankees".

No i stali biali północni administratorzy, jakich cała m zwaliła się teraz na Południe. Do tej pory żywa jest w stan południowych tradycja owych *carpet-baggers* (od *carpet-bag* torba podróżna, zrobiona z materiału dywanowego; torby ta były ongiś popularne zarówno w Ameryce jak i w Europi przybłędów z Północy, którzy pod pretekstem reformowania o czajów południowych rzucili się jak szarańcza na pokonany I znów można dziś stwierdzić, że nie wszyscy z tych *carp baggers* byli oszustami, wyzyskiwaczami czy złodzieja Owszem, nie brakło tam typów spod ciemnej gwiazdy. trafiali się i ludzie uczciwi, ideowi, szczerze wierzący, że m na Południu do spełnienia ważną misję. Bieda była w tym, byli to ludzie obcy, przedstawiciele zwycięzców, okupantów, przychodzili po to, by niszczyć całą cywilizację, teraz — przegranej — białym tym bardziej drogą. Straszliwe błędy, które Ameryce wciąż jeszcze sądzone jest płacić.

Tym się tłumaczy, dlaczego Południe tak jednolicie b wrogie Partii Republikańskiej — partii Lincolna, i dlaczego s nęło przy Demokratach. Dopiero lata ostatnie zaczęły tu pr nosić zmiany, spowodowane tym, że Południe weszło — we musiało! — w orbitę wielkich przemian, jakie dziś zachod w całych Stanach Zjednoczonych. I dopiero one zaczęły sp wiać, że Południe powoli — bardzo powoli — zaczyna zapomir o klęsce Wojny Domowej.

Ale od tych następstw w zakresie amerykańskiej polit partyjnej znacznie ważniejsze były następstwa inne — prze wszystkim dla Czarnej Ameryki. Białe Południe niewolnict zastąpiło systemem kastowym, stwarzając niejako fikcję, *dawny układ stosunków i dawna cywilizacja nadal istnieją.* F cja ta dla milionów ludzi miała zgoła niefikcyjne następstwa.

Choć niewolnictwa już nie ma, system kastowy nadal utr muje się w stanach południowych. Istnieją dwie kategorie l ności : biali i czarni, kasta wyższa i kasta niższa. Oczywiś w obrębie każdej z tych kast zachodzą wszelakiego rodzaju zr nicowania — majątkowe, z tytułu wykształcenia, stanowiska Ale nie naruszają one zasadniczego podziału. A podział ten zn duje dla siebie wyraz w niepisanym kodeksie, ściśle określa cym i wyznaczającym zachowywanie się członków jednej ka wobec członków drugiej. Kodeks ten wciąż obowiązuje na łudniu Stanów Zjednoczonych i dopiero od niedawna autor jego zaczyna słabnąć.

Zasadniczym artykułem tego kodeksu jest *segregacja*. Każda kasta ma wydzielone swoje własne miejsce we wszystkich dziedzinach, w rzeczach ważnych i małych. Przede wszystkim obowiązuje oddzielenie topograficzne: czarni mieszkają w dzielnicach innych niż biali. Aż do ostatnich decyzji Sądu Najwyższego obowiązywała ścisła segregacja w szkolnictwie: szkoły były osobne dla białych i osobne dla czarnych. A i dziś postanowienia Sądu Najwyższego z największym trudem wchodzą w życie i w wielu stanach ,,integracja'' w szkolnictwie jest bardziej postulatem niż rzeczywistością. Zresztą w tym wypadku kodeks ma swe oparcie w prawodawstwie stanowym. Oddzielenie idzie jeszcze dalej. Czarni mają dla siebie osobne miejsca w pociągach, autobusach itp. Ba, na Południu, na stacjach kolejowych i autobusowych znajdziecie osobne ustronne a tak potrzebne miejsca z napisami: ,,For the White'' i ,,For the Colored''. A cóż dopiero mówić o dziedzinie stosunków płciowych! W całym szeregu stanów nie tylko biało-czarne małżeństwo, ale stosunek płciowy między osobnikami tych dwóch ras jest uważany przez prawo za przestępstwo kryminalne. Nie wynika stąd jednak, by w takich stanach nie było mulatów. Jest ich bardzo wielu...

Ale — i to jest znamienne dla wszelkiego systemu kastowego — jest dziedzina, w której segregacja nie daje się utrzymać. Jest to dziedzina gospodarcza, ściślej — usług natury gospodarczej. Najbardziej fanatyczny zwolennik segregacji uważa za rzecz naturalną mieć kolorową służbę, zatrudniać czarnych w swym przedsiębiorstwie (choćby tylko jako najniższych i najgorzej płatnych pracowników), wydzierżawiać im swój grunt itp. Jest to płaszczyzna, gdzie stosunki są częste i nieraz niepozbawione cech intymności i serdeczności. Można w nich widzieć przedłużenie tego, co było tak pospolite w epoce niewolnictwa. Nie różnią się one zbytnio od tych stosunków, jakie w dawnej Polsce łączyły dziedzica z jego Żydem-pachciarzem czy zaufanym służącym albo karbowym. Niemniej jednak częstość, intymność i serdeczność tych stosunków nie zmienia faktu, że wszystko to, co jest po za nimi, stoi pod znakiem zupełnego dystansu, zdefiniowania ról obu stron, jako zupełnie od siebie różnych i nierównych.

Z tego wynika dalszy ważny artykuł kodeksu. Jest nim *rytuał* zachowania się jednej strony wobec drugiej. Rytuał ten odnosi się nawet do najmniejszych szczegółów stylu codziennego życia. Na Południu biały nie przyjmie czarnego w swym domu jako gościa, z którym wypada być na równej stopie towarzyskiej. Nie będzie mówił do niego ,,Mister'', nawet gdy czarny jest osobą wykształconą czy zajmującą wybitne stanowisko społeczne. (Nie trudno się tu doszukać analogii i w dawnej Polsce!). W wypadkach specjalnych, gdy chodzi o czarnego z tytułem naukowym, jest właściwe mówić do niego ,,Doktorze'' (Doctor Smith czy Brown), ale nie jest właściwe mówić do niego ,,Panie''. Czarny, odpowiadając na pytania białego, obowiązany

jest stale dodawać „Sir" (*Yes, Sir; No, Sir* — co w prak
brzmi „*Yassih*", „*Nossih*"). Czarny, znów bez względu na
kim jest i jakie stanowisko zajmuje, obowiązany jest stać w
białego, chyba że zostanie wyraźnie upoważniony, by usi
Bez końca można by wyliczać owe drobiazgi codziennego ryt
postępowania, jakie na Południu nawet dziś obowiązują w
sunkach między obu kastami.

Przez długie dziesięciolecia czarna masa na Południu pr
mowała obowiązki tego rytuału, uznając w ten sposób fakt s
go miejsca w niższej kaście. Był to zresztą warunek zapew
nia sobie jakichś możliwości egzystencji. A i dziś jeszcze d
część południowych Murzynów — nawet inteligentów i przyw
ców — wciąż przyjmuje to, co bardziej buntowniczo usposob
czarni Amerykanie pogardliwie określają jako filozofię W
Toma. Jest to koncepcja, że czarni muszą się pogodzić z ist
niem kastowości i jedynie dążyć do tego, by *w obrębie k*
podnosić swój poziom intelektualny i materialny. W oczach
łego na Południu czarny, który zajmuje takie stanowisko,
„a good Nigger" — dobry, porządny czarnuch. Owszem, mo
mu życzyć jak najlepiej, byleby tylko „znał swoje miejsce".
nie inaczej przecież było w Polsce z „porządnymi" chłopa
Żydami czy Ukraińcami. I w Ameryce i w starej Europie „
rządny" był ten, kto „znał swoje miejsce", inaczej — kto p
dawał się prawom kasty. Ileż podobieństw można znaleźć mię
tym amerykańskim kodeksem zachowania się Murzynów a
deksem, jaki w dawnej Polsce obowiązywał chłopów ! Bez wz
du na miejsce i na kolor skóry, wszędzie tu działał ten s
mechanizm społeczny.

VI

Każdy system kastowy działa tak długo, jak długo lu
kasty godzą się z jej istnieniem i uznają je za naturalne i w
ściwe. System kastowy zaczyna się chwiać, gdy istnienie j
przestaje być przez ludzi kasty uznawane za naturalne i w
ściwe. To zaś powstaje wtedy, gdy w ludziach tych zacz
się rozwijać przekonanie o własnym *prawie* do udziału w t
wartościach, jakie dotąd uznawali jako wyłączne atrybuty k
wyższej. W ludziach kasty niższej musi przede wszystkim
winąć się śmiałość porównywania własnego losu z losem l
kasty wyższej, musi — następnie — wytworzyć się przekc
nie o swej własnej wartości jako równorzędnej z wartością l
kasty wyższej. Inaczej — musi się rozwinąć poczucie godn
osobistej. Dopóki tego nie ma, dopóty system kastowy m
trwać bezpiecznie.

W taki sposób wszędzie na całym świecie rozpoczynały
wielkie ruchy emancypacyjne. W pierwszym stadium były
zjawiska jednostkowe — pojawianie się w kaście niższej je

stek, które ośmielały się czuć uprawnionymi do korzystania z praw i przywilejów kasty wyższej. Zdobycie majątku czy wykształcenia było podstawą dla takiej przemiany psychicznej. W Polsce ludzie typu Judyma, asymilujący się wykształceni czy bogaci Żydzi — uosabiali to zjawisko społeczne. Celem ich było dostać się do kasty wyższej, asymilować się do niej, przejąć jej właściwości, zlać się z nią. Ludzie ci bardzo często starali się zatrzeć ślady swej przeszłości, zerwać całkowicie ze środowiskiem, z którego wyszli.

W Ameryce dla Murzynów analogicznym zjawiskiem było i jest owo ,,passing'', o którym wspominaliśmy poprzednio. Ale ,,passing'' jest bez porównania trudniejsze od transmutacji społecznej ambitnych polskich chłopów czy Żydów. Na przeszkodzie stoją tu cechy antropologiczne. ,,Passing'' było możliwe tylko w wypadku pewnych mieszańców.

Pod pewnymi względami było to okolicznością bardzo pomyślną dla rozwoju murzyńskich dążeń emancypacyjnych w Stanach Zjednoczonych. Ludzie, dla których indywidualne wyjście z kasty było niemożliwością, musieli myśleć o zmianie własnej kondycji społecznej jako o uwarunkowanej od zmiany kondycji całego swego środowiska. Ludzie ci siłą rzeczy stawali na czele ruchów emancypacyjnych Czarnej Ameryki. Początkowo zresztą ambicje ich nie sięgały tak daleko, by pójść w kierunku walki z istnieniem systemu kastowego. Godząc się z faktem kasty, mieli jedynie na celu poprawę warunków jej życia i zapewnienie jej członkom lepszych możliwości rozwojowych. Byli ewolucjonistami i organicznikami, nie chcieli iść za daleko, woleli zadowolić się tym, co w danych warunkach było osiągalne. Jeszcze dziś pewna — coraz jednak mniej liczna — część przywódców Czarnej Ameryki wyznaje tę filozofię.

Ale obok tego prądu coraz mocniej i mocniej zaznaczał swą obecność i prąd drugi, znacznie bardziej radykalny i dalej sięgający. Celem jego była walka z systemem kastowym. Rozwój swój prąd ten zawdzięcza tym wielkim przemianom, jakie w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci zaszły i wciąż zachodzą w Stanach Zjednoczonych.

Jak wiemy, ojczyzną i kolebką Czarnej Ameryki były plantatorskie stany południowe. Na Północy niewolnictwa nie było i nie było też Murzynów. Prawda, że już w wieku XVIII w niektórych miastach Północy — w Bostonie, Filadelfii, New Yorku — były pewne ilości wolnych czarnych. Sporo wśród nich posiadało kwalifikacje zawodowe, niektórzy byli bardzo wykształceni. Pewna ich część — tu znów nietrudno znaleźć analogie ze Starym Światem — starała się trzymać z dala od czarnych mas Południa, starannie podkreślając swą odrębność i wyższość. W sumie jednak czarnych na Północy było bardzo mało i całe to zagadnienie było obce tym częściom Stanów Zjednoczonych. A jeżeli nawet pewne ilości południowych Murzynów przesiedlały się do miast północnych, to nie miało to istotnego wpływu na całokształt obrazu.

Tak wyglądała sytuacja do wybuchu Pierwszej Wojny Św towej. Wojna zmieniła ją całkowicie. Nastąpił wtedy raptow i potężny rozwój północnego przemysłu. I razem z tym szło ko salne zapotrzebowanie na siłę roboczą. Emigracja europej faktycznie wtedy ustała i jedyną siłą roboczą, jaką można b znaleźć, były czarne masy Południa.

W swej konstrukcji psycho-społecznej masy te miały w wspólnego z masami emigrantów z agrarnej Europy. Połu było rolnicze. Czarny Południowiec był najemnym robotnik rolnym, miniaturowym farmerem, nędzarzem, którego egzyst cja w ten czy w inny sposób była związana z rolnictw W swym sposobie myślenia, w formach swego bytowania wiele się różnił od chłopa ze Wschodniej czy Południowej Eu py. Wojna i warunki gospodarcze, jakie wywołała ona w s nach północnych, otworzyła przed tą południową czarną bied nowe perspektywy. Zaczyna się wielki napływ czarnych m z Południa do miast Północy.

Te wędrówki, okoliczności, jakie im towarzyszyły, zmia jakie one powodowały — wszystko to było podobne do węd wek mas emigracyjnych z Europy. Były jednak zasadnicze r nice: były to wędrówki wewnętrzne — z jednej części kraju drugiej, wędrówki Amerykanów i były to wędrówki ludzi, któ fizycznie wyraźnie różnili się od innych. W każdym razie łatw było jechać z Alabamy do New Yorku, niż z Polski do Amery i łatwiej było człowiekowi z Alabamy dogadać się z człowieki w New Yorku, niż chłopu polskiemu, nie znającemu język i obyczajów.

Jak zawsze, exodus rozpoczął się od śmielszych jednost które *psychicznie* czuły się na siłach do podjęcia tak śmiałe kroku. Po jednostkach poszły gromady, za gromadami — mas Podobnie jak to było z robotniczymi emigracjami europejskim te czarne masy płynęły do miast przemysłowych, by prze w nich transformacje niezbyt różne od tych, jakie przechod emigranci europejscy. W każdym razie w latach dwudziesty naszego stulecia New York, Chicago, Detroit, Boston, Pit burgh, Filadelfia, Buffalo i inne wielkie ośrodki miejskie sta się siedzibą potężnych skupisk czarnej ludności. Ten prąd, r wywołany, trwał nadal. Nowym dla niego bodźcem była dru wojna, kiedy to przemysł amerykański znów stanął wobec k nieczności mobilizowania wszelkich sił roboczych. Tylko w czasie tej wojny szybko posunął się naprzód i proces industr lizacji samego Południa. Wielu czarnych mogło znaleźć pra na miejscu, nie musiało wyrzekać się miejsc rodzinnych.

Ale Północ pociągała najsilniej. Nie tylko zarobki były lepsze, ale i same warunki życia mogły pociągać czarnych P łudniowców. Niewątpliwie i na Północy stosunek białego czarnego nie był wolny od uprzedzeń i dyskryminacji. Przec i obecnie niejedną brzydką rzecz dałoby się powiedzieć o zach waniu się wobec czarnych robotników pewnych — co praw mniejszych — związków zawodowych. A i w innych dziedzina

wciąż notowane są niepiękne fakty. W sumie jednak stopień tego jest bez porównania mniejszy niż na Południu. Są to tylko uprzedzenia, ale *nie system,* nie sztywny i bezwzględny kodeks postępowania i oceniania. Północy obce są te prawne ograniczenia, jakie wciąż panują na Południu. Prawa stanów północnych nie znają przepisów segregacyjnych. W wielu natomiast obowiązują ustawy, wyraźnie zwalczające wszelkie dyskryminacje na tle rasowym. Obyczaje na Północy są znacznie swobodniejsze, niepociągające za sobą tych poniżeń, z jakimi czarny Amerykanin codziennie spotyka się na Południu.

Fakt, że Północ z tych właśnie względów stała się dla czarnych Południowców czymś wysoce pociągającym, sam przez się mówi o zmianach, jakie w nich zaczynały zachodzić. Migracja z Południa na Północ oznaczała nie tylko zmianę miejsca, ale i próbę wyjścia ze sztywnego systemu kastowego, oznaczała dążenie do wyzwolenia się od tych ciężarów i ograniczeń, jakie na Murzyna nakładały prawa i obyczaje południowej cywilizacji. Czarny, wędrując na Północ, tym samym stwierdzał — nie zawsze nawet zdając sobie z tego sprawę — że przestaje się godzić z systemem, jaki ojcowie jego uznawali za naturalny czy nieunikniony. Był to więc jeden z wyrazów budzenia się i dojrzewania wśród czarnych dążeń emancypacyjnych. Z drugiej strony miało to swój wpływ i na tych Murzynów, którzy decydowali się na nieporzucanie swych stron rodzinnych. Kształtowało się wśród nich przekonanie, że o swe prawa muszą walczyć na miejscu, na Południu. Dziś wśród przywódców południowych Murzynów istnieje cały prąd, który odrzuca rozwiązanie emigracyjne i wysuwa program prowadzenia na miejscu walki o pełne równouprawnienie.

Przy wszystkich próbach utrzymania południowych Murzynów w ramach kasty, docierały do nich oddziaływania współczesnych środków wychowawczych: szkoły, książki, prasy, radia, związków zawodowych. Miliony czarnych Amerykanów służyły w szeregach armii amerykańskiej w obu wojnach. Ze wszystkich stron docierały do nich ideały ,,Amerykańskiego Wyznania Wiary''. Mówiły one o prawach człowieka — o równości, wolności, o prawie do szukania szczęścia. A to, co one mówiły, pozostawało w głębokiej sprzeczności z systemem kastowym. Murzyn zaczynał porównywać, zaczynał uświadamiać sobie, że prawdy Jeffersona odnoszą się i do niego.

Poważne znaczenie miał też i inny czynnik, który w wypadku dawnych emigracji nie mógł odegrać większej roli. Był nim udział czarnego robotnika w amerykańskich związkach zawodowych. Czarne migracje z Południa odbywały się w tym czasie, kiedy rola ruchu zawodowego w Stanach Zjednoczonych stale rosła. Murzyn, pracując w przemyśle, nie mógł uniknąć związku zawodowego. Niewątpliwie niektóre związki zawodowe — zwłaszcza dawnej AFofL — nie były wolne od dyskryminacji w stosunku do czarnych. Ale wielkie masowe organizacje CIO starały się Murzynów organizować i rzetelnie walczyły z uprze-

dzeniami swych białych członków. Dla czarnych mas zwią zawodowe stały się szkołą, która dała im poczucie własnej g ności osobistej, wyrobiła nowe więzi społeczne, pokazała walczyć o swe prawa. Potężny związek tragarzy kolejowy skupiający prawie wyłącznie czarnych, ma szczególnie wiel zasługi na tym polu. Przywódcy jego wysunęli się na cz Czarnej Ameryki.

Niezmiernie doniosłym czynnikiem tych przemian społecz moralnych było wytwarzanie się czarnej inteligencji. We wszy kich nowoczesnych ruchach emancypacyjnych inteligencja, ja wydzielająca się od reszty grupa, odgrywa dominującą ro W rzeczywistości każdy z tych ruchów zaczynał się w momenc gdy w obrębie danej grupy zaczynała powstawać intelektual elita, która grupy tej nie porzucała, ale z nią się utożsamia formułowała jej ideały i zaczynała o nie walczyć. W czasa dzisiejszych fakty te są szczególnie uderzające w Azji i Afry Czy są to Chiny czy Indie, Złote Wybrzeże czy kraje arabs — wszędzie tam na czoło wysuwa się miejscowa inteligenc W Polsce przedwojennej wystarczy tu wskazać na rolę intelig tów pochodzenia chłopskiego, albo na rolę inteligentów żydo skich, ukraińskich czy białoruskich.

Nie co innego da się powiedzieć i o Czarnej Ameryce. A tu pewna okoliczność zasługuje na specjalne podkreślenie. Cyw lizacja amerykańska jest plebejska. Jest to cywilizacja pra tycznego działania, w której czysty intelektualizm zajmu miejsce podrzędne w układzie wartości społecznych. W Stana Zjednoczonych inteligencja jako specyficzna kategoria społecz nie wyłoniła się. Rola intelektualistów jest tu niewielka. Jed nym wyjątkiem pod tym względem jest społeczność murzyńsk Było to nieuniknionym następstwem jej kastowego charakter faktu, że była grupą upośledzoną, grupą, której ambitni i uzd nieni członkowie widzieli przed sobą zamknięte te drogi, któ stały otworem dla białych. Czarnego szanse w businessie by bardzo małe. Ograniczone były jego szanse w polityce, w k rierze urzędniczej. Jedynie wykształcenie mogło mu dać jak możność „wykazania się", osiągnięcia jakiejś pozycji, jeżeli n w środowisku szerszym, to przynajmniej w swoim własnym. N oznaczało to, by owo wykształcenie miało mu zapewnić leps warunki ekonomiczne. Sam znam Murzynów z uniwersytecki wykształceniem, którzy nie mogli znaleźć innej drogi zarobk wania jak kierowanie windą (*elevator man*). Ilość wykształc nych Murzynów, nie znajdujących praktycznego zastosowan dla swej wiedzy, jest w Stanach Zjednoczonych zastraszając A jednak pęd do zdobywania wykształcenia jest wśród czarny bardzo silny. Pęd to — powiedzielibyśmy — nie-amerykańs Świadczy on o potrzebie jednostki wykazania się w jakiś spos i prowadzi do zjawiska — poza tym nie znanego Ameryce, a bardzo pospolitego w innych częściach świata — oddzielenia w kształcenia od szans gospodarczych, zdobywania wykształcen dla wykształcenia, wyłaniania się klasy ludzi, dla których z

bycie wykształcenia jest *samo przez się* celem i kwalifikacją społeczną. To jest właśnie taka klasa ludzi, jaką nazywamy inteligencją.

Wyższe szkolnictwo dla czarnych zaczęło się na Południu dość wcześnie. Po Wojnie Domowej powstał tam szereg ,,college'ów'', głównie pod auspicjami różnych grup wyznaniowych. Celem ich przede wszystkim było kształcenie czarnych duchownych. Poziom tych zakładów nauczania początkowo był bardzo niski. Niski był zresztą w owym czasie poziom kolosalnej większości analogicznych instytucji dla białych. Jednakże wkrótce po Wojnie Domowej władze federalne założyły w Waszyngtonie specjalny uniwersytet dla czarnych i poziom jego jest dobry. Nawiasowo dodajmy, że uniwersytet ten (Howard University) jest jedynym w Stanach Zjednoczonych utrzymywanym przez władze federalne. Poważną też rolę odegrał słynny Tuskegee Institute w Alabamie. Miał on charakter ściśle utylitarno-zawodowy, ideowo stał na gruncie kastowości murzyńskiej, odnosił się nieufnie do prądów emancypacyjnych, ale niemniej położył — a i wciąż kładzie — wielkie zasługi w tworzeniu się czarnej inteligencji. Na Północy, gdzie segregacja w nauczaniu nie istnieje, czarna młodzież mogła napływać do wyższych uczelni, zwłaszcza do stanowych i municypalnych.

Ale zdobywanie wiedzy było nie tylko środkiem ,,wykazywania się'' jednostek. Było ono także drogą ,,wykazywania się'' całej Czarnej Ameryki. Masy murzyńskie mogły z dumą wskazywać na tych spośród nich, którzy stali się znanymi lekarzami, prawnikami, duchownymi czy uczonymi. Każdy z tych ludzi był przecież żywym świadectwem, do czego Murzyn dojść potrafi. W swych wybitnych i wykształconych przedstawicielach Czarna Ameryka znajdowała dowód wartości całej ,,rasy'', potwierdzenie jej znaczenia, ugruntowanie poczucia godności osobistej w każdym z jej synów. Murzyn zaczął siebie utożsamiać ze swymi wybitnymi przedstawicielami. W ten sposób ci ostatni stali się czynnikiem cementującym Czarną Amerykę, wnoszącym w jej życie nowe więzi i treści duchowe.

Tym się tłumaczy ten wyjątkowy kult, jaki czarni Amerykanie żywią dla tych Murzynów, którzy zabłyśli na scenie ogólno-amerykańskiej czy światowej. Tu nie chodzi — albo nie tylko chodzi — o typowo-amerykański podziw dla sukcesu. Górują tu momenty inne — bardziej ogólno-ludzkie. Czy jest to laureat Nobla Ralph Bunche, czy wielki pisarz Richard Wright, czy genialna śpiewaczka Marian Anderson, czy wreszcie znakomity pięściarz Louis — każdy z nich ,,wykazał'' nie tylko siebie, ale i całą ,,rasę'', każdy z nich jest świadectwem tego, do czego ona jest zdolna. Trzeba stale podkreślać znaczenie, jakie fakt pojawienia się znakomitych Murzynów miał dla rozwinięcia się i spotęgowania prądów emancypacyjnych w masach Czarnej Ameryki.

Wszystkie te przemiany miały daleko sięgające następstwa. Całkowicie zmieniła się topografia Czarnej Ameryki. W wieku

XX Południe zatraciło swój charakter rodzinnej ziemi ameryk- skich Murzynów. Dziś wszystkie większe miasta na Półn mają swe potężne skupienia murzyńskie i w niektórych stan (New York, Illinois, Michigan) czarni stali się bardzo waż czynnikiem życia zbiorowego. Fakt, że od pewnego czasu kt z czołowych miejsc w municypalnych władzach miasta New Y jest powierzane czarnemu, dużo mówi o rozmiarach przemi Równocześnie, pod względem swej struktury zawodowej i względem swych aspiracji społecznych, Murzyni zaczęli się co bardziej upodobniać do reszty Amerykanów. Znaczna ich cz pracuje w przemyśle, jest czynna w ruchu zawodowym. Co bardziej rośnie liczba wykształconych Murzynów, coraz więk jest ich udział w tych dziedzinach życia zbiorowego, w któr jeszcze niedawno nie było ich widać. Podnosi się poziom ży wy mas murzyńskich, choć wciąż jest on niższy od pozio białych. Słowem, można by powiedzieć, że Czarna Ameryka ten jeden z najbardziej amerykańskich składników rzeczywist Stanów Zjednoczonych — jest coraz potężniej i wszechstronn wciągana w wielkie procesy amerykanizacyjne.

Ale przemiany te tworzą nowe zagadnienia, bynajmniej łatwiejsze od dawnych. A może nawet trudniejsze. I dopi na ich tle można zrozumieć, czym w chwili obecnej staje sprawa Czarnej Ameryki. A jednocześnie — i sprawa ca Ameryki.

VII

Na całym świecie, we wszystkich wypadkach stosunk międzykastowych dochodziło do ostrych konfliktów wtedy, kie system kastowy zaczynał ulegać rozkładowi i kiedy w kaś podporządkowanej zaczynały się budzić tendencje emancypacyj Inaczej — kiedy kasta niższa próbowała przerwać tradycyj ograniczenia i upodobnić się do kasty wyższej. Wszelkie an gonizmy „międzyrasowe" występują nie wtedy, gdy jedna g pa obiektywnie znacznie różni się od drugiej, ale wtedy, g grupa niższa zaczyna się upodobniać do wyższej. Zilustruje to na przykładzie ze stosunków polskich.

To, co w Polsce przedwojennej określało się jako antyse tyzm, było zjawiskiem późnym. Aż do połowy wieku XIX istn ły w Polsce wobec Żydów uprzedzenia, połączone z pogardą, trudno o nich mówić jako o określonej filozofii takiej, ja w wieku XX stał się antysemityzm. W Polsce szlacheckiej s sunek do Żydów mieścił się w ramach szerszego układu międ grupowego, w którym istniał podział na „wyższych" i „n szych" z ściśle określonymi rolami dla jednych i drugi z ściśle wyznaczonym rytuałem stosunków międzygrupowy W tym układzie chłop mógł być „chamem", mieszczanin „łykiem", Żyd — „parchem", ale wszystko to nie oznacz jakiegoś specyficznego antagonizmu. Była to pogarda, ale wrogość, nie nienawiść. Przeciwnie — mogła być nawet znacz

doza życzliwości, płynącej z prawa szlachcica do patronowania „swoim" „chamom" „łykom" czy „parchom".

W wielu wypadkach szlachcic odnosił się pobłażliwie czy życzliwie do tych jednostek, które wychodziły z podporządkowanych kast i starały się asymilować do kasty wyższej. Niewątpliwie jednostki te nieraz były traktowane jako intruzi (Judym !), ale wrogości nie było. Ostatecznie jednostkowy awans w niczym nie naruszał tradycyjnego układu społecznego, przeciwnie — raczej go utwierdzał. Był on świadectwem atrakcyjności kasty wyższej, jej prawa do przodownictwa. Stąd najlepsze elementy wśród polskiej szlachty popierały takie awanse i były z nich dumne.

Wszystko to mogło trwać tak długo, jak długo chłop *jako całość* godził się na rolę „chama", mieszczanin — „łyka" a Żyd — „parcha". Sytuacja zmieniła się radykalnie, gdy w grupach tych zaczęły się masowe ruchy emancypacyjne. Celem ich było usunięcie tradycyjnej organizacji społecznej, upodobnienie się i zrównanie wszystkich elementów społecznych. W Polsce antysemityzm wystąpił naprawdę dopiero wtedy, gdy masy żydowskie zaczęły się upodobniać do polskiego otoczenia, gdy zaczęły odchodzić od dawnych obyczajów, gdy zaczęły się „europeizować". O tym, że Żydzi są zasadniczo różni od nie-Żydów, najgłośniej i najnamiętniej mówiono wtedy, gdy *obiektywne* różnice zaczynały się zmniejszać i zacierać, a proces upodobniania się wzrastać na sile. Takich przykładów można przytoczyć bardzo dużo ze wszystkich krańców świata. Istota rzeczy nie była w „różnicach" i „podobieństwach", ale w tym, że tradycyjny układ stosunków społecznych ulegał rozkładowi, że grupy podporządkowane przestawały „znać swoje miejsce". I wtedy to zaczynano mówić o „arogancji" Żydów czy o „zuchwalstwie" chłopów. Zarzuty te wyrażały dezaprobatę ludzi kasty wyższej, że ludzie kasty niższej „wypadają" z tej tradycyjnej roli, jaka im była wyznaczona, że zachowaniem swym nie odpowiadają temu, czego się od nich oczekiwało.

Te uwagi, odnoszące się do Starego Świata, pozwolą nam zrozumieć zjawiska, zachodzące w Świecie Nowym. Ale i tu, jak zawsze, musimy być ostrożni z analogiami. Są tu bowiem i bardzo poważne różnice.

Przede wszystkim proces gwałtownych przemian społeczno-gospodarczych coraz wszechstronniej ogarnia dziś stany południowe i sam przez się rozkładowo wpływa na tradycyjny układ kastowy. Na całym Południu mają dziś miejsce znaczne zmiany w strukturze zawodowej — zarówno po stronie białej jak i czarnej. Nie jest rzeczą przypadkową, że wśród białych Południowców coraz poważniejsze są wpływy przeciwników dotychczasowej dyskryminacyjnej filozofii. Gospodarczo — a co za tym idzie i społecznie — Południe coraz wyraźniej zaczyna się upodobniać do Północy.

Ale to jest dopiero jedna strona medalu. Albowiem te same przemiany, które powodują rozkład tradycyjnego systemu, jed-

nocześnie przynoszą zaostrzenie się stosunków i nowe konflikty. Przemiany te bowiem niszczą fikcję istnienia tego układu stosunków społecznych, jaki na Południu stał się podstawą wszelkich ocen i stosunków międzyludzkich oraz czynnikiem wyciskającym swe piętno na całej cywilizacji południowej. Niejeden Południowiec nie może pogodzić się z obiektywnym faktem, że tradycyjny układ w rzeczywistości staje się martwym, że staje się zupełną fikcją. I Południowiec ten stara się zachowywać tak, jak gdyby układ ten istniał nadal i był żywotny. Nie chodzi tu o momenty gospodarcze. Byt nie wyznacza tu myślenia. Nie chodzi tu o powrót do gospodarki plantacyjnej. Chodzi wyłącznie o zachowanie dawnych form życia społecznego. W tym południowa biała biedota (*white trash*) idzie znacznie dalej, niż grupy gospodarczo uprzywilejowane. Dla tej kategorii białych Południowców zachowanie systemu kastowego ma kolosalne znaczenie moralne. Jak długo system ten istnieje, tak długo należą oni do kasty wyższej. Jest to rekompensata za biedę, za brak sukcesu materialnego. Tak ongiś w Polsce czuła się szlachta szaraczkowa, zagrodowa biedota, z pogardą patrząca na „chamów". Południe wciąż jeszcze nie zasymilowało się całkowicie z cywilizacją sukcesu, mierzonego w dolarach.

Na tle zachodzących obiektywnych przemian Południowiec, który hołduje takiej filozofii, czuje się specjalnie zagrożonym. Prowadzi to do daleko sięgających obsesji psychicznych. Emancypujący się, czyli wypadający ze swej roli Murzyn, staje się symbolem niebezpieczeństwa, grożącego białemu i jego cywilizacji. I stąd na białym Południu mógł powstać cały szereg mitów, racjonalizujących „czarne niebezpieczeństwo". Dla kogoś, kto badał choćby rozwój antysemityzmu europejskiego, nie są to rzeczy nowe. Są to pokrewne obsesje i pokrewne racjonalizacje.

Wśród tych różnych obsesji i mitów szczególne miejsce zajmuje mit seksualny. Z jednej strony wyraża on strach przed seksualnym obcowaniem z czarnymi („Czy chciał by Pan, żeby jego córka wyszła zamąż za Murzyna?"), z drugiej zaś strony — przekonanie, że Murzyni są specjalnie łapczywi na białe kobiety i że pełne równouprawnienie doprowadziło by do szybkiej bastardyzacji białej rasy. Stąd tak częste oskarżanie Murzynów o gwałcenie białych kobiet, oskarżanie, które — dodajmy — nadzwyczaj rzadko ma uzasadnienie faktyczne. Ale nie chodzi tu o fakty, dające się stwierdzić obiektywnie, tylko o stan psychiczny i połączone z nim racjonalizacje. Prowadzi on do zbiorowej histerii, do patologicznego roznamiętnienia, do samosądów (linczowanie jest dziś zjawiskiem bardzo rzadkim, ale wciąż zdarzającym się), do powstawania takich organizacji jak Ku-Klux-Klan czy obecne Rady Białych Obywateli (*White Citizens' Councils*). Są to zjawiska jednakowo ciekawe dla socjologa jak i dla psychopatologa.

W takiej atmosferze nietrudno o konflikty. Pretekstem dla nich może posłużyć każdy wypadek, gdy czarny przestaje się zachowywać tak, jak się zachowywać „powinien", gdy wyka-

zuje „arogancję” (*uppity*), albo gdy się go po prostu zaczyna podejrzewać o takie skłonności. Nic dziwnego, że w takich warunkach i czarny Południowiec w swych stosunkach z białymi jest w ciągłym napięciu psychicznym, że nigdy nie może być pewny, czego od białego może oczekiwać, że stale go podejrzewa o wrogość i stara się zachować ochronną maskę pokory i uległości. Jest to sytuacja, której konsekwencje psychiczne dla obu stron są jak najgorsze.

Jest jasne, że biały czuje się obrażonym wszędzie tam, gdzie czarny świadomie przekracza linię graniczną, wyznaczoną przez kodeks kasty. Gdy więc mieszka jak biały, ubiera się jak biały, mówi jak biały. I gdy zaczyna wymagać, by odnoszono się do niego z takim samym szacunkiem, z jakim obyczaj nakazuje odnosić się do człowieka białego. Oskarżenie o „uppity” może się już zacząć, gdy czarny wymaga, by biały mówił do niego „Mister”, by w sklepie był obsłużony tak samo jak biały, lub nawet gdy czarny, rozmawiając z białym, przestaje co kilka słów dodawać „Sir”. A cóż dopiero, gdy czarny zaczyna protestować przeciwko segregacji na kolejach i w autobusach, gdy domaga się dostępu do szkół publicznych, przeznaczonych dla białych, gdy, słowem, chce być prawdziwie równouprawnionym obywatelem.

Naprężenie powiększa i liczebność czarnych na Południu. Nawet dziś, po tylu wielkich migracjach z Południa na Północ, czarni wciąż stanowią w tych stanach bardzo wysoki odsetek zaludnienia. W niektórych okręgach — na przykład w stanie Mississippi — większość ludności jest czarna. Przy uzyskaniu rzeczywistych praw obywatelskich czarni staliby się tam potężnym czynnikiem politycznym, w niektórych okręgach — rządzącym. Widmo takiego stanu rzeczy spędza sen z powiek południowych fanatyków segregacji. We wszystkich też stanach południowych stosowany jest cały szereg sposobów i sposobików, uniemożliwiających czarnym korzystanie z praw obywatelskich, a przede wszystkim — z prawa głosowania. Obok zwykłego terroru są tam takie przepisy, jak egzamin ze znajomości konstytucji jako warunek dopuszczenia do urny (czarni z reguły obcinają się, biali — z reguły zdają !), jak słynny „podatek od urny” (*poll tax*), uzależniający wykorzystanie prawa głosowania od uiszczenia specjalnej opłaty. To ostatnie było bardzo skuteczne, gdy masa murzyńska żyła w zupełnej nędzy. Stawało się coraz mniej skuteczne, gdy materialna sytuacja czarnych nawet na Południu zaczęła się poprawiać. Ale i inne sposoby działają i nawet dziś ogromna większość czarnych Południowców jest odsunięta od udziału w wyborach. Oczywiście na Północy czarni korzystają z rzeczywistego równouprawnienia politycznego i ta część Stanów Zjednoczonych jest w Kongresie reprezentowana przez kilku czarnych przedstawicieli.

A jednak przemian zatrzymać się nie dało. I stąd na białym Południu pojawiły się próby, ażeby w jakiś sposób pogodzić obiektywnie zachodzące przemiany z utrzymaniem kasty. Dla

wielu południowych zwolenników segregacji w próbach takich było zarazem szukanie rozwiązania męczących ich problemów moralnych. Trzeba tu wyraźnie podkreślić, że dla Południowca, jak i dla każdego Amerykanina, słowa ,,Deklaracji Niepodległości'' i Konstytucji nie są czczymi frazesami. Jak pogodzić ,,Amerykańskie Wyznanie Wiary'' i obronę nierówności kastowej? Sprzeczność taka jest przez wielu na białym Południu odczuwana i prowadzi do poważnych konfliktów moralnych.

Rozwiązanie tej sprzeczności ma przynieść koncepcja ,,równi, ale osobno''. Tak, czarni powinni korzystać z tych samych praw co i biali. Powinni mieć nie gorsze szanse życiowe, dobre szkolnictwo, zabezpieczenie gospodarcze, ochronę prawną, słowem — wszystko to, co przysługuje białym. Ale — osobno od białych. Czyli segregacja całkowicie utrzymana — w nauczaniu, w zamieszkaniu, w środkach komunikacyjnych itd.

Brzmi to bardzo ładnie, ale w praktyce jest absurdem. ,,Równi, ale osobno'' nie jest żadną równością. Oznacza to zachowanie wszystkich dawnych dyskryminacji kastowych. Jak ma przy tym wyglądać korzystanie przez Murzynów z praw obywatelskich, a szczególnie — z prawa głosowania? Jaką można mieć gwarancję, że osobne szkoły dla czarnych będą rozporządzały takimi samymi środkami materialnymi, jak szkoły dla białych? Mimo wszystkie uroczyste deklaracje nie ulega wątpliwości, że czarne szkolnictwo jest pod każdym względem upośledzone w porównaniu z białym. I pytań takich można stawiać bez końca. Słowem, zasada ,,równi, ale osobno'' jest fikcją, która może przynosi ulgę dla pewnych sumień, ale nie potrafi rozwiązać zagadnienia.

Faktem jest, że system kastowy pozostaje w sprzeczności z Konstytucją. Inaczej — że istnienie jego jest nie tylko sprawą praw stanowych, ale wkracza na teren ustawodawstwa federalnego. Jak długo sytuacja na Południu była w stanie równowagi, tak długo władze federalne nie miały podstaw do ingerencji. Ale dziś wobec potężnych prądów emancypacyjnych wśród Murzynów Południa sytuacja jest inna. Strona czarna sama zwraca się do władz federalnych i domaga się od nich zajęcia stanowiska. Następstwem tego jest cały szereg decyzji federalnego Sądu Najwyższego.

Decyzje te stwierdzają niekonstytucyjność segregacji. Oczywiście wyroki Sądu Najwyższego odnoszą się tylko do tych sfer, które podpadają pod kompetencje prawa federalnego. Jeżeli na przykład pasażer pociągu przejeżdża z jednego stanu do drugiego, to fakt ten ma charakter ,,międzystanowy'' i z tego tytułu podlega jurysdykcji praw i władz federalnych. Zgodnie z decyzją Sądu Najwyższego stosowanie segregacji w takim wypadku jest bezprawne.

O wiele ważniejsze są decyzje tyczące się szkolnictwa. Decyzje te wychodzą z założenia, że każdy obywatel Stanów Zjednoczonych winien mieć zapewnione jednakowe szanse zdobycia wykształcenia. Jeżeli więc władze stanowe nie mogą zapewnić

Murzynom takich samych możliwości jak białym, to obowiązane są dopuszczać czarnych do białych uczelni. Konsekwencją tego jest wyrok, stwierdzający niekonstytucyjność praktyk segregacyjnych w szkolnictwie.

W wielu okolicach Południa wyroki te wywołały bardzo ostre sprzeciwy. Niektóre stany oświadczyły, że się im nie poddadzą. W wielu jednak miejscach ,,integracja'' odbyła się bezboleśnie i ku zdumieniu tak zwolenników segregacji jak i jej wrogów — zdumieniu przykremu jednych i radosnemu drugich — okazało się, że uprzedzenia kastowe wśród białych zaczynają jednak słabnąć.

VIII

Sprawa Czarnej Ameryki jest jednym z najbardziej amerykańskich zagadnień narodowego życia Stanów Zjednoczonych. I to nie tylko dlatego, że jest tak bardzo specyficznym produktem całego rozwoju dziejowego narodu amerykańskiego. W sprawie tej spotykają się wszystkie najważniejsze momenty amerykańskiego bytu. Jest to wielkie zagadnienie regionalne i ogólnonarodowe, polityczne i obyczajowe, społeczne i gospodarcze, kulturalne i moralne. I nic dziwnego, że sprawa ta tak ciągle góruje w życiu amerykańskim. Uciec od niej nie można ani na Południu ani na Północy, ani wśród białych ani wśród czarnych. I nie można jej przemilczeć. Nikt zresztą nie stara się jej przemilczeć.

Ameryka jest społeczeństwem plebejskim. Że zagadnienie murzyńskie mogło tu powstać, było następstwem wyjątkowych warunków rozwojowych w pewnej części Stanów Zjednoczonych — na plantatorsko-feudalnym Południu. Tam czarny de facto odegrał taką rolę, jaką w starej Europie kiedyś odgrywał chłop-poddany. Południe jest tą częścią Stanów Zjednoczonych, w której cywilizacja plebejska nie powstała spontanicznie, ale do której przyszła z zewnątrz, jako coś narzuconego i opornie przyjmowanego.

Ale i Południe plebeizuje się. W społeczeństwie plebejskim systemowi kastowemu, jako stałej instytucji, trudno jest się utrzymać. Nie oznacza to, by społeczeństwo plebejskie nie mogło w swym łonie wytwarzać zróżnicowań, niekiedy przybierających postać zamkniętych kast. Wiele takich przykładów, nie mających nic wspólnego z Murzynami, można znaleźć i w samej Ameryce. Ale równocześnie społeczeństwo plebejskie cechuje wielki dynamizm, ciągła płynność form współżycia ludzkiego. Zróżnicowania nie są trwałe, granice między nimi łatwo się zacierają. I dlatego kaście trudno jest się tu utrzymać. Tak wygląda sprawa na Północy i tak zapewne będzie ona wyglądać na przeobrażającym się Południu.

Ale zmianom obiektywnym rzadko kiedy równorzędnie towarzyszą zmiany w myśleniu i odczuwaniu ludzkim. Co więcej —

nieraz, jeżeli zmiany obiektywne rzucają wyzwanie naszym na
wykom myślowym i uczuciowym, te ostatnie buntują się i mówi
„tym gorzej dla rzeczywistości". Ten prymitywny hegelianizm
jest zjawiskiem bardzo pospolitym i w całej pełni daje się dzi
zauważyć w Stanach Zjednoczonych.

Ale dążeń emancypacyjnych Czarnej Ameryki zatrzymać ju
nie można. Mają one za sobą siłę zachodzących przemian obiek
tywnych i oparcie w nich. Czarna Ameryka walczy o pełne rów
nouprawnienie. Wydała ona długi szereg znakomitych przywód
ców, stworzyła potężne organizacje, jak National Association fo
the Advancement of Colored People (N.A.A.C.P.), jak Urba
League i inne, zaznacza swą obecność we wszystkich dziedzinac
amerykańskiego życia politycznego, społecznego i kulturalnego
Cel jest jeden — czarny Amerykanin chce być takim samym
Amerykaninem jak i jego biały rodak.

W tym ostatnim zawiera się zasadnicza różnica między za
gadnieniem murzyńskim w Ameryce a rozmaitymi kwestiam
„mniejszościowymi" w innych krajach i częściach świata. Dąże
nia emancypacyjne Czarnej Ameryki nie mają charakteru wyod
rębniania się narodowo-kulturalnego. Czarna Ameryka jest ame
rykańską i chce być amerykańską. Jeżeli jakieś analogie mog
tu być użyte, to raczej z wielkimi ruchami społecznymi europej
skich mas chłopskich, choćby chłopów polskich.

Czarną Amerykę wciąż czeka długa droga, zanim osiągni
swój cel. Droga to bardzo trudna, pełna niebezpieczeństw
i wymagająca ofiar. Ale z drogi tej Czarna Ameryka już zejś
nie może i nie chce. Pomaga jej historia, cały rozwój tej wiel
kiej cywilizacji plebejskiej.

Tak to rozumieją i ci biali Amerykanie, którzy zdecydowa
nie walczą o prawdziwe równouprawnienie Czarnej Ameryki
A nie jest ich mało i to nie tylko na Północy. Dla ludzi tych —
szczególnie dla Południowców — sprawa murzyńska jest wiel
kim zagadnieniem moralnym, najtragiczniejszą sprawą sumienia
I stąd tyle w nich nieraz namiętności, oddania się, nawet fana
tyzmu. Bo przecież południowy wróg segregacji idzie na walk
z własnym społeczeństwem, co więcej — idzie na walkę ze sob
samym, ze swymi uprzedzeniami i nawykami. Jeżeli na to idzie
to dlatego że tak boleśnie odczuwa konflikt między Amerykań
skim Wyznaniem Wiary a rzeczywistością. Gdy czyta się wy
powiedzi takich pisarzów jak Lillian Smith, można doskonal
wyczuć głębię i moc przeżycia moralnego, jakie w nich istnieje
Dla nich sprawa murzyńska jest kwestią moralnego być alb
nie być, jest miernikiem odczuwań i działań. A jednocześnie jes
w nich głęboka wiara w słuszność tej sprawy i jest ów amery
kański optymizm, który każe wierzyć w zwycięstwo tego, c
słuszne.

Aleksander HERTZ

Sąd Ostateczny

CAMUS I KAFKA

Zdradzę ci wielki sekret, *mon cher*. Nie czekaj na Sąd Ostateczny. Odbywa się on codziennie.

Camus: „Upadek".

Czytał pan gdzieś pewnie że wyrok skazujący człowieka zapada często w przypadkowym słowie wypowiedzianym przez przypadkową osobę w jakimś przypadkowym czasie.

Kafka: „Proces".

W tym życiu mogło się łatwo zdarzyć, gdyby nie trzymał się ciągle na baczności, że któregoś dnia mimo uprzejmości władz i skrupulatnego spełniania wszystkich nałożonych nań i przesadnie lekkich obowiązków, mógłby — zwiedziony okazywanymi mu pozornie względami — zachować się tak nierozważnie że nastąpiłby jego *upadek;* a władze, nadal łagodne i przyjazne, i jak gdyby wbrew swojej woli lecz w imię jakiegoś nieznanego mu przepisu publicznego, mogłyby się natychmiast stawić i usunąć go z drogi.

Kafka: „Zamek".

I

Któregoś wieczoru w Rzymie, w kawiarni na Piazza del Popolo, rozmawialiśmy w kilkuosobowym towarzystwie o „Upadku" Camusa.

— Jasne — powiedział rozdrażnionym głosem Alberto Moravia — że jest to opowiadanie o winnym bez winy. Rzecz wymyślona i zakotwiczona w powietrzu...

Jasne było przede wszystkim to że ,,Upadek'' nie podob się Moravii, pisarzowi zaczepionemu mocno o twarde dno życi kotwicą swego neorealizmu. Winny bez winy! Co za nonsens

— Czy nie myśli pan — spróbowałem — że ,,Upadek'' jes po prostu krótką wariacją na tematy z Kafki?

— A — zdziwił się Moravia, jakby ta możliwość stanęła m po raz pierwszy przed oczami i rzucała na nową książkę Camus nieco korzystniejsze światło.

Pokrewieństwo ,,Upadku'' z twórczością Kafki uszło uwa dze autorów wszystkich znanych mi artykułów i recenzji. Częś winy za to ponosi sam Camus, który nadał temu co miał d powiedzenia w swej ostatniej książce niefortunną raczej i dwu znaczną formę literacką: na okładce oryginału pod ,,La Chute widnieje napis ,,récit'', o ,,opowiadaniu'' mówił pochopnie Mo ravia i w tekście znajdziemy istotnie sporo śladów kredy świad czących o takim zamiarze krojczego gdy zabierał się do robot Ale nie jest to opowiadanie i wielu czytelników (podobnie ja Moravia) dostrzegło tylko połowicznie lub zupełnie przeoczy sens ,,Upadku'', dając się zbić z tropu realistycznym pozoro jego formy. Jest to traktat moralny, medytacja moralna w sty przypowieści. Camusa pociągała pierwotnie nazwa ,,Bohat naszych czasów'' i resztki tej pokusy oglądamy jeszcze na kar tytułowej wydania angielskiego w kilku zdaniach motta z Le montowa: ,,Niektórzy byli strasznie i to na serio obrażeni, m jąc przed oczami jako model tak niemoralną postać jak ,,Boh ter naszych czasów''; inni zauważyli bystro że autor sportret wał siebie i swoich znajomych... ,,Bohater naszych czasów' panowie, jest rzeczywiście portretem ale nie jednostki; jest agregat przywar całego naszego pokolenia w ich najpełniejszy wyrazie''. Jean-Baptiste Clamence z ,,Upadku'' kończy sw monolog odsłonięciem metody artystycznej Camusa: ,,Konstr uję portret który jest wizerunkiem wszystkich i nikogo. Krótk mówiąc — maską, podobną do owych karnawałowych mase jak żywych i stylizowanych zarazem, które wywołują u lud okrzyk: ,,Ależ na pewno go gdzieś widziałem!'' Kiedy portr jest skończony, pokazuję go z wielkim smutkiem: ,,Oto ja niestety jestem!'' Rola oskarżyciela jest skończona. Ale równ cześnie portret który trzymam przed moimi współczesnymi sta się zwierciadłem''. Po tej metodzie łatwo rozpoznać warszt Mistrza gdzie terminował autor ,,Upadku''. W szkicu Camu ,,Nadzieja i absurd w twórczości Franza Kafki'' znajdujemy je no zdanie, które przylega jak ulał do monologu Jean-Baptis Clamence: ,,Do pewnego stopnia Kafka jest tym który mów chociaż to my jesteśmy tymi których spowiada''.

Lecz tu zachodzi rzecz dziwna i interesująca zarazem d krytyków literackich: mimo określonego i pięknie opisane tła amsterdamskiego spowiedzi bohatera ,,Upadku'', mimo ko kretnego i osadzonego dokładnie w kalendarzu curriculum vit adwokata paryskiego Jean-Baptiste Clamence, jest on znacz mniej realny niż urzędnik bankowy Joseph K. z ,,Proces

i geometra Joseph K. z „Zamku" choć obaj beztwarzowi wysłannicy Kafki noszą te same umowne imiona i inicjały nazwisk i działają w jednakowo nieokreślonym czasie i miejscu. Dlaczego? Można oczywiście ten paradoks położyć na karb geniuszu Kafki: Edwin Muir przytacza z „Literarische Welt" trafną uwagę Willy Haasa, że Kafka miał wspaniały dar wyprowadzania realnego z realnego, startowania z czegoś konkretnego i pogrążania się myślą w czymś co wydaje się jeszcze bardziej konkretne. Byłoby to jednak tylko częściowe wyjaśnienie zagadki. Faktem jest że do tego typu traktatu moralno-metafizycznego, jaki za Kafką przedsięwziął Camus, nie nadaje się konwencjonalna technika realistyczna powieści czy noweli. Skutek jest taki że portret wydaje się zbyt niedokrwisty by potrafił dać wizerunek żywej jednostki, a jednocześnie zbyt specyficzny by mógł od pierwszego spojrzenia uchodzić za „agregat przywar całego pokolenia"; słowem — będąc portretem namalowanym wyblakłymi już trochę farbami na zwierciadle, zajmuje tyle lustrzanej przestrzeni że w tym co z niej zostaje nie sposób się dobrze przejrzeć. Moravia miał pewne prawo w imieniu licznych czytelników „Upadku" do swojego grymasu irytacji.

2

We wspomnianym przed chwilą szkicu Camusa „Nadzieja i absurd w twórczości Franza Kafki" zainteresuje nas najpierw część dotycząca absurdu.

Po czym poznaje się obecność absurdu w utworze literackim? Po wewnętrznych sprzecznościach które powstają wówczas, gdy „umysł rzutuje w konkretność swoją tragedię duchową, a może to uczynić jedynie środkami nieustannego paradoksu nadającego kolorom moc wyrażania próżni, codziennym gestom zaś siłę tłumaczenia odwiecznych dążeń". W tej podstawowej dwuznaczności tkwi sekret Kafki. „Nieustanne wahania między naturalnym i niezwykłym, indywidualnym i powszechnym, tragicznym i codziennym, absurdalnym i logicznym występują w całej jego twórczości, nadając jej wydźwięk i znaczenie". Każdy symbol rozgrywa się na dwóch planach, w dwóch światach myśli i uczuć. „U Kafki te dwa światy to z jednej strony — świat codziennego życia, a z drugiej — świat nadprzyrodzonego niepokoju". W doli człowieczej towarzyszą sobie wzajemnie zasadnicza absurdalność i nieubłagana wzniosłość. By dać pojęcie o tej absurdalności, trzeba tchnąć w nią życie w serii równoległych kontrastów. Kafka więc wyraża tragedię codziennością a absurd logiką".

„Zamek" jest „dziwną powieścią w której nic się nie kończy i wszystko zaczyna od nowa, przygodami duszy w poszukiwaniu łaski'. W „Procesie" bohater „mógłby się nazywać Schmidt lub Franz Kafka. Ale nazywa się Joseph K. Nie jest on i równocześnie jest Kafką. Jest przeciętnym Europejczykiem,

jest podobny do każdego z nas. Ale jest również istotą K. — niewiadomą tego równania z krwi i kości. Podobnie gdy Kafka chce wyrazić absurd, używa konsekwencji. Znacie historię wariata łowiącego ryby w wannie. Lekarz z głową pełną nowoczesnych metod psychiatrycznych pyta go czy biorą, na co otrzymuje ostrą odpowiedź: ,,Oczywiście że nie, idioto, przecież to jest wanna''. Ta historia należy do typu barokowego. Ale można w niej uchwycić zupełnie jasno do jakiego stopnia absurdalny efekt związany jest z nadmiarem logiki. Świat Kafki jest w samej rzeczy wszechświatem nie do opisania, w którym człowiek pozwala sobie na męczący luksus łowięnia ryb w wannie wiedząc z góry, że nic z tego nie wyjdzie''.

Ty cytaty są tak wymowne, że ludziom którzy czytali raz ale uważnie lub dwa razy ,,Upadek'' wszelki komentarz wyda się zbyteczny. W interesie ciągłości eseju o Camusie i Kafce trzeba jednak to ogniwo choć pokrótce zaznaczyć. Jean-Baptiste Clamence jest człowiekiem absurdalnym. Zaczyna swoją błyskotliwą karierę jako bezgranicznie dobry, ofiarny i szlachetny adwokat, uosobienie wszystkich cnót mieszczańskich i ludzkich, obrońca słabych i pokrzywdzonych. Nagle uświadamia sobie, że jego dobroć i szlachetność są tylko maską bezgranicznej pychy, próżności i samoadoracji. Zaczyna nad tym cierpieć — nie bardzo wiadomo dlaczego, skoro świetnie przez Camusa sformułowana zasada ,,człowiek nie może kochać innych nie kochając siebie'' dotyczy całego rodzaju ludzkiego, nie wyłączając świętych — traci apetyt, humor i gust do miłostek. Tu, na znak dany przez Mistrza Absurdu, stawiają się do apelu na ,,Zamku'' przed trybunałem wiecznego ,,Procesu'' pierwsze ,,wewnętrzne sprzeczności''. Za nimi podążą następne. Clamence ,,rzutuje w konkretność swoją tragedię duchową'', wkracza jedną nogą ze ,,świata codziennego życia'' w ,,świat nadprzyrodzonego niepokoju'', domyśla się że odkrył w codzienności tragedię a w absurdzie pewną logikę. Pełne potwierdzenie jego podejrzeń nie daje na siebie długo czekać: pewnego wieczoru słyszy na opustoszałej ulicy Paryża głośny śmiech — jest to pogardliwy ,,śmiech wszechświata''. Wkrótce potem, wracając z jakiejś nocnej libacji w lepszym nastroju, przechodzi przez jeden z mostów paryskich, widzi samotną dziewczynę opartą o balustradę, idzie dalej i słyszy krzyk oraz odgłos upadku ciała dochodzący z Sekwany. Zatrzymuje się na chwilę, ale nie pędzi na ratunek: dreszczem przejmuje go myśl o ryzyku życia i przerwaniu tego fizycznego błogostanu, jaki wywołuje krew pobudzona do żywszego krążenia winem. To był *jego* a nie owej nieznanej dziewczyny upadek: odkąd zrozumiał że jego dobroć staje jak wryta u progu prawdziwej ofiary i niebezpieczeństwa śmierci, wkracza obiema nogami w ,,świat nadprzyrodzonego niepokoju'', wie na pewno że nosił przez długie lata maskę która wyżłobiła mu na swoje podobieństwo rysy twarzy. Teraz staje się winnym bez winy (nawet Moravii udzielił się mimowoli absurd obecny w książce Camusa!): wyrok skazujący człowieka zapada często w przypad

kowym krzyku dobywającym się z ust przypadkowej osoby w jakimś przypadkowym czasie i miejscu. Zwiedziony okazywanymi mu pozornie przez życie względami, zachował się tak nieostrożnie że nastąpił jego upadek. Ale nie czeka aż stawią się władze by go usunąć z drogi; usuwa się z drogi sam.

Wie bowiem także że na próżno szukałby na tym świecie uniewinnienia lub przynajmniej rozgrzeszenia (,,Proces'' trwa wiecznie!) i dlatego odpowiada na absurd jeszcze większym absurdem: ciska w kąt karierę, pozycję społeczną i dobrobyt, wyjeżdża do Amsterdamu i zostaje własnym sędzią. Tam, w barze portowym Mexico City, spędza dzień w dzień z prawie pustymi kieszeniami smutne wieczory, rozmawiając z rzadkimi chętnymi lub z samym sobą. Jest obecnie arcyabsurdalnym już z nazwy ,,sędzią-pokutnikiem'', czyli innymi słowy — nad szklanką ginu pozwala sobie na męczący i jedyny jaki mu pozostał luksus łowienia ryb w wannie wiedząc z góry że nic z tego nie wyjdzie. Jakże mógłby o tym nie wiedzieć, skoro Sąd Ostateczny odbywa się codziennie? Do ostatniej chwili, do ostatniego słowa długiego monologu, nie opuszcza go ciągle jaśniejsza logika absurdalności doli człowieczej. Zamyka swój monolog tak: ,,O młoda dziewczyno, rzuć się znowu do Sekwany bym miał po raz drugi szansę uratowania nas obojga!''. Po raz drugi, eh, co za ryzykowna sugestia! Niech pan tylko pomyśli, *cher maître*, co będzie jeśli nas wezmą za słowo? Musielibyśmy przejść przez to jeszcze raz. Brr!... Woda jest taka zimna! Ale nie martwmy się. Jest już za późno. Zawsze będzie za późno. Na szczęście!''

Oczywiście że francuski krewny Josepha K. nie dostąpiłby nawet po raz drugi łaski uratowania siebie wraz z tonącą dziewczyną! Gdyż w sferze władania ,,Zamku'', w świecie przygód duszy poszukującej łaski, nic się nie kończy i wszystko zaczyna od nowa.

3

Zanim pogłębimy bardziej związki między ,,Upadkiem'' a ,,Procesem'' i ,,Zamkiem'' zatrzymajmy się chwilę nad jedną nowelą Kafki, która daje zdumiewająco precyzyjnie dopasowany klucz do genezy traktatu moralnego Camusa. Ta nowela, licząca wszystkiego piętnaście stron druku, nosi tytuł ,,Sąd'' (lub ,,Wyrok'') i była Kafce wyjątkowo bliska; tak bliska że w testamencie-liście do Maxa Broda nazwał ją ,,książką'' i postawił na pierwszym miejscu pięciu krótkich utworów zasługujących na ocalenie od ognia, który w myśl życzeń autora miał między innymi pochłonąć dwa jego największe arcydzieła powieściowe.

Trudno ją w ogóle streścić i sam Kafka miał z tym nielada kłopot, gdy po zrobieniu korekty ,,Sądu'' poświęcił mu pół stroniczki w swoim ,,Dzienniku'' pod datą 11. 2. 1913. Rzecz wygląda z grubsza tak: w niedzielny poranek wiosenny młody kupiec Georg Bendemann siedzi przy oknie z błogim uczuciem

zadowolenia z życia. Umarła mu wprawdzie już dawno matka, ale ma za to miłą narzeczoną, i przedsiębiorstwo, odkąd przestał się nim zajmować zniedołężniały ojciec, prosperuje z każdym dniem lepiej. Georg skończyć właśnie pisać list do przyjaciela, którego nie widział od trzech lat — również kupca, nieszczęśli wego i osamotnionego w obcym Petersburgu, donosząc mu o swoich zaręczynach. Idzie z tym listem do sąsiedniego pokoju ojca gdzie wywiązuje się między nimi rozmowa : syn uprzytam nia sobie stopniowo, że (jak powiada Kafka w ,,Dzienniku'' ,,nie posiada niczego'', że ,,wszystko co ich wiąże oparte jest na ojcu''. I oto ,,jedynie dlatego że nie pozostało mu nic własnego z wyjątkiem widoku ojca, wyrok który go odcina całkowicie od ojca ma taki piorunujący efekt''. Jakiż to wyrok ? Pod koniec rozmowy ojciec mówi : ,,A więc teraz już wiesz co jeszcze poza tobą istnieje na świecie, dotychczas wiedziałeś tylko o sobie. Niewinne dziecko — tak, to prawda że byłeś niewinnym dziec kiem, ale jeszcze większa prawda że byłeś diabelską istotą ludzką ! I dlatego uważaj : skazuję cię w tej chwili na śmierć przez utopienie''. Georg wybiega jak szalony z domu, wpada na most i rzuca się do wody z okrzykiem : ,,Tym niemniej, dro dzy rodzice, zawsze was kochałem''. Dudnienie tramwaju na moście ,,zagłusza dźwięk jego upadku''.

(W nawiasie króciutka ilustracja słuszności spostrzeżenia Camusa, że bohater ,,Procesu'' mógłby się nazywać Schmidt lub Franz Kafka. W ,,Dzienniku'' po tym streszczeniu następują przedziwne rozważania na temat imienia i nazwiska młodego kupca z ,,Sądu'': ,,Georg ma tę samą ilość liter co Franz. W Bendemann ,,mann'' — człowiek — występuje jedynie po to by wzmocnić ,,Bende'' — związki — na wypadek jakichkolwiek nieprzewidzianych możliwości w noweli. Ale Bende ma tę samą ilość liter co Kafka i samogłoska ,,e'' powtarza się w tych sa mych miejscach co samogłoska ,,a'' w nazwisku Kafka'').

Poza bezpośrednią i plastyczną wizją upadku, poza wyro kiem który znowu zapada w przypadkowym słowie wypowiedzia nym przez przypadkową osobę w przypadkowym czasie, poza wreszcie typowo absurdalnym ,,tym niemniej'' Kafki jakże przy pominającym ,,zawsze będzie za późno'' Camusa, muszą zwrócić naszą uwagę znacznie istotniejsze więzy pokrewieństwa łączące w tym stadium autora ,,Sądu'' z głosicielem nieustannego Sądu Ostatecznego. Podobnie jak Jean-Baptiste Clamence, Georg Bendemann był ,,niewinnym dzieckiem'', faworytem losu, aż do chwili gdy upadek uprzytamnia mu że ,,nie posiada niczego'' (także porte-parole Camusa mówi o sobie : ,,nie posiadam ni czego'') i zerwawszy z jego twarzy maskę mieszczańskich cnót ukazuje w lustrze ,,diabelską istotę ludzką''. Podobnie jak adwokat paryski u szczytu powodzenia życiowego, ten Bende mann czyli ,,człowiek związany'' i to zdawałoby się szczęśliwie związany ! — zostaje nagle w okamgnieniu ,,całkowicie odcięty'' od świata. I podobnie jak ,,sędzia-pokutnik'', zamyka w okrzyku ,,tym niemniej zawsze was kochałem'' świadomość że jest rów

nocześnie winny i niewinny. Obaj więc stają się najzupełniej nieoczekiwanie (dokładnie tak samo jak wzorowy i stale awansujący urzędnik bankowy Joseph K. z ,,Procesu'', na którego spada pewnego ranka w błyszczącym od czystości pensjonaciku Frau Grubach grom z jasnego nieba w postaci dwóch policjantów z nakazem aresztowania) tym czym od początku był Meursault — ,,étrangerami, outsiderami w stosunku do istniejącego porządku rzeczy''. Osacza ich znienacka pogardliwa obojętność wszechświata, widzą dokoła siebie zamiast królestwa mieszczańskiego porządku dzikie pola bezsensu, nawiedzeni tym szczególnym darem jasnowidztwa, który Kafka tak opisuje w opuszczonym przez Broda fragmencie ,,Zamku'' : ,,Jeśli masz dość siły by patrzeć na rzeczy nieprzerwanie, bez zmrużenia choćby na ułamek sekundy oczu, zdołasz zobaczyć dużo; ale jeśli raz tylko pozwolisz sobie na wytchnienie i przymkniesz powieki, wszystko rozchwieje się natychmiast w nieprzeniknionym mroku''. Mają jeszcze jedną powinowatą duszę. Jest nią geometra Joseph K., określany i unikany przez wszystkich niemal mieszkańców wioski u stóp Zamku jako ,,outsider''.

Możemy przekręcić klucz: Camus podjął w ,,Upadku'' nie tylko ledwie widoczną w ciemnym labiryncie nić Kafki, lecz także porzucony ścieg swego własnego debiutu powieściowego. Z tym wszakże rozszerzeniem i wzbogaceniem starego haftu, że o ile Meursault jest niejako ,,étrangerem'' z urodzenia, jednym z nielicznych wybranych, to Jean-Baptiste Clamence stając się nim bez żadnych po temu na pozór danych życiowych i dyspozycji psychicznych, zdaje się mówić do czytelników: ,,W gruncie rzeczy wszyscy bylibyście wraz ze mną ,,outsiderami'', gdybyście mieli dość siły by patrzeć na rzeczy nieprzerwanie, bez zmrużenia choćby na ułamek sekundy oczu''. Innymi słowy — kiedy odsłania przed współczesnymi swój skończony autoportret, chce aby każdy z nas dojrzał w nim jak w zwierciadle własne odbicie.

4

Georg Bendemann, mały winny bez winy z ,,Sądu'', stanowi jednak zaledwie preludium do Josepha K., wielkiego winnego bez winy z ,,Procesu''. I jeżeli w spojrzeniu na ,,Sąd'' i ,,Upadek'' uderzyło nas ważne wprawdzie lecz ciągle jeszcze dość płytko zakorzenione podobieństwo, to schodząc w głąb labiryntu ,,Procesu'' musimy się dokopać cierpliwie do najniższych pokładów by zobaczyć zależność Camusa od Kafki w całej pełni.

,,Wina człowieka nie jest nigdy wątpliwa'' — czytamy w ,,Kolonii karnej'' Kafki. ,,Proces'' jest genialnym rozwinięciem tego twierdzenia do rozmiarów wszechobecnego koszmaru, w którym miażdżący ucisk logiki wzrasta wprost proporcjonalnie do kolejnych dawek absurdu. ,,Jestem niewinny — mówi w katedrze K. do księdza. — Jak można w ogóle nazywać kogokolwiek winnym? Jesteśmy wszyscy prostymi ludźmi, podob-

nymi do siebie kropla w kroplę". „To prawda — odpowiad ksiądz — ale tak mówią wszyscy winni'. Malarz Titorelli, głę boki znawca tego przedmiotu, wyjaśnia bohaterowi „Procesu" mechanizm działania Trybunału. Istnieją trzy możliwości unie winnienia: definitywne uniewinnienie, pozorne uniewinnieni i bezterminowe odroczenie. Mimo że definitywne uniewinnieni przewidywane jest przez Prawo, nie sposób dowieść jego stoso wania w praktyce — w każdym razie Titorelli nie zetknął si w czasie swej długoletniej zażyłości z Trybunałem z ani jednym takim wyrokiem. W wypadku pozornego uniewinnienia oskar żony wychodzi z sali sądowej jako wolny człowiek, ale w rzeczy wistości jest tylko „pozornie wolny lub ściślej — prowizoryczni wolny. Gdyż Sędziowie niższego stopnia, do których należą mo (Titorellego) znajomi, nie posiadają władzy wydawania ostatecz nych wyroków uniewinniających; ta władza zastrzeżona jes wyłącznie dla Sądu Najwyższego, do którego nikt z nas nie ma dostępu... Sędziowie niższego stopnia nie są zatem wyposażen w wielki przywilej uwalniania z winy, ale przysługuje im praw zdejmowania oskarżenia z ramion podsądnego. Znaczy to, że jeśl pan jest uniewinniony w ten sposób, oskarżenie zostaje zdjęt na razie z pana ramion lecz ciąży nad panem dalej i może, gd tylko nadejdzie rozkaz z góry, opaść z powrotem na pana ramio na". Nie dowierzając prawie własnym uszom, K. pyta czy cała sprawa zaczyna się wówczas od nowa. Oczywiście — odpowiada Titorelli — ale można także starać się znowu o pozorne unie winnienie. I to drugie uniewinnienie nie jest również ostateczne — dopytuje się z przerażeniem K. „Oczywiście że nie — wyjaś nia z niewyczerpaną cierpliwością Titorelli. — W ślad za dru gim uniewinnieniem przychodzi trzecie aresztowanie, w ślad za trzecim uniewinnieniem czwarte aresztowanie i tak dalej. Jes to zawarte w samej idei pozornego uniewinnienia".

Bezterminowe odroczenie polega na „zapobieżeniu by spra wa wydostała się kiedykolwiek ze swojej fazy początkowej" Nie, nie chodzi tu o umorzenie postępowania sądowego — do daje jednak zaraz Titorelli — „ale oskarżony ma niemal taką samą szansę uniknięcia wyroku jakby był wolny". I w końcu krótki dialog zaokrąglający rozmowę. Titorelli: „Obie metody (pozorne uniewinnienie i bezterminowe odroczenie) mają tę wspólną cechę, że ratują oskarżonego od zbliżania się do wy roku". Joseph K.: „Ale nie dopuszczają również do prawdzi wego uniewinnienia". Titorelli: „Uchwycił pan sedno sprawy"

Rzecz jasna — i czytelnicy tego szkicu zauważyli to ju na pewno sami — świat, w którym nie ma w ogóle definitywneg uniewinnienia, w którym powracająca wiecznie fala pozorneg uniewinnienia jest powtarzanym codziennie Sądem Ostatecznym gdzie jak groźne memento brzmią słowa „zawsze będzie za póź no", w którym bezterminowe odroczenie jest tylko wątpliwym przywilejem zapominania lub nieświadomości „wybrańców po wodzenia życiowego", ucieczką w złudzenia „outsiderów" mru żących oczy w obliczu swego „outsiderstwa" — ten świat prze

kroczył również próg baru Mexico City w Amsterdamie. ,,W filozofii i w polityce — mówi bohater ,,Upadku'' — jestem po stronie każdej teorii, która odmawia przyznania człowiekowi niewinności i po stronie każdej praktyki, która traktuje go jako winnego. Ma pan przed sobą, *très cher,* oświeconego adwokata niewolnictwa''. Ta ostatnia uwaga jest ironiczna i można ją lepiej zrozumieć jedynie w zestawieniu z następującym passusem: ,,Myślą która najnaturalniej przychodzi do głowy człowiekowi jest myśl o jego niewinności. Pod tym względem jesteśmy wszyscy jak ów Francuz w Buchenwaldzie, który za wszelką cenę chciał złożyć zażalenie u współwięźnia zapisującego jego przybycie do obozu. Zażalenie? Ogólny wybuch śmiechu: ,,Szkoda czasu i atłasu, koleżko. Tu się nie składa zażaleń''. A Francuz na to: ,,Moja sprawa jest wyjątkowa. Jestem niewinny!'' Ale istota rzeczy tkwi u Camusa gdzie indziej, nieprzed ludzkimi trybunałami odbywają się sprawy oskarżonych z ,,Upadku'' i ,,Procesu''. Jean-Baptiste Clamence wie wraz z Josephem K. że ,,najdotkliwszą z męczarń człowieka jest być sądzonym bez prawa (1). A przecież znajdujemy się w kleszczach tej męczarni''.

Bohater ,,Procesu'' nie może się z tym do końca pogodzić i dlatego w opustoszałej katedrze ksiądz krzyczy do niego z ambony: ,,Nie potrafisz niczego w ogóle zrozumieć?''. Był to ,,gniewny okrzyk, ale jednocześnie zabrzmiał jak bezwiedny alarm człowieka który widzi czyjś *upadek* i nie jest w stanie nad sobą zapanować''. W tejże samej scenie katedralnej ksiądz opowiada Josephowi K. przypowieść która poprzedza Księgę Praw. Mowa w niej o człowieku przybyłym z prowincji z zamiarem dostania się do gmachu Prawa. Oddźwierny stojący na straży przed bramą gmachu oznajmia mu, że w tej chwili nie może go wpuścić. Petent czeka lata na właściwą chwilę i wreszcie przed śmiercią, złożony już niemocą, prosi strażnika by się do niego zbliżył. O cóż teraz chodzi? — mówi strażnik — jesteś *nienasycony*. ,,Każdy stara się dotrzeć do Prawa — pyta szeptem petent — jak się to więc dzieje że w ciągu tych wszystkich lat nikt poza mną nie prosił o wpuszczenie do gmachu?'' Z odpowiedzi wynika, że nikt poza nim nie mógłby otrzymać zezwolenia na wejście do Prawa, gdyż brama gmachu przeznaczona jest wyłącznie dla niego. Joseph K. oburza się że strażnik oszukał petenta, odsłaniając przed nim rąbek zbawienia gdy nie mogło mu ono już pomóc. (Clamence krzyknąłby tu: ,,zawsze jest za późno!''). Z tym kafkowskim ujęciem beznadziejności i tortury nadziei nie zgadza się ksiądz. Zdaniem wielu egzegetów Księgi Praw naprawdę oszukanym człowiekiem był strażnik, skoro nie widział nigdy na własne oczy Prawa i nie wiedział nawet na pewno czy istnieje cokolwiek za strzeżoną przez niego

(1) W ,,Problemie naszych praw'' Kafka pisał: ,,Nasze prawa nie są powszechnie znane; niezmiernie to bolesna rzecz być rządzonym przez prawa których się nie zna''.

bramą. „Nie jest bynajmniej konieczne — precyzuje ksiądz — przyjmować wszystko jako prawdę, trzeba tylko przyjmować wszystko jako konieczność”. „Melancholijna konkluzja — zamyśla się K. — Kłamstwo obraca się w niej w uniwersalną zasadę”.

Przeciwko tej „melancholijnej konkluzji” buntuje się wielki winny bez winy z „Procesu” — nie dla niego prawa życia gdzie „nic się nie kończy i wszystko zaczyna od nowa”! Idąc na egzekucję, trzymany mocno pod ręce przez dwóch katów, mówi sobie w duchu: „Czyż mam opuścić ten świat jako człowiek który odepchnął od siebie wszelkie konkluzje? Czyż ludzie mają o mnie powiedzieć po moim odejściu, że na początku mojej sprawy chciałem ją zakończyć a pod jej koniec chciałem ją zacząć od nowa? Nie chcę aby tak o mnie powiedziano”. W praktyce więc — choć ginie „jak pies” gdy jeden z oprawców trzyma go za gardło, a drugi wbija mu nóż w serce i dla pewności obraca go dwukrotnie w krwawym otworze, w praktyce Joseph K. popełnia samobójstwo.

Jego powinowaty, sędzia-pokutnik z „Upadku”, znalazł inną formę buntu: „im bardziej się samooskarża, tym większe ma prawo do sądzenia innych”; w chwilach słabości oddaje się marzeniom o „drugiej szansie uratowania siebie wraz z tonącą dziewczyną” mimo że „zawsze będzie za późno”; przy stoliku Mexico City w Amsterdamie korzysta w pełni z ostatniego luksusu łowienia ryb w wannie wiedząc z góry, że nic z tego nie wyjdzie...

5

Pokrewieństwo Camusa z Kafką w mrocznym świetle „Procesu” zamienia się w polemikę Camusa z Kafką kiedy zaczynamy śledzić „przygody duszy w poszukiwaniu łaski” na stronicach „Zamku”.

Zapowiedź tej polemiki pojawia się już w szkicu „Nadzieja i absurd w twórczości Franza Kafki”. Do tego wszechświata wyzutego z postępu — pisze Camus z myślą o „Procesie” — Kafka wprowadzi nadzieję w przedziwnej postaci. Pod tym względem „Proces” i „Zamek” nie są powieściami jednokierunkowymi, lecz wzajemnie się uzupełniają... „Proces” stawia problem który „Zamek” do pewnego stopnia rozwiązuje”. Tak jest w istocie. W „Procesie” nie ma nadziei i kończy się on straceniem-samobójstwem bohatera. W „Zamku” jest nadzieja gdyż w przeciwieństwie do niewątpliwej zawsze winy człowieka w „Kolonii karnej” sekretarz Klamma, Momus, stwierdza w swym raporcie, że „wina geometry K. jest trudna do ustalenia”. Mimo że każda nowa próba wiecznego „étrangera”, geometry Josepha K., dostania się na Zamek i osiedlenia na stałe w wiosce zamkowej napotyka przeszkody nie do przezwyciężenia i kończy się klęską, jest on — w odróżnieniu do swego imiennika z „Procesu”, szukającego z coraz większą pogardą

i rozpaczą sprawiedliwości — pełen w głębi ducha szacunku dla Nieosiągalnego Celu. Olga Barnabas dostarcza wyjaśnienia dlaczego, gdy zapewnia dosłownym echem z ,,Martwego domu'' Dostojewskiego że ,,zupełnie bez nadziei żyć nie można''. ,,Zamek'' pozostał nieukończony, wiemy jednak od Broda jak Kafka wyobrażał sobie jego epilog : geometra Joseph K. umiera do końca nieustępliwy, lecz zmęczony swoją długą i bezowocną wędrówką w poszukiwaniu łaski ; nie była ona wszakże zupełnie bezowocna bo oto wokół jego łoża śmierci zbierają się mieszkańcy wioski zamkowej, a z samego Zamku nadchodzi wiadomość że jakkolwiek jego prośba o zezwolenie na stały pobyt w wiosce nie posiada podstaw prawnych, to z uwagi na pewne okoliczności wspierające pozwala mu się zostać i pracować na miejscu. Z drugiej strony od tegoż Broda wiemy również, że w brakujących i planowanych przez Kafkę rozdziałach, przed egzekucją postępowanie sądowe ,,Procesu'' miało przejść przez cały szereg dalszych instancji, nie docierając nigdy aż do samego Sądu Najwyższego.

Trzeba było napisać ,,Proces'' żeby zasiąść do pisania ,,Zamku'' — powiada Camus. I dodaje: co jest przekładem twierdzenia Kierkegaarda, że człowiek musi zabić ziemską nadzieję, bo jedynie wtedy może być zbawiony przez prawdziwą nadzieję. W ,,Zamku'' wkraczamy więc w nowy wymiar słusznie przez Broda podkreślonej ,,niewspółmierności ziemskich i religijnych celów''. Już ksiądz w ,,Procesie'' powiedział, że prawda nie pokrywa się wcale z koniecznością. Tę antynomię odrzucił jako ,,kłamstwo obracane w uniwersalną zasadę'' Joseph K. z ,,Procesu'', ale zdaje się z nią powoli oswajać Joseph K. z ,,Zamku'' i otrzymuje w końcu częściową nagrodę za swoją cierpliwość i *nadzieję*. Dlatego niezupełnie ścisła jest uwaga Camusa o ,,Zamku'' jako powieści, w której ,,nic się nie kończy i wszystko zaczyna od nowa''. W ,,Zamku'' coś się jednak kończy. Formułuje on pewien ciąg nieprzezwyciężalnych antynomii — prawda i konieczność, prawda i moralność, łaska i sprawiedliwość, łaska i rozum ludzki, sprawiedliwość i niewinność — i przezwycięża je przez ich przyjęcie. Jest to paradoksalna powieść w której rozpacz, daremność i bezsilność doprowadzają do nadziei przez sam fakt że są na dłuższą metę nie do wytrzymania, w której — jak trafnie notuje diagnoza Camusa — ,,absurd istnienia popycha trochę bardziej w kierunku rzeczywistości nadprzyrodzonej''. Można to jaśniej powiedzieć tak : w ,,Refleksjach o grzechu, bólu, nadziei i prawdziwej drodze'', pisanych po ,,Procesie'' a na parę lat przed ,,Zamkiem'', Kafka twierdził, że ,,istnieje cel lecz nie ma drogi'' ; w ,,Zamku'' odkrył że sama droga jest celem i już przez to choćby musi jednak prowadzić do jakiegoś celu. Ta buddyjska trochę Droga wymaga wielkiej ostrożności, trzeba się na niej ciągle pilnować by nie nastąpił upadek. ,,Outsider'' Kafki nie wytrzymuje swego ,,outsiderstwa'' i z piekła absurdu ucieka do czyśćca nadprzyrodzonej pociechy religijnej.

Dokładnie w tym miejscu kryje się jądro polemiki Camusa z Kafką. „Outsider" Camusa nie tylko wytrzymuje swoje „outsiderstwo", ale przyjmuje je. Co więcej — jest przekonany że tym większe odnosi zwycięstwo nad absurdem, rozpaczą i daremnością (i tym lepiej unika zasadzki nadprzyrodzonej pociechy religijnej), z im większą znosi je dumą, jasnością umysłu i heroizmem, a nawet — wyzywającą radością. Najważniejsze jest w „Upadku" ostatnie słowo na ostatniej stronicy: „Na szczęście!" woła Clamence po uświadomieniu sobie że „zawsze będzie za późno". Także on wie, że „sprawiedliwość należy raz na zawsze oddzielić od niewinności", lecz odpowiada na to „nie martwmy się!". Kafka pisał we wspomnianych przed chwilą „Refleksjach" że człowiek nie może żyć bez uporczywej ufności w coś niezniszczalnego w sobie samym, bywa jednak przez całe życie nieświadomy owej niezniszczalnej rzeczy i jedną z form tej ustawicznej nieświadomości jest wiara w Boga; dla Camusa ideałem jest pełna świadomość czegoś niezniszczalnego w sobie samym, która rzuca wyzwanie bogom, przekłada prawdę nad wybiegi konieczności, rozum ludzki nad łaskę, rozpaczliwą mądrość nad umyślną ślepotę i wraz z Nietzschem odpych od siebie dumnie nadprzyrodzoną pociechę w imię jałowej i zwycięskiej jasności umysłu. Sąd Ostateczny odbywa się codziennie — i cóż z tego? Codziennie też bohater „Mitu Syzyfa" toczy na szczyt góry swój głaz, wiedząc dobrze że jego wysiłek jest daremny. A przecież to właśnie w owej chwili gdy Syzyf patrzy z wierzchołka na staczający się głaz i schodzi z powrotem w dół, budzi on zachwyt Camusa. Jest to „chwila świadomości", w czasie powrotu w dół Syzyf „wznosi się ponad swój los". „Jeśli ten mit jest tragiczny, to dlatego że jego bohater jest świadomy... Jasność umysłu która miała stanowić jego torturę wieńczy równocześnie jego zwycięstwo. Nie ma takiego losu, którego nie można by pokonać pogardą... Samo wdzieranie się na szczyt starczy by wypełnić serce człowieka. Trzeba sobie wyobrażać Syzyfa jako szczęśliwego".

Jedyną postacią bliską Camusowi w „Zamku" jest zapewne tragiczna i bohaterska Amalia Barnabas, która „stała oko w oko z prawdą i żyła dalej, znosiła swe życie wczoraj i dzisiaj". Pora podsumować rachunek: W ostatniej książce Camusa — gdzie w epizodzie na Zuyderzee, podobnie jak w „wszechświecie Kafki wyzutym z postępu", ma się uczucie że choć statek „robi postęp nic się zarazem nie zmienia" — jasność umysłu i świadomość bohatera, która powoduje jego upadek, oznacza równocześnie jego podniesienie się. Jean-Baptiste Clamence upada, podnosi się, ogląda się za siebie i wraca do punktu wyjścia. W czasie tego powrotu wznosi się ponad swój los. Trzeba go uważać za szczęśliwego. Dał nam do tego zresztą sam prawo, gdy wracając do wylotu swej drogi krzyknął: „Na szczęście!".

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Młodzi poeci wrocławscy

Tadeusz NUCKOWSKI, ur. w roku 1915, w województwie lwowskim. Studia polonistyczne zaczyna we Lwowie, kończy — po ostatniej wojnie — we Wrocławiu. Podczas okupacji bierze czynny udział w życiu kulturalnym na terenie Lwowa. W 1944 zmobilizowany do Wojska Polskiego utworzonego w Rosji. W 1946 zapisuje się na Uniwersytet Wrocławski. Wiersze ogłaszał w krakowskim „Dzienniku Polskim", w „Zeszytach Wrocławskich", „Tygodniku Powszechnym", w „Dziś i Jutro" i w jednodniówce literackiej „Inaczej" (Kraków 1945). W roku 1956 Almanach literacki wrocławskiego Oddziału Związku Literatów Polskich zamieścił wiersze Nuckowskiego. Jest autorem kilku nie ogłoszonych dotychczas zbiorków.

USTA WCIĄŻ GŁODNE

(Wiersz autobiograficzny)

Macierzanką poranną
pachniało twoje dzieciństwo,
a łubinami — młodość
i głodna miłość,
klerku słoneczny,
cichy braciszku
gazel, kwiatów, dziewcząt.
Ale chłodne poranki mroźnej pory
głodem karmiły
twoją w skwar dojrzewającą tęsknotą.

Teraz
chłodnieją już popołudnia
i dalią pachnie siwizna u twej skroni,
a skwar nie nasycony
smakiem goryczy
napełnia twe nieme bólem usta —
wciąż głodne.

Tadeusz NUCKOWSKI

EKLOGA WROCŁAWSKA

Sponad dachów starego ratusza
lipcem zakwitają obłoki —
złote plastry spływają
w horyzont kłosów.
Z odchylonych blaskiem den Odry
wachlarzem wybucha dzwoniąc
srebro wilgotnej pogody.
Spracowane ciało namażesz oliwą słońca
i zmyjesz w leśnej wodzie
na brąz dyskobola.
Na piasku nadrzecznym
pąsowo zakwitają dziewczęta —
ich usta urodzą ciepłe jagody.

Tadeusz NUCKOWSKI

ŻYWILIŚMY SIĘ CHLEBEM PRZEKORY

Zły nam kiedyś czas nastał,
braciszku.
Dzieckiem tak spokojnie patrzyłeś
w dym pachnący ufną wieczerzą znad rodzinnej strzechy,
w oczy ciepłe dobrocią.
Umarł nam dom
i tyś się zawieruszył w wojnie i śmierci.
A tamtej nocy
w zawiei
wymarły skowronki,
co niosły nam wiosny śpiewny zapach.
Złe się w zaczadzonych złą żądzą sercach zalęgło —
gacek grozy w sny dzieci się wpijał.
Skoro poranek nam światłem oczy namazał,
żywiliśmy się chlebem przekory:
spragnionym spojrzeniem
nad miastem ruin
niebo zakwitało
wiejską piosenką dzieciństwa.

Tadeusz NUCKOWSKI

Założona w październiku 1956 wrocławska grupa artystyczna „*Dlaczego Nie*" skupia młodych literatów, plastyków, muzyków i aktorów. Eklektyzm w filozofii — po gorzkich zawodach — i namiętne poszukiwania nowych środków wyrazu w sztuce, tak można by określić postawę najmłodszego pokolenia pisarzy i artystów Wrocławia. Żaden spośród poetów, których wiersze dziś drukujemy, nie wydał własnego tomu. Drukują w czasopismach krajowych i czytają swe wiersze przez radio.



Jerzy JANKOWSKI. Ukończył polonistykę na Uniwersytecie Wrocławskim. Zajmuje się również krytyką (w przygotowaniu obszerna praca „o poezji Tadeusza Różewicza"). Drukował w „Życiu Uniwersytetu", „Poglądach", „Kierunkach", „Współczesności" i innych. Od roku 1956 jest jednym z redaktorów „Życia Uniwersytetu". Jest również jednym z założycieli grupy „*Dlaczego Nie*".

LUDZIE XX WIEKU

tadeuszowi różewiczowi poświęcam

przekłuci spojrzeniem radaru
opadamy zwolna na dno

my ludzie xx wieku
my wyzwoliliśmy atom
my związaliśmy przestrzeń
my ujarzmiliśmy dźwięk

my ludzie
nie
my sprawcy i świadkowie hiroszimy

znamy
znamy wiele
znamy wiele krajów
malaje
    vietnam
        alger
            korea
                węgry

xx wiek jest z nami
kiedy kulą rozwieramy serca
kiedy bagnetem rwiemy ciała
kiedy kolbą miażdżymy czaszki
tryska na nas krew
tryska wyblakły mózg

a my z radosnym uśmiechem
patrzymy na nasz xx wiek
przez kółko osłony muszki

Jerzy JANKOWSKI

Jerzy KWAPISZ. Studiuje polonistykę. Debiutował w 1951 roku. Drukuje w „Kronice", „Życiu Uniwersytetu", „Słowie Polskim", „Gazecie Robotniczej" i innych. Należy do założycieli Grupy.

MÓJ CZAS

Opadam wolno w otwarty wąwóz zwątpienia
Serce alarmowy sygnale nie dzwoń ostrzegawczo
Roślino nadziei nie uchwycę twego korzenia
Gdzie krwawiły się gwiazdy puste oczodoły patrzą

Każda droga spętana supłem rozpaczy
W około chmur stepy i zorzy polarnej popiół
Nie ma tytana co skały na szczyty wtacza
Jest noc rozrywana jękiem moich kroków

Jerzy KWAPISZ

PROŚBA

Pomóż mi niebo odświeżyć
z suchych znoszonych barw
pomóż mi z kwiatów oberwać
miękki zbutwiały blask
pomóż mi z wiatru wyczesać

ciepły płaczliwy fałsz
pomóż mi z liści otrzepać
kruchy blaszany żal
pomóż mi z mowy odsypać
wszystkich słów miałkich piach
pomóż mi miłość zrumienić
prawdą jak blaskiem dnia

Jerzy KWAPISZ

Stanisław CHACIŃSKI. Debiutuje w 1953 roku. Początkowo związany jest z ruchem katolickim (redaguje ,,Wrocławski Tygodnik Katolicki"). Od 1957 pracuje jako redaktor wojskowego ,,Żołnierza Ludu". Wiersze ogłoszał w ,,Dziś i Jutro", w ,,Tygodniku Powszechnym", ,,Sygnałach" i innych. W roku bieżącym ukaże się tomik Chacińskiego ,,Tematy".

BALLADA O ZARDZEWIAŁEJ KRWI

Ulica Igielna
Jak zardzewiała igła

Pod każdym numerem
Prostytutki
Pijane rozkrzyczane
Klną swych alfonsów
Którzy śpiewają
Piosenki zza krat

A pod trzynastym
Na poddaszu
Mieszka poeta niezrozumiały
Z racji prostych słów

Poeta karmi szczury
Spleśniałym chlebem
I marzy Pomarańczową
Z ulicy oddalonej
Co jest zaułkiem westchnień
Akacji słodkich szeptów

Dziewczyna mieszka w bombonierce
Ma drogie radio z adapterem
Kocha Francuza Yves Montand'a
Co pięknie śpiewa i gra w filmie

Poeta ma sto kilka szczurów
Które nazywa po imieniu
Trzy kilo wierszy nieczytanych
Piętnaście proszków luminalu

Prostytutki mają alfonsów
Klientów z różnych warstw społecznych
I kilka setek za noc

Poeta łyknie proszki
Aby dotrzymać wierności
Idącej wąskostopej
Co mija bez skrętu głowy
Szczelinę rozkrzyczaną
W której rdzewieje krew

Stanisław CHACIŃSK

Wiesława SCHMUCKÓWNA. Magister geologii. Pracuje jako asy-tentka na Uniwersytecie Wrocławskim. Twórczość rozpoczęła prozą, og-szając swe opowiadania w ,,Sztandarze Młodych". Później zwraca s w stronę wierszy. Drukuje w ,,Ziemi Kieleckiej", ,,Poglądach" i innych.

SCHERZA NA TEMAT 1956

I.

Na świecie po którym chodzę
Nie ma przyjaciół
Wzburzony okeanos zacisznej zatoki
Nie ma
Nie spuszczać czujnego oka
Tłum białych twarzy
Naprzeciw
Uwaga

A te fioletowe gaje gdzie
Już za plecami
Mszyste pnie
Chłód
Tam leśna jagoda oparzy wargi
Czerwono zakwitły
Dzikich róż druty kolczaste

A te lazurowe obłoki gdzie
Wiszą nad głową
Takie płowe
Niebo wyszczerza gwiaździste zęby
Wysoko
Nie dostać
A noc rozdeptane kaczę tu blisko przy drodze leżało

Idą
Każdy na swoje miejsce
Już
Galilee' vicisti

Nie spuszczać czujnego oka
Tłum białych twarzy
Naprzeciw
Uwaga
Zabici walczą dalej

Nie dla chłodnej kąpieli ulepiono nam ciała
Nie na miłosne całusy czerwone mamy usta

II.

Urodzonym przed pierwszą wojną
Urodzonym po pierwszej wojnie
Urodzonym przed drugą wojną
Urodzonym po drugiej wojnie
Kazali nam żyć

To kłamstwo
Kazali umierać

Dali nam piękne ciała
Zwinne ręce
Bystre oczy
Smukłe lędźwie
Mocne nogi
Dali nam piękne ciała

Nieprawda
Rzucili pociskom na cel
Bezbronne karły
Na poszarpanie
Na wydarcie krwi

Wydali nas ziemi rozległej
Ludziom wydali ludzi
Oni nas urodzili

To zdrada
Oni skazali na śmierć

Słuchajcie wy
Dalecy nieznani
To jedno nas łączy
Zdrada

III.

Przeklęci nie mają bractwa
Każdy przeklęty jest sam
Im szary codzienny blask
Im ciepło tętniącej krwi
Wyszarpnięto

Ręce wyciągnąć — mur
Ręce wyciągnąć — ciemno
Wyjścia uciec gdzie
W usta spoisty piach
Mózg człowieczy przeorało nie
Pamiętajcie
Mózg przeorało nie

Wiesława SCHMUCKÓWN

Krwią czy myślą...

... prawda umarłych nie pójdzie na marne,
jeśli potrafią o nią walczyć żywi...
Gustaw H. Grudziński.

Wielki wstrząs polityczny ubiegłej jesieni, wytrzymany w kraju na granicy wybuchu — przeżycie powstania węgierskiego w uczuciowym współdźwięku a bez współudziału — zdają się zapisywać nową kartę naszych reakcji zbiorowych, zupełnie odmienną od dawnego obyczaju: skorej a nieprzemyślanej walki.

Nakazując sobie spokój i rozwagę, powstrzymując młodych i gorących — społeczeństwo nasze ujawniało jednak coś jakby niepewność, czy może samo sobie dowierzać w tej nowej metodzie i jakby się dziwowało, że przestaje hołdować tradycyjnemu „mierzeniu siły na zamiary". I skoro nie w czynie, skoro nie w głośnej wypowiedzi, to przynajmniej w popularnym dowcipie składało jeszcze hołd postawie historycznej, kwitowało własne, nowe decyzje uszczypliwym sarkazmem.

Szeroko powtarzana formułka, że na ten raz „Węgrzy zachowali się jak Polacy, Polacy jak Czesi, a Czesi jak tchórze..." oddawała wiernie ów kult bohaterstwa ugruntowany przez wieki, kult dla walki podejmowanej nawet w warunkach zupełnie beznadziejnych — i zdradzała jakby odrobinę żalu, że w tym wypadku uchyliła się Polska od sięgania po laury dla wieńczenia rycerskich trupów. Ale nie tylko popularny humor, również i refleksyjny wyraz poetycki żegnał raczej w rozterce to dziwne w naszej historii zjawisko — zachowania zimnej krwi, gdy była okazja wdania się w walkę. Czy Miłosz w „Antygonie", czy Ważyk w wierszu ku czci Węgrów — świadczą o pełni różnorodnych przeżyć.

Wszystkie cytaty z Norwida zostały zaczerpnięte z wydawnictwa Z. Przesmyckiego — Listy C. Norwida, Tom I. Warszawa 1937.

Narzuca się przede wszystkim pytanie, czy inna postaw naszego narodu w 1956 niż w 1944 wynikła jedynie z małeg dystansu czasu, jaki te lata przedzielał? Czy doznana porażk ostatniego powstania była wyłączną przyczyną, która temu sa memu pokoleniu nakazała więcej rozwagi, ale w gruncie rzecz nie naruszyła owej tradycyjnej formacji psychicznej, która po przez wieki kształtowała ideały narodu ? Czy też odwrotnie, ma my do czynienia z procesem nieprzemijającym, z narastaniem za sadniczo innych ocen zbiorowego działania.

Miałażby gasnąć dawna ufność w walkę orężną, jak w główny, jeżeli nie w jedyny, prawdziwie narodowy sposó działania ? Lub miałażby zanikać głęboka wiara w mistyczn wartość ofiary krwi, która wcześniej czy później, ale *musi by* wynagrodzona ? Czy wreszcie miałażby być odrzucana, tak cha rakterystyczna dla nas rachuba na uczucie wspólnoty innych na rodów, które świadome naszej bohaterskiej, choćby beznadziej nej walki, zostaną w końcu *zmuszone moralnie* do interwencji

Trzymając się tezy o małej zmienności cech narodowych, na zywając je ,,wrodzonymi', bylibyśmy skłonni w przebiegu Po wstania Warszawskiego lub w innych doraźnych zdarzeniach do patrywać wyjątkowego nacisku okoliczności, który tylko chwilo wo zepchnął naród z właściwej mu drogi postępowania. Wpatru jąc się jednak w rozwój życia naszego narodu, idąc myślą za nieprzerwanym łańcuchem przeobrażeń społecznych i psychicz nych — bliżsi może będziemy uznania, że został osiągnięty dalsz etap świadomości narodowej, że wchodzimy w nowy okres, gdy myśl nie będzie już zastępowana krwią i powitamy to zjawisko jako wielką kolejną zdobycz rozkwitającej siły i samodzielnośc młodego narodu.

GOTOWOŚĆ WALKI

Byłoby naturalnie krzywdzeniem naszego narodu starać si sprowadzić jego tradycyjną waleczność do czupurnej zapamięta łości bojowej, jako do cechy głównej. Jeżeli wśród wielu elemen tów psychicznych, decydujących o zachowywaniu się naszej spo łeczności, potrafimy odnaleźć również ów czynnik bezwzględne prymitywnej bojowości — to jednak niewątpliwie musimy g zaliczać do cech zanikających, to znaczy już przezwyciężonyc w świadomości zbiorowej i już wyeliminowanych z szeregu tych które pozostają przedmiotem kultu. Pojęcie bohaterstwa stał się bardziej skomplikowane.

Gdy narastająca znajomość obyczajów świata zwierzęceg pozwala nam rozważać, w czym i o ile zdołaliśmy się oddalić o prymitywnych form walki o byt — rejestrujemy także oddalani się naszych ocen i naszych ambicji od pierwotnych pojęć o wa leczności.

Przyrodnik współczesny, studiując zachowanie się zwierzą w walce, nie waha się uznać pewnego typu członkonogich z najbardziej dzielne i ofiarne w boju wśród ogółu żyjących stwo

rzeń. Ów drobny członkonóg atakuje z reguły każdego przeciwnika, przy zupełnym braku troski o jakiekolwiek zbliżenie się do równowagi sił. Rozpoczętą walkę podtrzymuje do ostatniej chwili swego istnienia. W starciu dwu osobników tegoż gatunku jest rzeczą częstą, że giną oba. Wola porażenia swego przeciwnika w zaciekłej walce dominuje ponad obroną własną. Gdy jeden z walczących pracowicie ucina szczękami którąś z nóg nieprzyjaciela — tamten, mniej się troszcząc o swoje członki, rozpruwa odwłok napastnika i wyżera mu wnętrzności. Uśmierza ich dopiero agonia.

W zachowaniu się ludzi można wprawdzie odnaleźć jeszcze pewne analogie, ale niewątpliwie wypada już ich szukać ze świecą. Odbywane pokryjomu w Hiszpanii walki zapaśników na krótkie noże stanowią zapewne wygasający przykład. Ewers w swym ,,Sosie Pomidorowym'' wydobywa na jaw te zupełnie pierwotne instynkty walki, gdy pasja sięgnięcia przeciwnika i ambicja okazania się dzielnym w oczach widzów — wymykają się całkowicie spod kontroli świadomości i górują ponad instynktem zachowania życia. Opisywani zawodnicy, zaopatrzeni początkowo w solidne bandaże na lewej ręce, przeznaczonej do osłony, w intencji by całość walki zamykała się w granicach płytkich poranień skóry — w miarę narastającego uniesienia bojem, zrywają bandaże, każda parada staje się krwawiąca, odsłaniają dostęp do arterii i osiągają wreszcie upragnione dobicie przeciwnika, gdy zdoła się mu otworzyć jamę brzuszną lub wykrwawić go, doszukawszy się tętnic. Los własny się nie liczy.

Podobna postawa towarzyszyła jeszcze zapewne wielu ,,wojom'' gołubiewoskiego Bolesława Chrobrego. Jej refleks odnajdujemy też być może w matejkowskim Grunwaldzie, gdzie obalony bojownik, niemal już pod kopytami, usiłuje jeszcze kaleczyć nożem chociaż konie nieprzyjaciela. Obecnie, jeżeli nawet zdarza się napotkać na idealizowanie waleczności tej natury — to widzimy w tym raczej cień przeszłości, snującej się bezradnie wśród odmiennych już moralnych ocen.

W każdym przecie społeczeństwie żyją stale obok siebie ludzie przynależni do epok odległych nieraz o liczne wieki. Dla całości jednak naszego narodu, dla jego zbiorowych przeświadczeń — na pewno przeminął czas kultu bojowej zapamiętałości.

OFIARA ZASŁUGĄ PRZED BÓSTWEM

Krew jako okup — krew jako ofiara miła bóstwu, wzamian za którą różnorakie dobrodziejstwa mają spłynąć na ofiarującego — oto starodawna forma pozyskania tajemnych sił poza ludzkich na dobro człowieka. Im wyższa wartość ofiary, im szlachetniejsza istota ma życie stracić, im większa suma uczuć miłości i przywiązania zostanie złamana przez akt ofiary — tym milszą będzie ona bóstwu, a więc i wyższą skala pozyskanej zasługi.

Gdy srogi Bóg Starego Zakonu nakazuje wstrzymać ręk Abrahama i ocala życie Izaakowi — nie odrzuca ofiary składa nej nabożnie przez ojca. Przyjmuje ją jako już intencjonaln spełnioną. Tylko wykonanie jej staje się niejako zbędne, przy chylność Boga została bowiem pozyskana. W toku dziejó forma układu z Bogiem ulega naturalnie sublimacji. Ofiara krw staje się wyłącznie dobrowolna, a pozyskiwane dobrodziejstw dotyczyć będą raczej zbiorowości niż osoby, a więc rodziny lu narodu.

U nas, wiara w bezpośrednią interwencję boską w spraw narodu trwa szczególnie długo. Gdy wśród innych narodów powiązanych normalniej we własne państwa, odwoływanie się d sił nadprzyrodzonych przybiera raczej charakter tradycyjno obrzędowy i nie bez świadomości znacznej części społeczeństwa że to każdy z walczących narodów liczy na pomoc *swego* Bog — to w bezpaństwowej i bezsilnej Polsce następuje regeneracj pełnej ufności że wkroczy sprawiedliwość boska jedyna, a ni względna i wkroczy bezpośrednio.

Tak stosunkowo bliski nam w czasie, okres poezji romar tycznej i doktryny Towiańskiego był zapewne kulminacyjnym momentem tych wierzeń. Mickiewicz, prowadząc Koło Towiań czyków w Paryżu i krzewiąc wiarę, że osiągnięcie świętości w t grupie wybrańców, a przez to zasłużenie na cud boski, to jedyn i najpewniejsza droga do przywrócenia wolności ojczyźnie - usiłuje sprowadzić politykę narodu na tory takich religijnyc uniesień, które już nie mogą odpowiadać współczesnym. I cho ciaż Mickiewicz sam, przy swej pasji działania, dość szybko po rzucił koncepcję wymodlenia cudu i chwycił się aktywniejsz polityki w poszukiwaniu, czy wywołaniu interwencji zbrojne wiążąc ją z ruchem rewolucyjnym — to jednak zgoła nie ozna czało końca epoki wierzeń naszego społeczeństwa w aktywn rolę polityczną zaświatowych sił.

Odrzucano wprawdzie łatwo ambitne sięganie po świętoś — taki wysiłek był nie na miarę polskiej wytrzymałości — a pogrążono się na długo w bezodpowiedzialne składanie los narodu w ręce Boga. Dogadzała ogromnie bierna nadzieja, że ak sprawiedliwości bożej w każdym razie nastąpi, nastąpić zaś mu wobec zasług już przez Polskę dokonanych, wobec jej moraln wyższości ponad inne narody i wobec gromadzącej się wcia a wciąż listy cierpień i męczeńskich ofiar. Postawa ta mia dwustronne fatalne skutki.

Dla biernych i wygodnych stanowiła znakomitą zasłon przeciw wymaganiom twardego wysiłku : skoro sprawiedliwo przyjdzie sama — wystarczy cierpliwie czekać. Rozgrzeszało bezczynność a nadto sprzyjało wielce generalnemu tępieniu ka dej krytyki we własnym społeczeństwie i wymagało niejako po trzymywania samochwalczego sądu o wieczystych cnotach i w jątkowej wartości Polski. Kwestionowanie tego byłoby przeci usuwaniem sobie gruntu spod nóg — boć właśnie dla swych z sług będzie Polska przedmiotem opieki Niebios. Kto zaprzec

jej tego tytułu — spycha naród do beznadziei. Toteż im dalszy bywał poczciwy obywatel od czynnej zasługi, tym gorliwszym stawał się stróżem zgodnego chóru samoadoracji narodowej.

A z drugiej strony żarliwi i ofiarni byli niejako popychani do poświęcenia się w każdych warunkach. Skoro nie wynik działania jest ważny, ale już sam fakt nawet irracjonalnej ofiary dołącza się zawsze do zaziemskiego rejestru zasług narodowych i może on właśnie dopełni ,,czary męczeństwa'' i uruchomi Karzącą Rękę — to mniejsza o ocenę realnych widoków działania. Każdy poryw do walki zasługuje na uznanie, każda kropla krwi ofiarnej zaważy na szali.

Mistyka krwi, jako niezawodnego środka działania — przesyca polskie porywy wyzwoleńcze przez wiek cały. Słowacki zapewne wiernie oddaje wiarę narodową swoich czasów, gdy mówi:

Młodych śmierć nie może minąć —
tak nam ojców mądrość gada;
gdyby spytać jaka rada,
Leonidas, wódz spartański,
powiedziałby: iść i ginąć.

Nie głosi buntu przeciw tej zasadzie, przeciwnie, gdy spełnianie jej jest tylko połowiczne, gdy hojność w przelewaniu krwi nie jest dochowana, przejmuje go wstyd, że jest:

z kraju — gdzie zawsze po dniach nieszczęśliwych
zostaje przecież pół rycerzy żywych.

Pół wieku jeszcze musi minąć, muszą się dokonać dalsze doświadczenia narodu, zanim otworzą się uszy na głos Wyspiańskiego, który chce wyzwolić naród ,,ze służby grobom''. Wkładając w ,,Warszawiance'' w usta Chłopickiego świadome szyderstwo z tych ,,którzy się grobom ślubują'' — wyprzedza poeta powolny krok rzeczywistości. Jeszcze i w okresie 1863 roku polityka hojnej ofiary krwi zdecydowanie panuje w umysłach.

Samotne głosy, nawet najbardziej religijne, daremnie nawołują do wytrzeźwienia z tej swoistej polskiej dewocji. Norwid, niedosłyszalny dla własnego narodu przez całe lat kilkadziesiąt — pisał do przyjaciela w 1863 roku: ,,Już od wieków dziewiętnastu, krew ile razy jest skąpo wylewana, stanowi płyn wystarczający do mycia przeszłości. A ile razy nieskąpo wylewaną bywa, to nawet i na to się nie zda''.

Zmagając się w tej epoce z tradycyjnym polskim ofiarnictwem, miał Norwid przed sobą już bardziej wzbogacone, jakby racjonalistyczne uzasadnianie hojności krwi. Prosta wiara w zasługę przed Bogiem lub mgliste, romantyczne zaufanie do sił tajemnych wzywanych przez śmierć nie wyczerpują tej różnorodności zadań, jakie krwi powierzano. Rok 1863 wynosił na widownię polskiego życia nowe jej przeznaczenia. Krew miała pełnić funkcje polityczne wśród ludzi, ale wciąż nie tyle na polu

walki i dla okupienia zwycięstwa, ile przez wpływ pośredni, działając na myśli i uczucia ludzkie.

KREW ARGUMENTEM

Krew miała mówić do swoich i do obcych, krew miała zastąpić oświatę w kraju ciemnym, a wołając do uczuć narodów obcych, wyręczyć dyplomację o leniwej myśli.

Inicjatorzy i kierownicy Powstania 1863 roku, wychowani na Mochnackim i ideach przewodnich Wiosny Ludów, wiedzieli dobrze, że widoki powstania zależą bezpośrednio od siły ruchu ludowego. Grzech antyrewolucyjny 1831 skutecznie pouczał przewódców następnego pokolenia — i na ten raz poszukiwano przede wszystkim drogi do pozyskania uczuć i uruchomienia siły masy ludowej. A gdy czas i warunki nie pozwalały ani na rozwinięcie powszechnej świadomości narodowej przez lata oświaty, ani na przeprowadzenie reform społecznych, które z upośledzonych i pomijanych czyniłyby gospodarzy kraju i jego naturalnych obrońców — jakże kuszącą była nadzieja, że przez sam bohaterski przykład, że przez krew bezinteresownie przelaną zdobędzie się zaufanie, obudzi entuzjazm i zyska siły do walki.

Równocześnie ogólne ,,braterstwo ludów'', dążących do wolności, miało doznać ożywczej podniety w obliczu krwawej ofiary bojowników polskich i miało wywołać pomoc zbrojną narodów zachodnich przeciw carskiej tyranii. Nie stać było organizatorów powstania na założenie wstępne dyplomatycznej sieci, przygotowującej współudział obcych rządów. Co więcej, nie stać było naszej myśli politycznej na wypracowanie i rzucenie wśród narodów wolnych takiej koncepcji niepodległej Polski, która by była realnie wiązaną z bieżącym życiem, z rozwojem stosunków ludzkich innych społeczeństw, a nie poprzestawała na luźnych sentymentach sympatii do odległej Polski.

Daremnie już w pierwszych miesiącach powstania nawoływał Norwid z Paryża do utworzenia pisma dla Europy: ,,równocześnie do powstania mieczem, trzeba powstania siłą myśli'', ,,musimy całej Europie, całej ludzkości dawać z siebie... a inteligencja nasza zamienia nas na jakąś ofiarę niemą, na jakąś rasę nieszczęśliwą''... ,,nikt nie pojął Polski ze stanowiska ludzkości''...

Ale ten język jest jeszcze na owe czasy całkowicie niezrozumiały.

Trwa ofiara wybranych, aby uszlachetnić ,,czerep rubaszny'' i aby ,,obudzić sumienie świata'' — cele te jednak nie zostają osiągnięte w żadnej mierze. Masa chłopska zostaje nieporuszona ani nawet radykalnie wyrwana spod posłuchu policji w ściganiu i wydawaniu ,,panów z lasu''. Pomoc obca nie nadchodzi znikąd i krwawiąca Polska nie zdoła nawet zamącić trwającego wyścigu uprzemysłowienia.

Krew nie zastąpiła ani obywatelskiego elementarza, ani politycznej myśli. Nie zaraz jednak dojdą do głosu właściwe wnioski

z tej historycznej lekcji. Na jednym tylko kierunku — w poświęceniu się dla pokuty — epoka 1863 roku zamyka definitywnie przejawy tej natury w Polsce. Obok innych motywów ofiary występował bowiem w tym czasie także dodatkowy i niewątpliwie mniejszej wagi, ale przecież bardzo charakterystyczny element ekspiacji synów za grzechy ojców.

Najbardziej jaskrawym wyrazem tej postawy było bezbronne apostolstwo szlacheckich synów wśród ukraińskich chłopów na rzecz rewolucji. ,,Zołotaja Hramota'' — doktrynalny manifest nowych praw dla ludu — nie okazała moralnej siły przeobrażenia rzeczywistości. Niesiona przez garść entuzjastów, bezbronnych z intencji, spotykających szyderczą niewiarę tłumu i ściągających na siebie bezmyślne morderstwo, czy represje policji — dawała tylko satysfakcję przyjęcia pokuty za winy przodków. Nie zmieniając ani skali, ani skutków zadawnionej krzywdy chłopskiej, stawała się tylko unaocznieniem twardej prawdy, że każde skuteczne działanie wymaga nie tyle szlachetnego zapału, ile realnych środków na miarę podjętego celu.

W całości Rok 1863 zapisał w narodowej pamięci klęskę powstania o małych siłach, klęskę walki części narodu, bez rozbudzenia śpiącej masy — ale nie wypisał do końca karty doświadczeń: czy krew ofiarnych kształci patriotyzm nieświadomych, czy samotna i beznadziejna walka jednego narodu budzi sumienie świata i moralnie zmusza do niesienia mu pomocy?

Wprawdzie pokolenie następne potępi ,,romantyczną walkę'' i ogłosi program ,,pracy pozytywnej'', ale uczyni to raczej przez zwrócenie się ku innej stronie życia i niejako rzucenie zasłony na wielkie problemy polityki i krwi, niż przez przezwyciężenie w sobie jednej postawy i zastąpienie jej inną, wynikającą ze świeżo opracowanej ideologii. Toteż w pokoleniu trzecim wraca problematyka w mało zmienionej postaci, jakby po antrakcie. Inaczej zastosować mowę krwi, ale jej głos przywrócić życiu, wydobyć z zapomnienia.

ODŚWIEŻYĆ ZAGNOJONE RANY

Okres pracy organicznej wewnątrz zaborów już po krótkim czasie ujawnia wszystkie swoje ciemne strony. Rzecz nie toczy się bynajmniej w atmosferze wolnej rywalizacji między metodą ,,myśli i pracy'' z jednej strony, a metodą ,,krwi i pałasza'' z drugiej. Dostęp do owej pracy organicznej, ujawnianie myśli społecznej trzeba każdocześnie okupić polityczną ugodą. Monetą zapłaty zaś jest nie tylko formalna akceptacja ,,prawdy'' zaborców, ale także skulona, przyziemna postawa tych, którzy w ramach koncesjonowanej myśli gotowi są układać egzystencję narodu.

Łatwo byłoby bronić teoretycznej wyższości walki na polu myśli ponad walką krwawą, gdy wyobrażalnym uczestnikom zawodów otwiera się w zasadzie nieograniczone pole szlachetnych

ambicji. Nie podobna jednak by patriota-pozytywista nie traci rozmachu i wiary w swoją słuszność, gdy wypada ustawiczni przypominać sobie i towarzyszom, że trzeba przyjętą obrożę *zno sić łagodnie*. Co więcej — i co jest właściwie decydujące — młodzi, wychowani w atmosferze kompromisu, zatracają łatw poczucie gdzie jest kompromis, a czym byłaby wolność. W tych warunkach praca organiczna szybko straciła polot, a urós i okrzepł ,,trójlojalizm'', ale na szczęście zrodził się i bunt.

Przyszedł on tym razem z nowej formacji społecznej, z pro letariatu, gdzie elementarne sprawy bytu ludzkiego najściśle wiązały się ze sprawą wolności politycznej, gdzie walka o pierwsze nie dawała się oddzielić od drugiej. Frakcja Rewolu cyjna PPS-u wprowadzając krew do walki o prawa polityczn w 1905 roku, niewątpliwie wznawiała próbę zużytkowania je pośredniego — nie podejmowała przecież wojny z Rosją.

Zatargać łańcuchem, by przypomnieć ospałym fakt jeg istnienia, odświeżyć zapleśniałe rany narodu, by okazać obcym że wcale nie są zabliźnione — to były nowe formuły dla określe nia celów, w gruncie rzeczy dość zbliżonych do tych z poprzed niego etapu, gdy na krew składano obowiązek wychowania na rodowego i polityki zagranicznej. Tylko obecnie, pod kierow nictwem Piłsudskiego, zamierzenia te nabierały cech wyraźni odmiennych, a pewne elementy przybywały nowe.

Bojowa akcja PPS-u nie ma w sobie już nic ani pokutni czego ofiarnictwa, ani całopalenia na ołtarzu. Myśl o wyzwole niu narodowym, występując poprzez nową formację społeczną ma już poza sobą wszelką mistykę krwi. Nie fakt jej przelania nie wewnętrzny akt poświęcenia, a efekt osiągnięty dzięki je przelaniu ma istotnie znaczyć. Nie poniesione ofiary, a dokonan czyny mają mówić do otoczenia. Zamachy na gorliwców z apa ratu represji, strach rzucany na służalców, kary wymierzan zdrajcom — to są środki budzenia do walki.

Stąd zasada oszczędzania krwi a nie jej rozrzutność, stą pełna odpowiedzialność dowódców za dysponowanie życiem in nych i stąd wysiłek o równorzędność w ocenie życia swego i ży cia towarzyszy. Akcja wówczas jest warta krwi podkomendnych gdy dla jej dokonania gotów jest się narazić i rozkazujący. Bez pośredni udział Piłsudskiego w napadzie pod Bezdanami n transport pieniężny ma właśnie ten charakter.

Znana autentyczna motywacja tej decyzji przynosi równie stwierdzenie, jak w nowym pokoleniu walczącym utraciła uzna nie postawa romantycznego oficera, który szuka laurów boha terskiej śmierci. Niewątpliwie nie zanika ona jeszcze w społe czeństwie i Piłsudski nieraz później nawróci do jej piętnowania ale zasadniczo jest ona przezwyciężona w czołowej grupie tych którzy znów podnieśli walkę.

Zjawia się przy tym nowy czynnik popychający jednostk do obozu walki — nie ofiarniczy i nawet nie kierowany wy rozumowanym interesem zbiorowym. Jaki rodzaj życia *jest* a jaki *nie jest* do przyjęcia. ,,Nie mogę żyć w wychodku'' —

stwierdza brutalnie Piłsudski. Wybiera więc życie narażone, niepewne, ale poza obowiązującą a nieznośną normą. Taka decyzja własna nowoczesnego człowieka otwiera w okresie walki nowe źródło krwi, które nie przestanie przybierać na znaczeniu i urośnie do dużej roli w 1944.

W rezultacie akcja zbrojna PPS-u, gasnąc wraz z powiewem rewolucyjnym w Rosji, nie zdołała w dorobku swym zapisać ani głębszego przeorania świadomości narodowej (być może że przeszkodą główną stały się walki bratobójcze, podjęte wewnątrz społeczeństwa przeciw socjalistom), ani nie osiągnęła właściwego zrozumienia na świecie. Z dalekiej perspektywy narodów wolnych — walka proletariatu, prowadzona ,,na skrawku Rosji'', a nie podtrzymana w ,,całej Rosji'', nie była obiektem głębszego zainteresowania.

Zdaje się być pewne, że Piłsudski wysnuł należyte wnioski. Formując wkrótce pierwsze zaczątki wojska i wysyłając je do boju na polskiej ziemi, nie obarcza garści walczącej zadaniem wychowywania społeczeństwa. Przeciwnie — dla tej garści, dla *odrodzonego żołnierza,* wymaga uznania i pomocy. A gdy wypada gorzko skonstatować, że za wodzem idzie ,,żołnierz bez ojczyzny'', że mimo usilnych prób nie daje się wydobyć głosu z zalęknionego narodu — przyznaje żołnierzowi prawo mówienia za ojczyznę. Bezpośrednie zaś zadanie żołnierza ogranicza do tego, ,,by na szali dziejów, gdy ważą się losy narodów, nie zabrakło i polskiej szabli''.

Wśród obcych nie zamierza budzić fali współczucia dla nieszczęsnych. Chciałby przede wszystkim podnieść cenę polskiej krwi. Chciałby, by ewentualny masowy udział Polaków w wojnie zaczął uchodzić za cenny i pożądany element wzmocnienia wojskowego, gdy wyczerpani zapaśnicy oglądać się będą za każdym wsparciem i gotowi będą przyznać mu polityczną wartość.

A wszędzie i zawsze oszczędność krwi. To już nie tylko twarde nagany wszelkich ,,brawurowych ataków'', to do granicy swego autorytetu posunięta presja moralna, by wbrew fałszywym ambicjom, posiadać odwagę i wolę *uchylenia się od walki,* skoro tylko nie ma realnych szans zwycięstwa.

Jakże charakterystyczna jest decyzja w 1917 roku, gdy wycofane już z frontu stoją pułki legionowe wokół Warszawy, sam Piłsudski formalnie od dawna jest poza wojskiem, kończą się niefortunne pertraktacje z Niemcami i ma wejść w życie Beselerowski Wehrmacht. Oczekują leguny czynnego sprzeciwu, marszu na Warszawę, a więc zbrojnej próby wyzwolenia się od niemieckiej zależności. Taka ewentualność jest od dawna po cichu zapowiadana — a otrzymują polecenie spokojnego odmówienia przysięgi, złożenia broni, poddania się internowaniu. Zawiedzeni i pełni goryczy czynią wysiłki by zmienić postawę Piłsudskiego, grożą aktem samowolnej rozpaczy — ale delegaci wracają od Komendanta, przywożąc prócz argumentów jeszcze szyderstwo z tradycyjnej pogoni za bohaterstwem : ,,Wiem, wiem, że wielu z was marzy przecież o tym, by im piękne panny kwiatki na

grób przynosiły"... Zostają przekonani i idą za druty, a Pił-sudski do Magdeburga — nie na długo.

W latach pierwszej wojny, na progu odzyskania niepodle-głości, zdołaliśmy się więc uchronić od ofiar krwi dla „kształce-nia społeczeństwa". A gdy przyszło wreszcie własne państwo — dokonało w normalnej i spokojnej drodze prawdziwego upo-wszechnienia świadomości narodowej. Druga wojna zastała ju inny naród. Nie podobna samemu istnieniu sztywnej ramy pań-stwowej przypisywać tego, iż w roku 1939 okazała Polska tal powszechną i żarliwą gotowość walki obronnej. Że główn w tym rola przypadała świadomej woli obywateli — zostało tl powtórnie zadokumentowane przez powszechną niemal służb w A.K., w warunkach tak bardzo dalekich od trybu państwo-wego przymusu.

Różnice stanu dojrzałości narodowej, obrazuje bodaj na jaskrawiej to przypomnienie, że gdy w 1918, powiat Kongre-sówki liczący koło 150 członków POW uchodził za dobrze zor-ganizowany w wojskowej konspiracji — to w 1944 bywały po-wiaty mające po 15.000 AKowców. Ofiarnictwo narodowe dl „dźwigania" rodaków stało się zbędne i ten problem bodaj ju nigdy nie stanie znów przed narodem.

Natomiast druga wojna wykazała dosadnie, że umysłowoś nasza nie była dość uodporniona na siew złudzeń, wiążącyc nadzieję obcej pomocy z ofiarami naszej krwi. Gęsto zapisywan karty naszych świadczeń na rzecz sprzymierzonych, świadcze sowicie krwią opłacanych — miały otwierać na nasze dobr wielki rachunek wdzięczności politycznej.

KREW PROPAGANDĄ — DOŚWIADCZENIE OSTATNI

Myśl polska zapewne jeszcze długo będzie szukała trafneg rozwiązania tego splotu przyczyn, który po klęsce wrześniow zrodził politykę „ofiar krwi" i przyniósł tak żałosny jej wynik Całość przegranej wojny na pewno nie obarcza samego okres „rządu R.P. na emigracji". Katastrofa wrześniowa była potęż nym zadatkiem, ale owa aż po koniec wojny przewlekła eksploa tacja bohaterskiej postawy narodu w imię pozyskania pomoc sojuszników, była zaślepieniem anachronicznym w rozwoj naszej myśli narodowej.

Skąd to przyszło? Czy wystarcza konstatować, że ma umysły i słabe poczucie odpowiedzialności poprowadziło grup ambitnych ludzi aż do nieświadomego wysługiwania się obcyn Szli przecież od zatajenia przed narodem wrześniowej zdrad sprzymierzeńców, poprzez głoszenie krajowi przesadzonych lu zgoła nieistniejących dalszych obietnic tychże sprzymierzeńców aż do maskowania chwili, gdy rzekomi przyjaciele umyli rę od naszych spraw, nie potrzebując już dalszych ofiar.

Czy może należy przyjmować fatalistyczną interpretac przebiegu zdarzeń, że siła i napięcie nastrojów bojowych by

tak wielkie, iż ani się im przeciwstawić, ani ich opanować niepodobna było, a ginącym nie wolno było skąpić przynajmniej nadziei.

Dziś jednak, kiedy już wiemy więcej nie tylko o energii, ale i o młodej myśli społeczeństwa w tamtych latach, kiedy uczymy się oceniać bogactwo rozpędu i rozległe możliwości, jakie po raz pierwszy w dziejach dawała narodowi powszechność patriotyzmu — rozumiemy lepiej skalę ofiar włożonych w lata okupacji i w Powstanie i trudno szczerze ufać w owe rzekome niepodobieństwa.

Żadne hołdy, składane bohaterstwu tego zdziesiątkowanego pokolenia, nie potrafią zatrzeć prawdy, że krew przelana nie osiągnęła zamierzonych celów, że te cele dobrano wbrew realnym możliwościom, że na ten raz jeszcze kładli młodzi swe życie, kierowani według starej polskiej zasady, ujętej przez Norwida w formułę : ,,energia sto a inteligencja trzy''. Od tych mogił wraca przeto ustawicznie pytanie : czyżby w ogóle daremnie ? ,,Słyszymy w cichych domach'' — pisał Arch. M. Leish — ,,młodzi martwi żołnierze mówią : Śmierć nasza nie jest naszą — to wasza własność i będzie tym, co z niej uczynicie''...

Dziś, po zwycięstwie nad sobą, jakie osiągnięto w kraju w dniach listopadowych, po zwycięstwie ,,myśli nad energią'', możemy dopatrywać realnych skutków wczorajszej ofiary w nowym stosunku żyjącego pokolenia do politycznych zagadnień. Wymowa świeżego doświadczenia stała się nieodparta : Nawet najsłuszniejsza walka pozostanie osamotniona, gdy interesy obcych nie popychają ich ku pomocy. Krwią własną i sympatiami zdobyć tej pomocy nie podobna.

Nowy składnik historycznej mądrości przybył narodowi, dopełnił jego sumy doświadczeń, ostrzegł przed nowym porywem do walki, gdy siły własne nie dają dość nadziei, a siły obce nie są zawczasu rozumną myślą związane we wspólny węzeł interesów ogólnoludzkich. To nie doraźna pamięć klęski Powstania warszawskiego, przemijająca w jednym pokoleniu, ale dokonane realne przybliżenie się czasu dojrzałości.

Przewidywał Norwid że... ,,kto odpowiada tylko dwa słowa, skąd inąd bardzo szanowne : ,,krew'' i ,,zwyciężyć albo zginąć''... temu odpowie *Czas''*. I przyszedł widocznie czas, by zrozumieć do głębi, co było ,,grzechem Polaków, grzechem społeczności niewojującej nigdy myślą i nie mającej żadnej wiary w siłę myśli i prawdy'', aby uznać, że to ,,budzące się z barbarzyństwa rasy dzikie i świeżo w dzieje weszłe, mogą jeszcze szeroko i jakoby dla zdobycia ostróg krew ronić ; inaczej z sędziwymi w rycerstwie narodami, które powagę kapłańską w ofierze mając, wiedzą skąd i dokąd przy czytaniu Ewangelii szabli dobywać''.

Sądzić można, że te prawdy umarłych wczoraj, nie pójdą już na marne, bo potrafią o nie walczyć dzisiejsi żywi.

Juliusz PONIATOWSKI

« Drętwa mowa »

UWAGI NA MARGINESIE „MAKIETY" HISTORII POLSKI

Leżą przede mną dwie części pierwszego tomu Histor Polski, wydanej jako „makieta" (ograniczony nakład przezna czony dla dyskusji) w październiku 1955 roku przez Instytu Historii Polskiej Akademii Nauk. Bogato ilustrowana, zawiera jąca wiele ciekawego materiału z dziedziny historii społeczne kulturalnej gospodarczej, praca ta stanowić ma „pierwsz obszerną marksistowską syntezę naszych dziejów".

„Makieta", nie była w sprzedaży księgarskiej, była nato miast przedmiotem dyskusji, po której dopiero zasadnicza fo ma opracowania będzie ustalona i przyjęta. Całość wydawnictwa licząca cztery tomy, obejmie całokształt dziejów Polski od czasó przedhistorycznych aż do chwili obecnej. Ukazanie się tak obszer nego dzieła — tom pierwszy liczy ponad tysiąc czterysta stro druku — jest, rzecz jasna, zjawiskiem o dużej doniosłości w his toriografii polskiej i ostatnie numery *Kwartalnika Historycz nego, Przeglądu Historycznego* i *Nauki Polskiej* pełne są refe ratów i sprawozdań z zebrań dyskusyjnych na ten temat.

Wyczerpująca analiza i krytyka „makiety" wymagałab oczywiście długiego referatu naukowego, w którym należałob poruszyć takie zagadnienia jak nowo proponowaną periodyzacj historii Polski, skrajnie odmienną od dotychczas przyjętej, now naświetlenia polskiego Odrodzenia, Wieku Oświecenia, Idei Ja gielońskiej itp. Należałoby również poddać krytyce podstawow założenia ideologiczne książki, a mianowicie próbę zastosowani marksistowskiego determinizmu historycznego. Nie jest tuta moim celem poruszanie tak zasadniczych i ważkich zagadnień Merytoryczna dyskusja „makiety" powinna być podjęta zbioro wo przez polskich historyków na emigracji. Jeżeli chodzi o prób wtłoczenia dziejów Polski w wąskie ramy determinizmu marksi towskiego to chciałbym jedynie zaznaczyć, że osobiście podziela

---

Uwagi poniższe dotyczą pierwszego tomu „Historii Polski", który n się ukazać w najbliższej przyszłości, w ostatecznym i zapewne mocno p prawionym wydaniu. Pełniejszą recenzję krytyczną tego tomu zamieścimy jego ukazaniu się.

W dyskusji jest obecnie następny, drugi, tom „Historii obejmujący okr od 1764 do 1864 roku. Dyskusja toczy się także na podstawie „makiety" Jej omówieniu poświęcimy nieco więcej miejsca w następnym numer „Kultury".

w pełni opinię, wyrażoną w 1948 roku przez profesora Konrada Górskiego, iż „*wszelkie próby stworzenia praw dziejowych znalazłyby się w sprzeczności z bogactwem faktów historycznych*", cytowaną w makiecie (I,1, str. 81) z wyraźną dezaprobatą. Pogląd ten wyrażony został w nieco innej formie przez wybitnego historyka angielskiego, Davida Thomsona, w przedmowie do niedawno wydanej książki, *Europe Since Napoleon* (New York, 1957). Profesor Thomson, powołując się na H.A.L. Fishera, pisał co następuje:

I, too, detect no plot or predetermined pattern; but I can see certain rhytms of movent and certain patterns of change. They might better be called „general trends", provided they are not regarded as flowing from eternal causes or proceeding to infinity (1).

Nie ulega wątpliwości, że wielu polskich historyków zgadza się z tym punktem widzenia, co zresztą stwierdzają autorzy „makiety", pisząc, że poglądy profesora Górskiego podzielała „pod względem metodologicznym większość historyków" w pierwszych latach po wojnie. W tymże samym rozdziale, traktującym o historiografii w Polsce Ludowej,autor opisuje pokrótce jak „stopniowo przezwyciężano tradycyjne założenia i formy pracy". Słupami milowymi na tej drodze były Zjazd Historyków w Wrocławiu w 1948 roku, Kongres Nauki Polskiej w 1951 roku i Konferencja Metodologiczna w Otwocku w roku 1952. O metodach jakie były stosowane w „przezwyciężaniu" dawnych założeń „makieta" oczywiście nie mówi, podkreśla ona jednak fakt, że osiągnięcia „historiografii radzieckiej, jej bogaty wkład do badań nad podstawowymi zagadnieniami dziejów feudalnej Polski ... jak i bezpośrednie kontakty z historykami radzieckimi oddały nieocenione usługi" i, że „niemało też zawdzięczają im nasi badacze, którzy pierwsi pokusili się o nową syntezę dziejów Polski feudalnej (I,1, str. 82). Wśród tej grupy „zasłużonych" na pierwsze miejsce wysuwają się takie nazwiska jak prof. Stanisława Arnolda, przodującego w redakcjach *Kwartalnika Historycznego* i *Przeglądu Historycznego,* przewodniczącego delegacji polskiej na X-tym międzynarodowym Kongresie Historyków w Rzymie, profesorów Leona Grosfelda, B. Leśnodorskiego, W. Kuli i kilku innych.

Dla zapoznania się z okresem sowietyzacji historii polskiej i zrozumienia, według słów Rankego „wie es eigentlich gewesen ist", przyczyniły się znakomicie głosy historyków polskich w dyskusjach, które toczyły się w ciągu ubiegłego roku. Na posiedzeniu Rady Naukowej Instytutu Historii PAN, które odbyło się w dniach 25 i 26 czerwca 1956, poszczególni naukowcy do-

(1) „Także i ja nie mogę się doszukać zdeterminowanego ciągu lub schematu, chociaż dostrzegam pewien rytm wydarzeń i pewne podobieństwo przemian. Należałoby je nazywać raczej „ogólnymi tendencjami", z tym zastrzeżeniem oczywiście, by nie rozumieć tego określenia jako skutek działania odwiecznych przyczyn lub dążenia do nieskończoności".

starczyli w swych uwagach dużo materiału, który pozwala na o tworzenie sobie obrazu nauki polskiej w okresie, w którym k munizm i uczeni radzieccy ,,oddawali nieocenione usługi'' nau polskiej.

Dyskusja ta, chociaż toczyła się przed ,,Polskim Paździe nikiem'' miała wyraźne cechy odwilżowe i choć wszystkie krop nad i nie zostały postawione, powiedziano dosyć, aby wrażen ogólne było przygnębiające. Profesor Małowist mówił o poprze nich latach jako o okresie, w którym ,,tolerowało się nadmier wpływ ówczesnej filozofii na badania historyczne'' i podkreśla że ,,stosunek do nauki radzieckiej był fałszywy''. Dodał on je nak, że wciąż jeszcze istnieje ,,sprzeczny z nauką oportunizm ż ciowy'' (*Kwartalnik Historyczny,* nr 6, 1956, str. 74). Profes Grosfeld mówił o ,,absolutyzacji i fetyszyzacji pewnych kieru kowo słusznych tez marksistowskich'' i o stosowaniu polity ,,pomijania faktów niewygodnych z punktu widzenia aktualn tezy''. Chociaż główny referent, prof. Kula, skrytykował ost ostatni okres, stwierdził on jednak, że ,,Z całym poczuciem o powiedzialności można sformułować tezę, że trudno w dzieja nauki znaleźć dziesięciolecie, które dokonałoby takiego postę w nauce'' (*Ibid.* Nr 3, str. 155). Pomimo najlepszych chęci tru no jest pogodzić tę optymistyczną ocenę z opiniami wyrażony przez pozostałych członków zebrania. Profesor Bardach stwie dził wyraźnie, że ,,brak było obiektywizmu naukowego'' i, stosowano też metodę upiększania historii (Nr 6, str. 79). Pr Herbst oświadczył, że spontaniczna twórczość naukowa zaginę prawie całkowicie, a prof. Śreniawski, komentując ,,wprow dzoną obecnie słuszną zasadę, że katedry uniwersyteckie są pl cówkami naukowo-badawczymi' dał nam wyobrażenie o tym działo się poprzednio. Samooskarżenia, choć na ogół odosobni ne, w dyskusji pojawiły się również, jak na przykład w oświa czeniu profesora Kieniewicza, który ,,z własnego doświadczen pisarskiego przyznał, że nawet sumienni autorzy ulegali w ost nich latach skłonności (!) do dobierania materiału źródłowe i retuszowania wniosków w kierunku tez uznawanych za pra dłowe'' (Nr 6, str. 79). W tych warunkach trudno się dziwić, jak to stwierdził prof. Bardach, ,,Sytuacja w nauce historycz doprowadziła do kryzysu zaufania młodzieży wobec historyków (str. 80). Zjawisko to jest zdaje się powszechne i niedawno Walnym Zjeździe Literatów (1-5. XII. 1956) Jerzy Zagór publicznie stwierdził, że jeżeli chodzi o tendencyjność podręcz ków historii, to ,,w ostatnich latach ... zostały pobite wszel rekordy'' (*Nowa Kultura,* (51/351).

Uwagi profesora Serejskiego zasługują na szczególną uw gę. Mówiąc o historiografii, uczony ten zauważył, że istni stale dążenia ,,do uproszczonych i odgórnych rozwiązań ze st ny tych, którzy decydowali o stronie metodologicznej badań n kowych''. Innymi słowy dyskusja naukowa nie istniała, ,,zawsze rację miała tylko grupa historyków posiadających 'w dzę wtajemniczonych' '' (str. 80). Stwierdzenie to jest o tyle c

kawe, że wśród głosów wyżej wymienionych przeważają sztandarowi historycy, należący do „elity". Ich uwagi więc są w pewnym przynajmniej stopniu samokrytyką. Jak wyglądają natomiast poglądy „historyków niewtajemniczonych"? Prof. Serejski daje w dużej mierze odpowiedź na to pytanie, stwierdzając, że „olbrzymia większość historyków ... wołała 'nie kłaść palców między drzwi' i usuwała się od badań". Jako przykład prof. Serejski cytuje fakt, że podstawowe *vade mecum* historyków polskich pióra Adama Schaffa, pt. *Obiektywny Charakter Praw Historii* nie doczekało się ani jednej recenzji w prasie naukowej, gdyż obawiano się cokolwiek w książce tej zakwestionować. Zjawisko tego typu określa się ostatnio w pismach krajowych słowem „wewnętrzna emigracja" i wydaje się, że większość historyków polskich można zaliczyć w jej szeregi. Wywody prof. Serejskiego są ciekawe także z innego względu. Nie należąc do grupy przodującej był on jednak autorem rozdziału o historiografii w „makiecie", który to rozdział jest jednym z najbardziej przygnębiających okazów „drętwej mowy". Wydaje się więc, że mamy tu do czynienia z jeszcze jednym przykładem „zniewolonego umysłu".

Chciałbym zwrócić uwagę na pewną ilość przykładów „drętwej mowy", która dla czytelnika obznajmionego z terminologią marksistowską jest zdecydowanie irytująca, dla czytelnika natomiast, który terminów tych nie zna, jest w wielu wypadkach niezrozumiała.

Słowo „feudalizm" jest używane i nadużywane, gdzie tylko to jest możliwe. Kiedy autorzy „makiety" piszą o nowym typie państwa feudalnego — monarchii absolutnej (I,2 str. 64), wydaje się w pierwszej chwili, że mówią o rzeczach sobie przeciwstawnych, zanim czytelnik nie przypomni sobie marksistowskiej definicji feudalizmu. Czy absolutna monarchia feudalna jest równoznaczna z „scentralizowaną monarchią feudalną" (str. 65) trudno się zorientować. Ponieważ słowa szlachta, magnateria, wielmoże używane są dalej w tekstach — powstaje pytanie co autorzy zyskują (zakładając, że określą z góry co feudalizm ich zdaniem oznacza) przez ciągłe powtarzanie tego nieszczęsnego terminu. Określenie Turcji jako „najbardziej *reakcyjnej* potęgi militarnej końca piętnastego wieku" nie jest dla mnie do tej pory zrozumiałe. Co to były „siły postępowe", których dziełem był Grunwald (I,1, str. 528) pozostaje tajemnicą autorów „makiety". Jak Rosja „spełniła światowe zadanie ochrony Europy przed zalewem hord barbarzyńców" nie jest bliżej wyjaśnione, (cytaty z Marksa mogłyby tu być raczej żenujące), ale ogólnie biorąc zasadą „makiety" jest, że o Rosji jak o umarłych „aut nihil aut bene".

Dla czytelnika niewtajemniczonego w arkana marksistowskiej terminologii oddziaływanie bazy na nadbudowę może się wydawać pojęciem dość skomplikowanym, a czymż innym jest zdanie o wpływie na myśl reformatorską i odrodzenie kulturalne przez „oddziaływanie nadbudowy ideologicznej narodów bardziej

zaawansowanych" (I,2, str. 62). W tym wypadku sądzić nal
że autorzy byli zobowiązani do użycia słów „nadbudow
i „baza" przynajmniej pewną określoną ilość razy w tekśc
nawet jeżeli miałoby to odbyć się kosztem przejrzystości książ

Podobnie przedstawia się sprawa cytowania klasyków ma
sizmu-leninizmu. Autorzy cytują ich niezależnie od tego czy
to jakiekolwiek uzasadnienie czy też nie. Weźmy na przyk
dwa następujące cytaty :

Kraj, który uparcie utrzymywał w stanie nienaruszalnym feudalny us
społeczny w chwili, kiedy wszyscy jego sąsiedzi szli naprzód, tworząc b
żuazję, rozwinęli handel i przemysł i stworzyli wielkie miasta — taki k
skazany był na zagładę (I,2, str. 60).

Czyż doprawdy potrzeba aż autorytetu Engelsa do stwi
dzenia tego truizmu ?

Albo drugi przykład :

... tylko kraj zjednoczony w jednolite państwo scentralizowane m
liczyć na możliwość poważnego rozwoju kulturalno-gospodarczego, na mo
wość utwierdzenia swej niezależności". (I,I, str. 492).

Głębia myśli Stalina wyrażona w tym cytacie wprost os
łamia.

Ustęp poświęcony analizie historyków polskich i ich dz
powinien stanowczo być przerobiony na pytania i odpowied
w typie :

— Jaką jest szkoła historyczna krakowska? — „Obszarniczo-konser
tywna" lub „reakcyjno-feudalna" (I,1,65).

— Co odzwierciedla szkoła warszawska? — „Kapitalizm przedmo
polistyczny" (64).

— Co przenika działalność historiograficzną Haleckiego? — „Na
nalizm powiązany z kosmopolityzmem" (str. 72).

Zamiłowanie do zawiłych zdań, w których powinno znal
się przynajmniej kilka podwójnych przymiotników znajduje d
konałą ilustrację w opisie prac K.B. Hoffmana, który „Z p
zycji liberalnej obozu burżuazyjno-szlacheckiego atakował ...
wolucyjny romantyzm i agrarny demokratyzm lelewelistó
Równocześnie poddawał krytyce staroszlacheckie feudalno-mes
nistyczne koncepcje i bezkrytyczną apologię przeszłości" (I
str. 57). Zgodnie z przyjętymi kryteriami politycznymi, ma
cymi mało wspólnego z nauką historii, autorzy „makiety" za
czają do burżuazji w jednym zdaniu Ligę Narodową i ... P.P
(I,1, str 67). Mały słowniczek „drętwej mowy" (z wymienny
kartkami w razie zachodzących zmian w linii partyjnej) wyd
się nieodzownie potrzebny, jeżeli makieta Historii Polski
ukazać się w obecnej swej formie. Miejmy nadzieję, że „Pol
Październik" przynieść powinien poważne oczyszczenie atm
sfery również w dziedzinie nauki historii. Dnia 5-go listopa

1956 Prezydium Polskiej Akademii Nauk przyjęło uchwałę, która między innymi stwierdziła co następuje:

Nowy okres, w który wchodzimy, musi znamionować wielki i wszechstronny rozkwit nauki, nauki wyzwolonej z więzów dogmatyzmu, a opartej na prawie poszukującego prawdy uczonego do pełnej wolności badań, badań związanych z nurtem wielkich zagadnień nauki światowej, badań wzbogacających naszą kulturę narodową i służących postępowi technicznemu oraz podniesieniu ekonomicznemu naszego kraju (*Nauka Polska*, Nr 4/16, str. 4).

Pomimo niepotrzebnie pompatycznego stylu jakże inaczej brzmią te zdania niż ustępy cytowane z „makiety". Rok 1957 powinien być ważnym etapem w uwalnianiu się nauki polskiej, z historią na czele, od naleciałości narzuconego systemu „ery stalinowskiej". Projektowane zjazdy Polskiej Akademii Nauk i VIII-y Ogólnopolski Zjazd Historyków powinny zmienić nie tylko nienaukowe i tendencyjne podejście do studiów historycznych, ale również wysunąć na czoło studiów rzetelnych historyków, którzy należeli do tej milczącej większości, nie osiągającej „stopnia wtajemniczenia" i związanych z tym godności. Tytuł profesora historii na wyższej uczelni musi przestać być nagrodą za „wiernopoddańcze" nastawienie i odzyskać swój pierwotny wydźwięk. Katedry historii powinny przestać być komórkami dyspozycji partyjno-ideologicznej, a polscy dyktatorzy życia historycznego winni wreszcie skierować swe wysiłki w kierunku uczciwej pracy naukowej celem zrehabilitowania się za lata poświęcone „fabrykowaniu historii' i narzucaniu jej innym.

W warunkach zwiększającej się wolności kontakty naukowe z krajami zachodnimi, masowe wyjazdy studentów i profesorów, tak długo odciętych od wielu poważnych bibliotek i centrów naukowych, powinny stać się częścią nowego programu Polskiej Akademii Nauk. Odtworzenie Polskiej Akademii Umiejętności, znanej i szanowanej w świecie naukowym, byłoby również poważnym krokiem naprzód dla odbudowania niezależnej i zdecentralizowanej polskiej nauki. Miejmy nadzieję, że liczne głosy, które się tego domagają teraz w kraju znajdą zrozumienie i poparcie. Liczne prace naukowe historyków polskich na emigracji, pisane nieraz w językach obcych, powinny być udostępnione naukowcom w kraju, a tłumaczenia przynajmniej niektórych z nich byłyby rzeczą cenną. Historycy polscy na emigracji powinni ze swej strony przyczynić się do rozpowszechnienia osiągnięć uczonych krajowych w wolnym świecie. Odrobienie zaległych strat i pełniejsze włączenie się w międzynarodowy nurt wolnej nauki jest oczywistym obowiązkiem wszystkich historyków polskich.

Piotr WANDYCZ

Socjologiczne diagnozy

Biblioteczka „Po Prostu" szybko rośnie. Tomiki Stanisława i M
Ossowskich należą do najwartościowszych w jej dorobku (1).

Niebawem do rąk naszych dotrzeć mają dwa dzieła Stanisława Oss
skiego, mianowicie trzecie rozszerzone wydanie jego przedwojennej ksi
„U podstaw estetyki" oraz dotąd niepublikowana praca „Struktura klas
w społecznej świadomości" (fragment ostatniego rozdziału ukazał się
dawno w „Nowej Kulturze"). Broszura wydana przez „Po Prostu"
zbiorem na ogół znanych, lecz wartościowych i zasługujących na szer
rozpowszechnienie artykułów. Dwa z nich były drukowane w „Myśli Ws
czesnej" w latach 1947-1948, jeden z 1950 roku przeznaczony dla „Ku
cy", nigdy nie ujrzał światła dziennego, gdyż nie był dopuszczony do dr
a wreszcie ostatni „Taktyka i Kultura" ukazał się z kilkomiesięcznym o
nieniem, również po uprzednim odrzuceniu przez redakcję, w „Przeglą
Kulturalnym" (13/56) (2). Lata dzielące artykuły w „Myśli Współczes
i w „Przeglądzie Kulturalnym" były dla Ossowskiego latami przymuso
milczenia, którego przyczyny znajdują w jego własnych artykułach soc
giczne wyjaśnienie.

Albowiem jednym z centralnych i nadal aktualnych zagadnień p
szonych w tych artykułach jest społeczna funkcja doktryny marksistows
Nie chodzi więc w tym wypadku o marksizm jako pewną postawę pozn
czą i metodologiczną, ani o system twierdzeń o rzeczywistości społecz
lecz o zespół tez służących nakłanianiu ludzi do postępowania w okreś
sposób w działalności społecznej i politycznej. Ossowski mówi w tym osta
wypadku o propagandowej funkcji marksizmu lub o jego funkcji instytu
nalnej (3). Funkcja propagandowa marksizmu nie polega na oświecaniu u
słów, doskonaleniu wiedzy o świecie i „władzy nad przyrodą". Mark
instytucjonalny jest zbiorem wierzeń i dyrektyw praktycznych, z socjolog
nego punktu widzenia podobnych do systemów religijnych, służących o
nie i umacnianiu określonego porządku społecznego. W tej interpre
pomocna jest Ossowskiemu teoria „wyobrażeń zniewalających" Durkhei
a w szczególności socjologiczne badania Durkheima nad religią.

Durkheima nie interesowały w religii osobiste wierzenia i doświad

(1) Stanisław Ossowski, *Marksizm i Twórczość Naukowa w Społec
stwie Socjalistycznym*, str. 99. Biblioteczka „Po Prostu", Nr 11; M
Ossowska, *O Pewnych Przemianach Etyki Walki*, str. 42. Biblioteczka
Prostu", Nr 12. Książka i Wiedza, 1957.

(2) Artykuł „Taktyka i Kultura" ukazał się w tłumaczeniu angiel
w „Science and Freedom", Nr 7, December, 1956.

(3) Funkcję propagandową spełniać może w zasadzie każda dzied
wiedzy. Fizyka atomowa dostarcza wiadomości użytecznych w propagan
na rzecz rządu światowego, historia ukazuje niebezpieczeństwo rzą
autokratycznych i totalitarnych.

nia. Religia była dla niego faktem społecznym, zespołem artykułów wiary, obrzędów i form kultu obowiązujących w danej grupie społecznej. Nie wszystkie zniewalające wierzenia i nie wszystkie zniewalające praktyki są natury religijnej, lecz tylko te wierzenia, z którymi łączą się określone formy postępowania, oraz te praktyki, jakie zakładają określone wierzenia. W religii rozpatrywanej jako fakt społeczny, rzeczą istotną nie jest to, w co się wierzy, lecz fakt iż wierzy się wspólnie i uznaje te same zniewalające nakazy. Religia stanowi przeto silną więź społeczną. Odstępstwo od wspólnej wiary więź tę narusza, zagraża spoistości grupy, a przeto jest traktowane jako wykroczenie przeciw zbiorowości i podlega społecznej sankcji.

Społeczną funkcję religii spełniać może zasadniczo każdy system wierzeń i obrzędów pod warunkiem iż dotyczy spraw z punktu widzenia danej grupy społecznej istotnych i ważnych. Próby tworzenia świeckich religii były podejmowane w przeszłości — przykładu dostarcza kult najwyższej istoty Robespierre'a lub religia ludzkości Comte'a. Marksizm jest również podobną próbą. Dogmatyzm, troska o ortodoksję, prześladowanie odchyleń i rewizjonistycznych tendencji jest nieuniknionym następstwem nadania marksizmowi funkcji religii (w sensie Durkheima).

Gdy rozpatruje się doktrynę marksistowską z punktu widzenia jej społeczno-religijnej funkcji prawdziwość składających się na nią wierzeń jest sprawą nieistotną. Nawet fałszywe wierzenia spełnić mogą instytucjonalną rolę pod warunkiem iż strzeże się ich nienaruszalności. Wartość perswazyjna doktryny instytucjonalnej nie wymaga, jak to ma miejsce z teorią naukową, zgodności z rzeczywistością. Ogólnikowość, niejasność, nieprecyzyjność, wieloznaczność sformułowań, nadających się na wzór wyroczni delfickich do wielorakich interpretacji, a tym samym niesprawdzalnych w naukowym tego słowa znaczeniu, sprzyja trwałości instytucjonalnej doktryny. Czego nie można racjonalnie uzasadnić, tego również nie można obalić racjonalnym argumentem. Instytucjonalne doktryny mają swoich najwyższych kapłanów, egzegetów i masy wiernych. Kto podchodzi do nich jako racjonalista i badacz, staje się nieuniknienie rewizjonistą i heretykiem. Niebezpieczną jest przeto rzeczą, gdy ten sam zbiór twierdzeń występuje w roli doktryny instytucjonalnej i teorii naukowej. Traktowanie teorii naukowej jak gdyby była ona doktryną instytucjonalną stanowi śmierć nauki, a podchodzenie do doktryny instytucjonalnej w sposób właściwy dla teorii naukowej oznacza kres doktryny instytucjonalnej. Dzieje stosunku wiary do nauki w okresie średniowiecza dostarczają przykładu następstw, jakie pociąga za sobą pomylenie wierzeń instytucjonalnych i twierdzeń naukowych.

Obrazuje to także obóz marksistowski, jednocześnie ilustrując polityczną użyteczność doktryn instytucjonalnych dla ugruntowania rządów autokratycznych i systemów totalitarnych. Wprowadzone przez Poppera rozróżnienie społeczeństw otwartych i zamkniętych sprowadza się do tego, iż pierwsze nie posiadają, a drugie ustanawiają doktryny instytucjonalne. Patrząc na społeczeństwa zamknięte oczyma Durkheima można je także nazwać systemami świeckiej teokracji. Autorytet polityczny zajmuje miejsce autorytetu kapłańskiego stając się gwarantem i stróżem czystości dogmatów.

Są to sprawy budzące nie tylko teoretyczne zainteresowanie, lecz i w sensie praktycznym niezwykle aktualne. Marksizm instytucjonalny podnosi znowu w Polsce głowę, gromiąc „rewizjonistów" i „likwidatorów" z wyżyn nieomylności poręczonej miejscem w partyjnej hierarchii, w imię „nau-

kowego komunizmu" i nienaruszalności „podstaw ruchu". Socjologia maczy mechanizm tego konfliktu i uzbraja w samowiedzę wyznawcę te Marksa, a wroga instytucjonalnego marksizmu. Pionierami socjalizmu nie ci, którzy upodobniają go do systemów religijnych (w durkheimowskim s sie), lecz umysły idące śladem Marksa myśliciela i badacza faktów społe nych.

II

Rozprawka Marii Ossowskiej „O pewnych przemianach etyki wal jest rozszerzoną polską wersją referatu wygłoszonego na III międzynaro wym zjeździe socjologicznym w Amsterdamie (4). Ossowska zastanawia w swej rozprawie, czy słuszny jest często głoszony pogląd, iż w naszy czasach walki orężne i nieorężne stały się bardziej brutalne aniżeli w ubi łym wieku. Wnioski, do których dochodzi, wskazują na to, iż wspomnia pogląd jest niestety uzasadniony.

Termin „walka" w tytule rozprawy Ossowskiej ma zakres tak szero iż oznacza wszelkie dążenie do celów niezgodnych, jeżeli tylko uwikła w tym strony wiedzą o sobie nawzajem i liczą się z działaniem przeci nika. Walką w tym sensie jest więc nie tylko wojna lub starcie orężn lecz i rywalizacja między grupami i jednostkami o coś, co tylko jed z rywali jest w stanie osiągnąć. Walkę prowadzić można z różnym stopni zapalczywości i brutalności, o czym rozstrzygają przeświadczenia i umow jakimi środkami w walce posługiwać się godzi. Ossowska rozróżnia p zasadniczych motywacji dobrowolnego ograniczenia środków walki, mian wicie względy humanitarne, szacunek dla przeciwnika, szacunek dla same siebie, czynnik zabawy i lęk przed odwzajemnieniem. Jej wniosek końc wy opiera się na rozeznaniu, iż wymienione motywy wiodące do ogranicz nia środków walki bądź osłabły, bądź całkowicie zanikły. Fakt ten wyp wadza ze wspólnego źródła — z ideologii panujących obecnie nad naszy umysłami. Tę część jej rozważań warto przytoczyć in extenso:

„Na pytanie, czy zaszły w czasach nam współczesnych przemiany ide logiczne, które mogły były przyczynić się do wzmożenia bezwzględno walki, nasze rozważania odpowiedziały pozytywnie. Istnienie ideologii ja nie zwalczających humanitaryzm, ideologii odmawiających w imię skutec ności walki przyznania wrogowi jakichkolwiek walorów, ideologii prz mawiających na rzecz prymatu polityki, której zarzucano zawsze lekcew żenie dla dyrektyw moralnych — te fakty nie mogły być dla prakty życiowej obojętne. Ideologie te oraz wspomniany zanik elementów zab wowych w kulturze mogły w pewnym stopniu przyczyniać się do bruta zacji walk orężnych i nieorężnych".

Ossowska pozostawia poza sferą ideologii jeden z czynników, któ również mógł wpłynąć na brutalizację walki, mianowicie podporządkow wanie indywiduum zbiorowości, cnót osobistych — cnotom kolektywny na przykład troski o własną godność — nakazowi solidarności, co prow dzić z kolei może do dbałości o zwycięstwo dla sprawy bez względu cenę. Troska o własną godność przybiera niekiedy wyolbrzymione i karyk

(4) Changes of the Ethics of Fighting in the Course of the Last Centu Transactions of the Third World Congress of Sociology, Vol. VI.

turalne formy i z tej przyczyny Ossowska nie wyrzekając się wprawdzie zdrowych intencji tkwiących w indywidualistycznej etyce skłonna jest widzieć w niej „relikt etyki tworzonej przez klasy konsumpcyjne", kształtujące stosunki międzyosobnicze na wzór stosunków towarzyskich.

Problem jest niewątpliwie wielce skomplikowany. Prawdą jest wprawdzie, iż nie ma problemów moralnych poza zbiorowością, lecz z tego nie wynika, by obok moralności indywidualnej istnieć miała moralność zbiorowości. Zachowanie grupowe lub zachowanie jednostki w grupie podlega ocenie moralnej, lecz ocena ta nie jest oceną grupy opartą na grupowej moralności, lecz oceną jednostki wywodzącą się z jej moralnej samowiedzy. „Moralność zbiorowości" jest zwrotem zastępczym, który nie dopuszcza dosłownej interpretacji. Moralność jest zawsze moralnością jednostki, tylko jednostka wydaje oceny.

Z drugiej strony człowiek stawiany jest często wobec konfliktów powstałych w wyniku jednocześnie odczuwanych powinności w stosunku do samego siebie i w stosunku do zbiorowości. Nakaz wierności prawdzie może walczyć w naszym sumieniu z poczuciem grupowej solidarności, poczucie sprawiedliwości z nakazem obrony dobra klasy lub narodu. Nie są to konflikty różnych moralności — indywidualistycznej i kolektywnej — lecz konflikty różnych hierarchii wartości i różnych koncepcji dobra, przebiegające w sumieniu jednostki. Reguła, iż w podobnych wypadkach dobro lub interes zbiorowości jest dobrem większym, jednostkowa wierność prawdzie i sprawiedliwości — dobrem mniejszym, nie jest ani oczywista, ani nieodmiennie prawdziwa. Nieposłuszeństwo nakazom grupowej solidarności może być postępowaniem moralnie dodatnim lub ujemnym i rozstrzyganie podobnych kwestii a priori nie byłoby uzasadnione. To, co nazywamy dobrem zbiorowości nie zawsze jest dobrem moralnym. Gdyby powinność solidarności w stosunku do grupy miała powszechnie obowiązywać, czynem moralnie dodatnim byłoby niekiedy współdziałanie w urzeczywistnianiu celów moralnie ujemnych.

Istnieją wprawdzie tendencje wykorzystujące brak systematycznej wiedzy o sprawach moralności, jej fragmentaryczność i kruchość, by przeciwstawić etyce indywidualistycznej „etykę naukową", narzucającą określoną koncepcję dobra, zazwyczaj dobra jakiejś grupy — klasy, rasy, narodu. Słusznie zarzuca się etyce indywidualistycznej kruchość, fragmentaryczność, niesystematyczność, lecz „etyki naukowe" wystawione są na identyczne zarzuty w stopniu nieporównanie wyższym. Arystoteles wyjaśniał w „Etyce Nikomachejskiej" dlaczego istnieć nie może „etyka naukowa", a wieki dzielące nas od „Etyki Nikomachejskiej" falsyfikowały poglądy konkurujące z omawianą tezą filozofii moralnej Arystotelesa. W naszych czasach „etyki naukowe" są zazwyczaj ideologiami przełożonymi na język moralnych nakazów w imię pewnej koncepcji dobra podniesionej do rzędu absolutu. Niezależnie od tego, iż posłuszeństwo tym nakazom prowadzi często do czynów ocenianych przez głos sumienia ujemnie, etyki absolutyzujące dobro określonych cząstkowych zbiorowości z reguły zaostrzają zapalczywość walki.

Wykrycie i doskonalenie broni masowego zniszczenia w posiadaniu obu mocarstw światowych uwypukliło lęk przed odwzajemnieniem jako szczególnie ważną motywację w wyborze środków użytych w starciu. Jesteśmy postawieni wobec sytuacji, którą Herbert Butterfield określił mianem „the Hobbesean predicament" i w której upatrywał powtarzający się w historii wzór

splotu wydarzeń. „The Hobbesean predicament" to konflikt zasadniczo rozstrzygalny przy użyciu tradycyjnych metod postępowania i przez pr sił między uwikłanymi w konflikcie stronami. Jego rozwiązanie wym przejścia na wyższą płaszczyznę współistnienia rywalizujących stron. na przykład katolicy i protestanci po okresie niszczących i okrutnych w religijnych zgodzili się uznać praktykę tolerancji jako rozwiązanie wyzna wego konfliktu, gdyż obie strony doszły do przekonania, iż nie są w st wygubić się nawzajem. Ten przykład może skłaniać tak do optymistyczn jak i pesymistycznych oczekiwań. Tak zwany raport Lilienthala, przedłoż w kilka miesięcy po wybuchu pierwszej bomby atomowej, zarysował ja oba możliwe rozwiązania naszego atomowego predykamentu i wydarz późniejsze do raportu Lilienthala w zasadzie nie dodały niczego isto nowego. Oscylujemy między optymizmem i pesymizmem stosownie do t czy pokładamy nadzieje w przemożnym lęku przed odwzajemnieniem, też liczymy się z prawdopodobieństwem, iż jedna ze stron posiadając dyspozycji środki całkowitej eksterminacji przeciwnika dojść może do p świadczenia bezkarności. Całkowita eksterminacja wyklucza rewanż, a w także zabezpiecza własne bezpieczeństwo przy użyciu środków masow zniszczenia.

Jeżeli jedna ze stron osiągnie wspomniane przeświadczenie bezkarnc jedynie względy humanitarne stanowiłyby hamulec działania stosownie do tego przeświadczenia. Ossowska podkreśliła rolę ideologii wrogich w sunku do humanitaryzmu w brutalizacji walki. Mają one również klucz znaczenie w rozwiązaniu predykamentu atomowego.

Zbigniew JORDAN

Archiwum polityczne

Przerwana struna

(ZAMIAST KRONIKI UKRAIŃSKIEJ)

„Szczęśliwe życie człowieka radzieckiego" zbiera na Ukrainie Sowieckiej swój złowieszczy plon. Sterani dziesiątkami lat walki o swobodę twórczości, nękani realizmem socjalistycznym, to jest — używając klasycznej definicji Słonimskiego — „prezyzyjnym narzędziem do niszczenia sztuki", pilnowani z dalekiej i jakże niestety bliskiej „białokamiennej" Moskwy, odchodzą od nas przedwcześnie ostatni Mohikanie ukraińskiego renesansu dwudziestych lat. Jurij Jankowśkyj, Oleksander Dowżenko, Ostap Wysznia, Amwrosij Buczma — pisarze, twórcy ukraińskiego filmu, aktorzy. Jeden po drugim odchodzą w wieczność współtwórcy „Sturm und Drang" — periodu porewolucyjnego Odrodzenia literatury i sztuki, towarzysze i rówieśnicy Chwylowych, Kuliszów, Falkiwśkych, Kłenów, Draj-Chmarych ale i pozostałych przy „szczęśliwym życiu" Rylskich, Tyczyn i Bażanów.

Nazwiska, a tym bardziej twórczość, wymierających pisarzy i artystów ukraińskich — poza szczupłym gronem uporczywych maniaków w Polsce i na emigracji — czytelnikowi polskiemu nic nie mówią. Rozdzielono „Lacha i Rusina" chińskim murem wzajemnej niewiedzy, wzajemnych uprzedzeń i nieufności, obopólnej niechęci do głębszego myślenia nad nierozerwalnym wspólnym losem, który zrodziła geografia i historia dla dwóch narodów.

Nie łudźmy się, przyjaciele, że w okresie ostatniego dwunastolecia pomimo szumnych frazesów i kolorowych festiwalów znajomość kultury ukraińskiej w społeczeństwie polskim choćby trochę urosła. Nic podobnego. Nie znaczy to, aby nie było w tym smutnym okresie ludzi w Warszawie i Kijowie, którzy by nie widzieli, co to wszystko znaczy. Trudno i właściwie nie ma sensu występować w roli srogiego sędziego. Zmarnowanych lat nikt i nic już nie powróci, a biadolenie równie mało pomoże. Tylko gwoli prawdy trzeba tutaj stwierdzić, że odcięty od reszty świata Kijów mniej miał obiektywnych środków i możliwości, aby tej żelaznej kurtynie między dwoma brat-

nimi kulturami móc w jakikolwiek skuteczny sposób przeciwdziałać. W
szawa przeto ponosi większą winę, bo nawet wśród najczarniejszej no
można było przeciwstawić się rosnącej fali ignorancji i zobojętnienia wob
sąsiedniego narodu ukraińskiego i jego kultury. Ale fałszywie dyktowa
i pojmowana „racja stanu", tak zwana „orientacja rosyjska", gięła
tylko karki i kręgosłupy, ale i pióra. Spójrzcie na pozycje tłumaczeń be
trystyki i poezji „radzieckiej" dwunastolecia władzy ludowej. Porównaj
dzieła literatury rosyjskiej i ukraińskiej i otrzymacie stosunek 99 do 1. Chy
żadne z wydawnictw krajowych nie powie, że to Stalin i Beria tak kazali
Nie, to raczej chciało się być „błagonadiożnymi" i nie wzbudzać podejrz
u możnych i silnych. Zresztą ta osobliwa wykładnia szafowanego hasła „
waszą i naszą..." itd. nie była przywilejem Polski bierutowej. Z tak
samym oportunizmem zachowali się politycy emigracyjni kiedy Ukraiń
z uporem usiłowali przełamać sztywne bariery biurokratycznego szufladk
wania emigracyjnych środowisk politycznych na przedstawicieli narod
pierwszej i drugiej klasy. Po dziś dzień święci sukcesy „sacro egoism
polskich delegatów tak zwanego „Zgromadzenia Narodów Ujarzmionyc
w stosunku do kołaczących bezowocnie Ukraińców.

Dyplomacja Warszawy od roku 1945 podobnie zresztą jak wszystk
ośrodki polityczne, które mogły działać w ramach ustroju demokracji ludow
prześcigały się wzajemnie w manifestowaniu gotowości do prowadzenia j
najbardziej prorosyjskiej polityki. Były w tej koncepcji rozmaite elemen
z reminescencją dmowszczyzny, reprezentowanej w kilku poważnych zesp
łach naukowych i publicystycznych, były jakieś wtórne echa „racji stanu
Wielopolskiego i było zwykłe wazeliniarstwo. To ostatnie sięgało niewątp
wie najgłębiej. Najbardziej przykrym i odpychającym zjawiskiem było to,
przedstawiciele ideologii marksistowskiej popadali w konflikt z zasadniczy
pojęciami o internacjonalizmie proletariackim i szczerze lub nieszczerze sch
biali wielkorosyjskiej koncepcji mocarstwowej stalinizmu. Człowiekowi ch
trochę obeznanemu z ideologią komunistyczną przykro było słuchać jak miar
dajni przedstawiciele PZPR tłumaczyli tępy szowinizm moskiewski pier
szych lat powojennych „państwowotwórczymi pierwiastkami" elementu wi
korosyjskiego w ZSSR.

Jak dalece stalinizm deprawował komunistów warszawskich, świadc
najwymowniej sposób rozwiązania kwestii ukraińskiej w Polsce powojenn
Akcja „W" czyli zastosowanie hitlerowsko-stalinowskich wzorów zbiorow
odpowiedzialności w odniesieniu do całej grupy narodowościowej za polityc
ną walkę znikomej części społeczeństwa ukraińskiego w Polsce, była niczy
innym jak przeniesieniem do Polski komunistycznej wzorów stalinowskiej p
lityki narodowościowej.

Tragedią układu sił politycznych i jeszcze bardziej rozwoju myśli po
tycznej w Europie środkowo-wschodniej jest to, że tak jak większość el
politycznej niemieckiej uważa, że Niemcy są sąsiadami Rosji a nie Pols
tak samo Rosjanie operują często analogicznymi pojęciami. A Polacy?
Nie wierzą lub nie chcą wierzyć, że podstawowym zagadnieniem polsk
„koncepcji rosyjskiej jest nietyle manifestowanie rusofilizmu ile uświad
mienie sobie faktu i wypływających stąd wniosków, że sąsiadami naro
polskiego są narody ukraiński, białoruski i litewski i że od przebiegu p
cesu układania się stosunków narodowościowych w ZSSR, od dynami
ności ruchów emancypacyjno-wyzwoleńczych, albo — operując terminolo

marksistowską — od praktycznego realizowania założeń „internacjonalizmu proletariackiego" na wschód od Bugu i Sanu, zależy w poważnym stopniu przyszły rozwój stosunków polsko-rosyjskich.

Wątpię czy tego rodzaju naśladownictwo wzorów polityki „starszego brata słowiańskiego, jak wysiedlanie, przysporzyło Polsce i polskim komunistom wiele sympatii wśród narodów ZSSR.

Byłoby oczywiście szaleństwem i megalomanią dyskutować poważnie o możliwości ingerowania polityki polskiej w stosunki międzynarodowe w ZSSR. Na to Polska nie posiada ani warunków potencjalnych, ani geograficznych. Ale, patrząc w przyszłość — byłoby nieprzebaczalnym błędem zaprzepaszczenie tych szans, które w obecnym układzie sił międzynarodowych i systemie rządów daje polityce polskiej ideologia marksistowska.

Każdy, komu leży na sercu zlikwidowanie wiekowych sporów w imię spokoju w Europie wschodniej i środkowo-wschodniej, musiał cieszyć się ze zwrotu w stosunkach pomiędzy Warszawą a Kijowem, który zarysował się jesienią ubiegłego roku w ramach tak zwanej „odwilży". Dekada kultury ukraińskiej w Polsce w roku 1956 wydawała się być zaczątkiem czegoś nowego i lepszego w porównaniu z ponurą przeszłością ostatnich lat. Nawiązano szczery dialog bez pośredników i patronów. Szczególnie w Kijowie przyjęto to ożywienie stosunków, poprzez zabitą dotychczas szczelnie deskami „przyjaźni polsko-radzieckiej" granicę polsko-ukraińską, z wielką żarliwością i nieudawanym entuzjazmem. Nic w tym zresztą dziwnego. Waśnie i kłótnie a nawet walki bratobójcze między dwoma sąsiednimi narodami były związane z lokalnym terenem Ziemi Halickiej i części Wołynia. Na terenach naddnieprzańskich i doneckich, na odległej Charkowszczyźnie i na północnej Czernihowszczyźnie antypatie w stosunku do Polski należą do odległych mitów historii. A zresztą nie trzeba zapominać, że dla Ukraińców trzymanych w straszliwej obręczy prowincjonalnej gubernii ZSSR, Polska mimo wszystko to Zachód, to relatywna wolność i swoboda, to w każdym razie coś innego niż „suwerenna Ukraina Radziecka".

I oto nagle następuje jakieś dziwne oziębienie. Z Kijowa sypią się ataki na pisarzy i artystów polskich, jak gdyby Ukraina była najbardziej zainteresowana w zduszeniu idei polskiego października. Wydaje mi się, że ludzie na ogół orientujący się w kulisach tego nagłego zwrotu wiedzą dobrze o co chodzi i gdzie szukać źródeł tej, obiektywnie rzecz biorąc, paradoksalnej akcji. Ale znajdą się może, i w Polsce i na emigracji, ludzie niezupełnie wyznający się w przyczynach, kulisach i motywach tego zorganizowanego oburzenia z powodu wolności, która uśmiechnęła się Polsce jesiennym październikiem. A ponieważ niezrozumiałość, a co za tym idzie, niewytłumaczalność, mogłaby znowu nanieść jakiś namuł urazów i uprzedzeń, trzeba tę sprawę postawić jasno i wyraźnie.

Na początku października 1956 w Kijowie i w innych miastach Ukrainy przebywała delegacja polskich działaczy komunistycznych, pisarzy i dziennikarzy, między innymi także Aleksander Ścibor-Rylski. Na prośbę redakcji ukraińskiego czasopisma ministerstwa kultury, „Radjanśka Kultura", Ścibor-Rylski ogłosił drukiem coś w rodzaju wywiadu, czy oświadczenia. Zresztą nie tylko on, ale i przewodniczący delegacji, ówczesny wiceminister kultury w rządzie Cyrankiewicza, a obecnie sekretarz PZPR w Krakowie, Lucjan Motyka i inni członkowie delegacji. Ale oświadczenie Ścibor-

Rylskiego, noszącego zresztą to samo nazwisko, co jeden z największy poetów ukraińskich zafrapowało i rozpaliło umysły ukraińskiej inteligen Treścią wywiadu-oświadczenia Rylskiego była zwięzła informacja o nowy kierunkach i prądach w życiu literackim i artystycznym Polski. W poró naniu z dyskusjami toczącymi się w warszawskich kołach literackich, w w nurzeniach polskiego pisarza nie było nic sensacyjnego. Opowiedział w kilkudziesięciu zdaniach o tym, że literaci, poeci i malarze polscy p wadzą dyskusje i spory o kierunkach rozwojowych sztuki, że istnieją gru modernistów, że są zwolennicy awangardy i zakończył swą wypowiedź s wami, które na głuchej ukraińskiej prowincji kulturalnej odezwały się daw zapomnianymi echami wielkiej dyskusji literackiej lat dwudziestych. Ścib Rylski napisał: „My, w Polsce, jesteśmy za tym, aby istniały rozma kierunki, różne poglądy artystyczne. My jesteśmy za różnorodnością sztu Nasza dyskusja znalazła już oddźwięk wśród Czechów, Jugosłowian, W grów. Dobrze byłoby, gdyby i ukraińscy artyści wypowiedzieli swoje glądy w tych sprawach".

Nadeszły październikowe wypadki w Polsce i na Węgrzech, które głębi wstrząsnęły Ukrainą. Natychmiast przyszła reakcja Moskwy. Pod niec listopada zwołano do Kijowa naradę organizacji partyjnej w ło Związku Literatów Ukrainy, aby się rozprawić z najbardziej niebezpieczn mi literatami. Pod obstrzałem krytyki znalazło się trzech pisarzy: M. S myło, W. Szweć i A. Małyszko. Z ogólnikowych zarzutów, wysunięty pod ich adresem trudno było zorientować się w czym właściwie zawini Oficjalny komunikat głosił, że Szumyło przyznał się do pomyłek i że Szw który swoimi wystąpieniami usiłował „poderwać przyjaźń pomiędzy naro mi", uznał szkodliwość swego stanowiska. Małyszkę ktoś widocznie zde nuncjował, gdyż komunikat twierdził, że ów pisarz wypowiadał fałszy poglądy w prywatnych rozmowach. Wydaje się, że ci trzej literaci ukraińs przejęli się jak najgłębiej oświadczeniem Ścibor-Rylskiego i usiłowali prz orać konformistyczny grunt życia literackiego i artystycznego na Ukrain W grudniu odbyła się nowa konferencja organizacji partyjnej pisarzy kijo skich, na której główną oskarżycielką była Wanda Wasilewska, żo Kornejczuka, córka wielkiego Polaka i przyjaciela Ukrainy, Leona Wasile skiego. Jej to właśnie przypadło zadanie zgromienia pisarzy polskich i w gierskich, którzy rzekomo znaleźli się pod wpływem wrogiej propagand W miesiąc później, między 10 a 12 stycznia odbyło się w Kijowie czwa plenum zarządu Związku Literatów Ukrainy, na którym jeden z sekretar Związku, krytyk literacki Nowyczenko, znany ze swych konformistyczny wystąpień w poprzednich latach, wygłosił programowy (czy raczej pogrom wy) referat. Główną ideą elaboratu Nowyczenki było niedwuznaczne ostrz żenie pisarzy ukraińskich przed wpływami rewolucji węgierskiej i polski Mówca obrzucił stekiem inwektyw i insynuacji Antoniego Słonimskieg Juliana Przybosia, Wiktora Woroszylskiego oraz takich pisarzy węgierski jak Tibor Deri czy Gyula Hay. Dostało się przy tym również i „K turze", którą erudyta Nowyczenko ochrzcił „organem reakcyjnej emigra polskiej we Francji". Chodziło w danym wypadku o artykuł Fejtö o r pisarzy węgierskich i o to, że krakowskie „Życie Literackie" przedruk wało — jak się wyraził kijowski cerber od spraw literatury — „tę pi ninę". (Ciekawa rzecz, że w przerobionym rękopisie swojego przemówien dla marcowego numeru literackiego miesięcznika w Kijowie „Dnipro", N

wyczenko zrezygnował już z epitetu „reakcyjnej" i nazwał „Kulturę" po prostu „organem emigracji polskiej we Francji").

Najbardziej bolesnym w tej, wiadomo skąd organizowanej i prowadzonej akcji przeciwko podmuchom wolności, płynącym z sąsiedniej Polski, był artykuł sędziwego poety Maksyma Rylskiego w kijowskiej „Literaturnej Hazecie". Wypad Rylskiego przeciwko nowym prądom w życiu literackim w Polsce, przeciwko Jastrunowi i Przybosiowi jest tym boleśniejszy, że przecież autor jest nie tylko jednym z największych żyjących poetów ukraińskich ale i jednym z największych i najserdeczniejszych przyjaciół Polski.

Co to wszystko znaczy? O co tu chodzi?

Sprawa jest jasna jak dzień. Moskwie nie trudno było zorientować się w zasięgu i głębokości echa, którym październikowe wydarzenia w Polsce odbiły się na Ukrainie. I w Moskwie, a nie w Kijowie, wymyślono ów plan aby ustami pisarzy i publicystów ukraińskich uderzyć najpierw przeciwko wolności słowa literackiego i artystycznego w Polsce. Rozrachunek przy tym był, mówiąc po ukraińsku, „chytryj-mudryj". Założono z góry, że jednym strzałem można ubić dwa zające: że się odstraszy intelektualne koła na Ukrainie przed brataniem się z polskimi „miateżnikami" i że się jednocześnie wywoła oburzenie opinii polskiej przeciwko niesłychanym pretensjom literatów i krytyków ukraińskich. Wydaje się jednak, że Moskwa osiągnęła częściowo i bardzo powierzchownie, tylko pierwszy cel. Ukraina pisząca i myśląca, Ukraina literacka i artystyczna przycichła znowu jak długa i szeroka, od Karpat po Donbas, od Polesia po Morze Czarne, jak tyle już razy w swej krwawej i tragicznej historii, i postanowiła przeczekać burzę, którą wywołał polski październik w sercach i umysłach narodów Europy Wschodniej. Z projektu zaś poróżnienia Ukraińców i Polaków zdaje się że nic nie wyszło. Bo i któż uwierzy, że swój artykuł Maksym Rylski z własnej woli napisał w kijowskiej „Literaturce". Ale gdyby ktoś miał się mylić co do osoby prawdziwego Maksyma Rylskiego, niech przeczyta jego wiersze. Te dawne, z tomów „Pod jesiennymi gwiazdami", „Przez burzę i śnieg", „Gdzie się schodzą drogi", a szczególnie ów przejmujący wiersz o Ukrainie kończący się niezapomnianą strofą:

I wierzę, wierzę aż do zgonu,
że zejdzie promień z nieboskłonu,
jak złoty miecz, jak szabla chyża,
i w promieniste jasne rano,
w godzinę już zapowiadaną
zejdziesz, ojczyzno z Twego krzyża.

A zresztą o postawie Maksyma Rylskiego, człowieka steranego „szczęśliwym" życiem okresu stalinowskiego, świadczy jeden z ostatnich jego wierszy, z okresu krótkotrwałej odwilży w ZSSR, wydrukowany we wrześniu 1955 roku w lwowskim miesięczniku „Żowteń", którego fragment spróbuję tu przetłumaczyć:

„Ogrodnik stary radził mi rozumnie —
Gdy będziesz kiedyś choinkę przesadzał,
bacz gdzie jest północ i gdzie jest południe
i tedy sadź — będzie rosła na schwał.

Niech na południe patrzy ona
jak dawniej patrzyła — takim samym okiem,
gałęzi mocnych gęstwin ciemna
z północnym wiatrem niech walczy szerokim".



Jest w tym wszystkim jednak nuta bardzo tragiczna. Dialog pols ukraiński, który po wielu latach drętwej mowy przyjaźni polsko-radziecl jesienią 1956 roku zaczął być czymś istotnym i normalnym, urwał się na r kaz, jak przerwana struna. Miejmy nadzieję, przyjaciele po obydwu s nach Bugu i Sanu, że nie na długo...

Bohdan OSADCZUK

Kronika angielska

REFLEKSJE LONDYŃSKIE

Notatka o pobycie p. H. Malewskiej w Londynie (Kultura, Nr 1 — spowodowała falę oskarżeń i napaści, na które chciałbym odpowiedzi Jest to tym bardziej konieczne jeżeli się zważy, że dla 99% naszych Czyt ników, przebywających poza Wielką Brytanią, epizod jest całkowicie n zrozumiały.

Merytorycznie sprawa jest wyczerpana. Wyjaśnienie Kisiela na łama krakowskiego ,,Tygodnika Powszechnego" — które jakże odbija treścią, nem i stylem od emigracyjnych napaści — sprawę definitywnie zamyka.

Warto natomiast poświęcić kilka słów tej osobliwej nagonce, w któ pod przewodnictwem Bywalca z ,,Dziennika Polskiego" wzięli udział: Si z londyńskich ,,Wiadomości", endecka ,,Myśl Polska", Biuletyn Egze tywy, ,,Orzeł Biały" i argentyński ,,Głos Polski". Uczestników nago było zapewne więcej ale, jak dotąd, sprawdzalne wieści doszły mnie ty o wyżej wymienionych.

Nie po raz pierwszy zorganizowano nagonkę przeciw ,,Kulturze". C przed kilku laty w Maisons-Laffitte wylądował Czesław Miłosz — mieliś również cały białogwardyjski polski Londyn przeciwko sobie. Broniłem wó czas Miłosza przeciwko napaściom tego samego ,,Dziennika Polskiego", t samych ,,Wiadomości", tego samego ,,Orła".

Identyczną nagonkę podjęto przeciw nam w związku z zaproszen przez ,,Kulturę" 48 sygnatariuszy tak zwanego apelu repatriacyjnego. S dykaty dziennikarzy podejmowały uchwały przeciwko nam — odsądzano od czci i wiary. Dziś z perspektywy czasu z całym obiektywizmem nal

stwierdzić, że ta właśnie inicjatywa „Kultury" doprowadziła do niebywałej publicznej kompromitacji ówczesnego reżymu i zadała definitywny cios akcji repatriacyjnej. Udowodnienie fotokopiami faktu, że listy polecone „Kultury" nie zostały nigdy doręczone owym 48 sygnatariuszom oraz, że większość podpisów (na apelu) umieszczono bez wiedzy sygnatariuszów było „exposure" w dużej skali i konkretnym osiągnięciem. Jest niewątpliwą ironią, że za ten dziennikarski i polityczny sukces zostaliśmy potępieni przez dziennikarską zawodową organizację.

W sprawach programowych białogwardyjskie koła londyńskie nie podejmują nigdy z nami dyskusji. Natomiast obserwują nas bacznie i gdy w danym momencie dojdą do wniosku, że „Kultura"... potknęła się — wówczas pada hasło: kupą mościpanowie! A nuż uda się zlikwidować tę czarną owcę. Jest rzeczą irytującą, że emigracyjna „Kultura" ma nakład nie mniejszy niż krajowa „Twórczość" a wyższy od niejednego miesięcznika angielskiego czy francuskiego. Irytujące jest pomyśleć, że właśnie „Kultura" ma pewną pozycję w Kraju. Ale przede wszystkim irytujący w stopniu trudnym do zniesienia jest fakt, że „Kultura" robiąc same katastrofalne „błędy" i fatalne „pomyłki" umie przemieniać je w sukces. Z nas już przecież dawno nie powinno być ani śladu ani popiołu...

Lecz wróćmy do tematu. Czytelnikom zamorskim nie obznajmionym z arkanami wielkiej polityki polskiego Londynu należy się niewątpliwie kilka słów wyjaśnienia. Bo — powiedzmy dla przykładu — skąd Egzekutywa do tego wszystkiego?

Otóż, jak wynika z komunikatu w „Orle Białym" Wydział Wykonawczy Związku Dziennikarzy postanowił skierować do Sądu Koleżeńskiego „sprawę przeciw red. J. Mieroszewskiemu (Londyńczykowi) o naruszenie etyki dziennikarskiej w artykule pt. „Hanna Malewska w Londynie".

By całej sprawie nadać maksymalny rozgłos i równocześnie wyposażyć ją w „powagę urzędową" postarano się by komunikat powyższy wydrukował oficjalny organ Egzekutywy czyli ów biuletyn.

W ten sposób, mimo że nie było ani rozprawy ani wyroku, stwarza się pozór, iż p. Mieroszewski dopuścił się jakiegoś hańbiącego czynu kolidującego z etyką dziennikarską. Jeżeli do rozprawy by nie doszło, względnie, gdyby Sąd Koleżeński uwolnił niżej podpisanego od „winy i kary" — takiej wiadomości biuletyn Egzekutywy oczywiście nie zamieści.

Półtora roku temu — w styczniu 1956 roku — napisałem w „Kulturze" artykuł pt. „Karty na stół". P. Ryszard Piestrzyński polemizując na łamach „Orła Białego" z cytowanym artykułem — mówiąc delikatnie przeinaczył bardzo istotnie tekst mojej wypowiedzi. W „Kulturze" z marca 1956 podniosłem publicznie bardzo poważny zarzut przeciw p. Piestrzyńskiemu oświadczając gotowość powtórzenia tego zarzutu przed każdym sądem, z Sądem Koleżeńskim włącznie. I wówczas ukazało się w „Orle Białym" oświadczenie stwierdzające, że p. Piestrzyński poczuł się dotknięty moją wypowiedzią w „Kulturze" i skierował sprawę do Sądu Koleżeńskiego Zw. Dziennikarzy.

Innymi słowy — dla czytelników „Orła Białego" ofiarą napaści jest p. Piestrzyński, który swojej „krzywdy" dochodzi przed Sądem Koleżeńskim. Czytelnicy „Orła" i szeroka publiczność oczywiście nie wie, że w tej sprawie nie było ani rozprawy ani wyroku. Pokrzywdzonego, to jest w tym wypadku niżej podpisanego — stawia się w stan permanentnego oskarżenia

nie dając mu możliwości ani obrony ani przeprowadzenia dowodu praw
Ten sam p. Piestrzyński, który do tej pory nie uważał za stosowne ę
jęcia próby oczyszczenia się z zarzutów jakie publicznie przeciw niemu
sunąłem, jest urzędującym członkiem zarządu Zw. Dziennikarzy. Tego
mego zarządu, który w trosce o... poziom etyki dziennikarskiej skiero
przeciwko mnie sprawę do Sądu Koleżeńskiego w związku z notatką o
Malewskiej. Dalsze komentarze wydają się zbędne.

◆

Notatka w sprawie p. Malewskiej miała na celu podkreślenie dw
rzeczy. Po pierwsze, że uchwałę Związku Pisarzy traktujemy serio.
drugie, że „Kultura" nie zamierza oklaskiwać tych pisarzy krajowych i e
gracyjnych, którzy „prywatnie" uchwałę potępiają, ale w praktyce c
być z wszystkimi dobrze i nikomu się nie narazić.
To tak jak w wierszyku Hemara. „Pomów z każdym z osobna, uw
rzyć nie podobna..." Uwierzyć nie podobna, że uchwałę powzięto, bo
watnie każdy z osobna jest przeciwko uchwale. Każdy jest za Krajem,
więzami z narodem itd., itd.
Wszystko jest cacy-cacy dopóki od pana Iksa nie żąda się, by
prywatne zdanie o uchwale wypowiedział publicznie. Wówczas oka
się, że tej całej sprawy nie należy brać zbyt serio, że życie przejdzie
tym do porządku, że z czasem wszystko się jakoś ułoży, że w sumie
wypada się tym przejmować. I wreszcie pada argument finalny: „pa
kolego — takie sprawy trzeba traktować z odrobiną humoru — to wsz
ko jest w większym stopniu śmieszne niż groźne".
Inwencja w usprawiedliwianiu braku cywilnej odwagi, nawet u lu
skądinąd ubogich w wyobraźnię — jest bezgraniczna. Generalną pro
zastępującą cywilną odwagę jest cyniczny humorek. Jeżeli daną sprawę
mniejszy się i ośmieszy, nie ma powodu o nią walczyć. Bezpośrednim re
tatem tego stanu rzeczy jest fakt, że my wszyscy i każdy z osobna jesteś
sceptyczni i złośliwi — dowcipni i zakochani w „powiedzonkach" ...
biernie pozwalamy się wodzić za nos w Radzie takiej czy innej,
w związku takim czy innym — ponurym napuszonym facetom, którzy na
tyle poczucia humoru nie mają by się śmiać z nas w kułak (na co w p
zasługujemy).

◆

Bywalec w „Dzienniku Polskim" określił notatkę (w Kulturze) w sp
wie p. Malewskiej terminem „donos". Po tej samej linii, choć bez uży
tego terminu, szedł komentarz endeckiej „Myśli Polskiej" z sugestią ski
wania sprawy do Sądu Koleżeńskiego.
Skłonny jestem sądzić, że donosami, jakie na moją skromną osobę n
sano tu, w Anglii, można by wytapetować wdzięcznie spory pokój. N
miast z zarzutem, że ja piszę donosy w mojej 27-letniej karierze dzie
karskiej spotkałem się po raz pierwszy.
Notatka Londyńczyka nie ujawniała żadnego zasadniczego szczegó
który nie byłby uprzednio znany z prasy emigracyjnej. Wieczór auto
p. Malewskiej pod auspicjami Zw. Pisarzy był publiczną imprezą ogłasz

na szereg dni przedtem w prasie. Anty-krajowa uchwała Zw. Pisarzy nie jest również tajemnicą, jak nie jest tajemnicą fakt, że zarząd, który organizował ów wieczór autorski — składa się wyłącznie ze zwolenników tej uchwały.

Więc gdzież jest owo ,,naruszenie etyki dziennikarskiej''? Domyślam się, że pp. Bywalec & ,,Myśl Polska'' sądzą, iż ,,przestępstwem'' jest fakt posądzenia p. Malewskiej o solidaryzowanie się z powyższą uchwałą. Bo wprawdzie dygnitarze naszego parnasu uważają tę sławetną uchwałę za wykwit patriotyzmu i polskości ale samo posądzenie pisarza krajowego o sympatie dla tego aktu może ściągnąć na jego głowę prześladowania.

To jest oczywisty nonsens. Uchwałę, o której mowa, ludzie w Kraju uważają za bzdurę. Kisielewski na łamach ,,Tygodnika Powszechnego'' nazwał ją po prostu głupią. Ów akt nie ma w Kraju ani jawnych ani ukrytych zwolenników i jest absolutnym pewnikiem, że za uchwałę pp. Terleckiego i Kisielewskiego w lochach Bezpieki nikt cierpieć nie będzie.

W gruncie rzeczy chodzi o coś całkiem innego. Pisarze z którymi p. Malewska rozmawiała prywatnie wiedzieli, że jest ona zdecydowaną przeciwniczką uchwały. Ale od strony szerokiej publiczności całe zagadnienie wyglądało całkiem inaczej. Ci, którzy przyszli na wieczór autorski znanej pisarki z Kraju nie mieli żadnych danych do wnioskowania, że jest ona przeciwniczką uchwały. Przeciwnie, mieli wszelkie podstawy do sądzenia, że p. Malewska — skoro publicznie nie zaznaczyła swego stanowiska — milcząco popiera politykę instytucji, pod której firmą wystąpiła ze swym wieczorem. W ten sposób zostało utrwalone wrażenie, że przeciwko uchwale buntuje się kilku nieodpowiedzialnych emigracyjnych pisarzy, natomiast poważna pisarka z Kraju nie widzi przeszkody w współpracy ze Związkiem. Gdyby nie notatka Londyńczyka w ,,Kulturze'' opinia publiczna na emigracji nie dowiedziałaby się nigdy, że p. Malewska jest przeciwniczką uchwały mimo, iż zgodziła się na wieczór autorski pod egidą Związku.

Dla zarządu Związku Pisarzy i dla zwolenników sławetnej uchwały byłoby oczywiście znacznie korzystniej gdyby opinia p. Malewskiej w tej sprawie nie została ujawniona publicznie, to jest w druku. Jednak w moim przekonaniu nie leżało to w interesie ani Czytelników ,,Kultury'', ani w interesie opinii społeczeństwa emigracyjnego.

Juliusz MIEROSZEWSKI (Londyńczyk)

P.S. — Kilkutygodniowa choroba uniemożliwiła mi napisanie comiesięcznego artykułu do bieżącego numeru ,,Kultury'' za co serdecznie przepraszam naszych Czytelników.

L.

Armia niemiecka

(KORESPONDENCJA Z BONN)

Wiele refleksji nasuwa widok — na ulicach miast niemieckich nowych uniformów wojskowych, będącym wyrazem odradzającej się armii miec kiej. Jeszcze tak niedawno, zarówno mocarstwa zachodnie jak i R zdecydowane były nie dopuścić do odrodzenia się militaryzmu niemieckie który w ciągu jednej generacji był przyczyną dwóch krwawych w w Europie; Rosja, pierwsza złamała odnośne przyrzeczenia, przystęp prawie natychmiast, po okupowaniu Niemiec Wschodnich, do odbud zamaskowanych jako „Policja Ludowa" sił zbrojnych należących obecnie Paktu Warszawskiego.

Na Zachodzie ten proces trwał o wiele dłużej, i dopiero wojna Korei — która do reszty rozwiała złudzenia o możliwości pokojow współżycia z Rosją — dała impuls do szukania w Niemczech potencjaln sprzymierzeńca przeciwko rosnącemu zagrożeniu ze strony Rosji.

Nie będziemy nużyć czytelnika przypominaniem szczegółów polityc wojny podjazdowej, jaka rozegrała się w związku z projektem stworz Armii Europejskiej, w skład której wchodzić miały kontyngenty niemieck miał to być mezalians pomiędzy postulatami strategii a abstrakcjami polit Poród Armii Europejskiej, storpedowany przez francuskie Zgromadz Narodowe, zakończył się poronieniem, a mimo to, w parę lat później, ar niemiecka ujrzała świat, stając się nagle beniaminkiem Europy i Sta Zjednoczonych.

Na skutek szeregu przyczyn, a przede wszystkim wobec coraz bard wzrastającej potrzeby zapełnienia luk w „tarczy" NATO żołnierzem mieckim, doszło w 1955 roku do układów w Paryżu i Bonn, i Niemcy s się pełnoprawnym partnerem koalicji atlantyckiej. Obecnie armia niemie zaczyna przybierać kształty realne.

Za kilka miesięcy będą gotowe trzy dywizje piechoty, zaś pod ko roku dwie dywizje pancerne. Na początku roku 1958 ma być również mowana jedna dywizja spadochronowa i jedna dywizja górska — ra siedem dywizji. O cyfrze dwunastu dywizji, przewidzianych ukła o Armii Europejskiej, oraz układami w Paryżu i Bonn, jakoś się nie m Na zapytanie w tej sprawie otrzymuje się odpowiedź, że nowe bronie mowe, których od dawna domagały się Niemcy — częściowo ze wzglę prestiżowych — zredukują, być może potrzebę żywej siły.

Jeżeli idzie o lotnictwo taktyczne — o ile ono zaistnieje w ogóle, rąc pod uwagę zastępowanie go przez pociski kierowane — to liczyć z nim można dopiero nie wcześniej jak w roku 1960, a do tego czasu w rzeczy może się jeszcze wydarzyć.

Tak jak fabryki niemieckie, pracujące pełną parą na eksport, w sażone są w najnowocześniejsze maszyny, zapewniające największą wy ność, tak samo mają wyglądać nowe dywizje niemieckie, które będą uz

jone w najlepszy sprzęt amerykański lub brytyjski; organizacja tych dywizji oparta ma być również na najbardziej nowoczesnych wzorach, będących wynikiem doświadczeń i studiów ostatnich paru lat.

Niemniej nowoczesne będzie wyszkolenie, dyscyplina, a przede wszystkim morale tej nowej armii. Przy tworzeniu jej zerwano w sposób radykalny z przeszłością: przede wszystkim zniesione zostały dawne mundury i wprowadzono battledressy i hełmy nowego typu; zniesiono salutowanie, ograniczając je jedynie do bezpośrednich przełożonych. Skasowano dawne kadry pułkowe, i tym samym dawne tradycje. Przede wszystkim kładzie się obecnie nacisk na to, by żołnierz nowej armii niemieckiej — Bundeswehr — był pełnoprawnym obywatelem Republiki Federalnej. Jeżeli rozmawia się z oficerami na wyższych szczeblach Ministerstwa Obrony, uderza szczery kult oficera typu hr. Stauffenberga, a więc oficera, który w imię honoru gotów był poświęcić karierę i życie. Dawna kasta oficerska należy do przeszłości.

Na tle tego dążenia do stworzenia jak najbardziej nowoczesnych sił zbrojnych, pewnym kontrastem wydaje się taktyczna doktryna użycia ich w razie wojny. Wprawdzie łamy „Kultury" nie nadają się do rozważań natury operacyjnej, warto by jednak — chociażby w paru słowach — nadmienić, że czynniki odpowiedzialne za planowanie użycia wojsk niemieckich w ramach koalicji atlantyckiej — a więc w ramach wojny atomowej, bo tylko taka jest do pomyślenia w Europie — wciąż jeszcze operują pojęciami Blitzkriegu z lat 1939-1945.

Nacisk, jaki czynniki odpowiedzialne za planowanie operacyjne, kładą na ruchliwość i rozbudowę broni pancernej, robi wrażenie, że zapominają one o tym, że wojna atomowa, po pierwszych 24 godzinach, w czasie których odbywać się będzie obustronne bombardowanie atomowe, w dalszej fazie — jak wyraził się Churchill — prowadzona będzie w myśl zasad „broken back strategy", a więc w warunkach absolutnego chaosu, na tle całkowicie rozwalonego systemu zaopatrywania, czyli zniszczonych baz, portów, kolei i komunikacji.

Podstawą sukcesu niemieckiego Blitzkriegu była harmonijna współpraca pomiędzy piechotą, bronią pancerną i lotnictwem; podstawą działania broni pancernej i, rzecz jasna, lotnictwa, jest regularne zaopatrywanie w benzynę, na skutek jednak zniszczenia systemu zaopatrywania, działania wojenne, najprawdopodobniej, nawracać będą do form wojny z 1914-1918, a więc do okrzepnięcia frontów i wojny okopowej.

Obecna operacyjna koncepcja niemiecka wydaje się więc w dziwnej dysharmonii z wizją wojny atomowej.

Odradzanie się niemieckich sił zbrojnych posiada jednakże pewne aspekty polityczne, z czego całkowicie zdają sobie sprawę politycy niemieccy — tak z koalicji rządowej, jak i z opozycji.

Należy dodać, że wszyscy Niemcy, z którymi rozmawia się na ten temat dumni są z obecnej przynależności do „rodziny europejskiej" i możliwości brania udziału w różnych organizacjach europejskich. Być może, wynika to jeszcze z dawnego kompleksu niższości.

Jedynie niemieccy socjal-demokraci stoją na stanowisku, że przynależność Niemiec do NATO jest przeszkodą do zjednoczenia, tym niemniej, dodają, że w razie dojścia ich do władzy „pacta sunt servanda" i że nie będzie mowy o wyjściu Niemiec z NATO na skutek bilateralnej umowy

pomiędzy Niemcami i Rosją, zawartej poza plecami Zachodu. Wszy podkreślają z naciskiem, że nie ma mowy o jakimś nowym Rapallo, a bardziej o umowie na wzór umowy Ribbentrop-Mołotow.

Politycy niemieccy — a przynajmniej przeważająca ich większość wyzbyli się obecnie dawnych dążeń do panowania nad światem. H „Deutschland ueber Alles" pozostało jedynie zwrotką w hymnie naro wym, tracąc całą swoją atrakcyjność i znaczenie.

Tego rodzaju nastawienie polityków niemieckich jest szczególnie i resujące z punktu widzenia polskiego: we wszystkich rozmowach z mie stwierdzali potrzebę dogadania się z Polską w sposób jak najbardziej p jazny. Wielu z nich — zastrzegając by nie podawać ich nazwisk — ośw czało, że sprawa dawnych ziem niemieckich na Wschodzie, należy już przeszłości, że ich zdaniem nie tylko nie ma mowy o jakimkolwiek wrocie do stanu rzeczy z roku 1939 ale w ogóle o rewizji obecnej gran

Rzecz jasna, że ze względu na zbliżające się wybory, żaden szanu się polityk niemiecki, nie będzie ryzykował wyrażania tego rodzaju po dów publicznie, a nawet i po wyborach, byłoby — ich zdaniem — jed dowodem złej dyplomacji wyrzekać się wszystkiego bez próby targu.

Mówiąc na ten temat, odrzucają oni kategorycznie możliwość rewin kacji ziem utraconych przy użyciu siły; dodają zresztą z całym poczuc realizmu, że obecna armia polska jest o wiele silniejsza od niemiec Bundeswehr, nawet kiedy ta osiągnie przewidziane stany.

Wszyscy interesują się niezmiernie rozwojem wydarzeń w Polsce, c niając pozytywnie posunięcia Gomułki i wyrażając nadzieję, że uda mu poszerzyć obecny margines wolności. Ponadto, rozwój sytuacji w Polsce dla nich sprawdzianem siły Rosji, i wszelkie ustępstwa sowieckie na korz Polski, wzmagają nadzieje niemieckie na możliwość dogadania się z R w sprawie zjednoczenia Niemiec.

Niemcy zdają sobie sprawę, że zjednoczenie może nastąpić jed w wyniku wycofania się wojsk sowieckich z Niemiec Wschodnich i Eur Wschodniej i utworzenia strefy neutralnej, w której Niemcy będą, zapew zmuszone do poważnego zredukowania swoich sił zbrojnych, jeśli nie ca witej ich likwidacji. Odnosi się wrażenie, że tego rodzaju cenę będą got zapłacić bez najmniejszego wahania.

E. HINTERHOFF

Obrona Belwederu

(ZAPISKI UCZESTNIKA WYPADKÓW MAJOWYCH 1926 ROKU)

Warszawa, lipiec 1926.

Pod wieczór 12 maja zostałem zaalarmowany telefonicznym pytaniem: „Co ten bunt ma znaczyć?"

— Jaki bunt? — zapytałem zdumiony.

— Czy ty naprawdę nie wiesz, czy udajesz tajemniczego sztabowca?

Wstyd przyznać, że będąc w stolicy, w sąsiedztwie różnych wydarzeń politycznych, naprawdę nie wiedziałem o buncie części wojska i dopiero z odczytanego mi telefonicznie komunikatu Rządu, ogłoszonego w wieczornych gazetach, dowiedziałem się, że: „Część wojska, otumaniona... zbuntowała się pod dowództwem marszałka Piłsudskiego przeciw legalnemu Rządowi... i tak dalej".

Piorun, który w formie powyższego komunikatu uderzył we mnie, nie powinien właściwie być tak nieoczekiwany; przypomniałem sobie, że od czasu wycofania się marszałka do Sulejówka, w kołach kolegów legionowych ustawicznie coś się kotłowało. Od kilku miesięcy odbywały się po różnych lokalach zebrania byłych legionistów, a ostatnio, zaczęły się jakieś legionowe protesty przeciwrządowe, chociaż w tym rządzie ministrem spraw wojskowych był człowiek marszałka, gen. Żeligowski. Przeniesienie generała Dreszera, dowódcy dywizji kawalerii z Warszawy do Poznania i z powrotem, wskazywało na jakieś manewry personalne.

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

Tego dnia rano, w czasie długiej pauzy między wykłada grono słuchaczy Wyższej Szkoły Wojennej, przeważnie b. ofi rów legionowych, zebrało się w hallu, prowadząc jakąś barc ożywioną dyskusję, ale ponieważ kilka dni temu ci sami oficero złożyli na ręce komendanta szkoły, gen. Dzierzanowskiego, kiś protest w obronie rzekomo obrażonego przez część pr Marszałka i protest ten nie został przyjęty, jako niezgodny z d cypliną wojskową, przeto nikt się tym zebraniem nie zaintere wał, w przekonaniu, że chodzi o jakąś nową petycję czy akc

Po beznamiętnym wykładzie, prof. Dziewulskiego, z eko mii politycznej, słuchacze zaczęli się rozchodzić, prowadząc zw czajne rozmowy i przypominając sobie nawzajem, że tego d wieczorem mieli się spotkać na co-miesięcznym „komersie" l leżeńskim w Kasynie Garnizonowym przy Alei Szucha. Pr chodząc z ulicy Koszykowej do swego mieszkania przy ul Wiejskiej, obok Sejmu i parku Frascati, nie zauważyłem nic go, co by mogło wskazywać na jakieś szczególne wydarzen Ruch uliczny normalny, hale targowe w pełnym rozgwa handlowym, cukiernie wypełnione paniami, jak zwykle plotk jącymi przy przedobiedniej kawie...

Wypadki polityczne ostatnich dni także nie wskazywały konieczność jakiejś gwałtownej akcji. Po ustąpieniu gabine hr. Skrzyńskiego, Prezydent zaproponował marszałkowi Piłsu skiemu objęcie władzy. Marszałek mógł ją więc sprawować leg nie, bez uciekania się do buntu wojskowego. Przyszło mi myśl, że może nowy premier, Witos, zagroził zwolennik Marszałka jakimiś represjami i że marszałek Piłsudski dzia w obronie własnej i swego obozu i tą demonstracją ostrze sfery rządowe przed próbami stosowania gwałtownych pocią nięć politycznych i ciągłych przesileń. Wykluczając jakieś r grywki z bronią w ręku i uspokojony swym rozumowaniem, p stanowiłem udać się na koleżeńskie zebranie, gdzie niewątpliw otrzymam najnowsze wiadomości.

Aleje Ujazdowskie wypełnione były spacerującymi tłuma ale fragmenty usłyszanych rozmów dotyczyły prywatnych, n politycznych tematów, co wskazywało, że zaognienie politycz już się musiało skończyć albo, że nie jest tak mocne, aby wzb dzić namiętności, czy nawet tylko zainteresowanie. Niestety a optymizm tłumów, ani mój własny nie był uzasadniony.

Po przybyciu do Kasyna zastałem wprawdzie dużo koleg naszego (2-go) rocznika W.S.W. ale byli to tylko ci, jak później okazało, którzy jeszcze, tak jak ja, nie byli zorientowa w sytuacji i tu chcieli się dowiedzieć czegoś pewnego. Dow dzieliśmy się więc niebawem, że wbrew wszelkim optymisty nym przewidywaniom, krew się już polała. Na moście Pon towskiego miało miejsce w godzinach popołudnowych spotk nie między Prezydentem Wojciechowskim i marszałkiem Piłsu skim, podczas którego Prezydent stanowczo miał odmówić za galizowania buntu i uznania władzy rokoszan, wobec cze obaj dostojnicy rozeszli się i do głosu doszła broń. Wojs

„marszałkowskie” zdobyły most Kierbedzia i Śródmieście. Wobec tego, że 1. pułk szwoleżerów przystąpił do buntu a w Cytadeli trwała niewyjaśniona sytuacja, do obrony miasta po stronie Prezydenta pozostawała jedynie Szkoła Podchorążych Piechoty pod dowództwem słynnego pułkownika Sztabu Generalnego, Paszkiewicza, który był na moście Poniatowskiego w czasie decydującej rozmowy i ze swą Podchorążówką zagrodził oba mosty.

W czasie naszych rozmów zjawił się nagle na sali senior rocznika, ppłk. A. Przeździecki, i zebrawszy nas, przemówił krótko :

— Pan marszałek Piłsudski wystąpił z częścią wojsk przeciw rządowi premiera Witosa. Z rozkazu gen. Malczewskiego, mianowanego właśnie ministrem spraw wojskowych na miejsce gen. Żeligowskiego, wzywam panów do bezwłocznego udania się ze mną do Belwederu, dla obrony osoby pana Prezydenta. Pewny jestem, że wszyscy panowie wykonają rozkaz legalnej władzy !

Po krótkiej ciszy wystąpił legionista, major Kędzior i oświadczył, że w chwili, kiedy rozstrzygają się losy Państwa, oficerowi nie wystarcza rozkaz i wezwanie do posłuszeństwa, bo każdy powinien ocenić sam, co mu robić wypada i działać tak, jak mu sumienie i przekonanie dyktuje.

Po chwili wszyscy opuszczali gmach ale część kolegów skręciła za bramę w kierunku przeciwnym do Belwederu a więc niewątpliwie na Pragę lub do domów.

W tym krótkim momencie padły więc dwa hasła : posłuszeństwa wobec przysięgi i apel do lojalności wobec Naczelnego Wodza. W krótkim momencie trzeba było powziąć decyzję.

Przyznałem koledze Kędziorowi rację, że w takich momentach przesileniowych sam regulamin nie wystarcza. W czasie ostatniej wojny oddziały polskie wypowiadały posłuszeństwo Radzie Regencyjnej, czasami przechodziły z jednej strony na drugą i znajdowały uznanie Kraju. Teraz też każdy przeżywał konflikt duchowy ; decyzja była ciężka, gdyż obie strony prowadzone były przez niezawodnych patriotów, którzy niewątpliwie kierowali się w swym postępowaniu względami dobra Państwa ; decyzja była tym trudniejsza, że mało który z nas wtajemniczony był w grę polityczną obu obozów : trzeba się było kierować raczej intuicją niż rozumem, a moja intuicja mówiła mi tylko tyle : niewątpliwie miarszałek Piłsudski miał ważne powody aby w ciężkim położeniu młodego Państwa zdecydować się na tak ryzykowny krok ; niestety, przygotowując ten krok, Marszałek nie uznawał za potrzebne odwołać się do swych podkomendnych i wyjaśnić im motywy swego postępowania, uważając, że wojsko pójdzie za nim bez wahania. Brak pewnych osób na komersie i poprzednie knowania pewnej grupy oficerów wskazywały jednak niezbicie, że niektórzy ludzie byli wtajemniczani i dopuszczani do przygotowań ; ludzie nie cieszący się zaufaniem, mogli więc nie być dopuszczeni na Pragę przez organizatorów

,,puczu''. Trudno się było wpraszać w takim momencie a p niewaź pozostawanie ,,neutralnie'' w domu oznaczałoby br charakteru, nie pozostawało nic innego jak udać się do Belw deru, chociaż wobec stosunku sił należało spodziewać się ry łego zajęcia tego punktu. Rozum nakazywał więc raczej in kierunek...

Niewątpliwie, decyzja ta nie była oparta na polityczny czy innych głębszych podstawach, wynikała raczej z odruch wych refleksów, ale na żadne rozumowanie nie było cza Dopiero później, po przyjściu do Belwederu i wymianie pog dów, przyszliśmy do przekonania, że krok nasz w każdym ra był zgodny z zasadami lojalności żołnierskiej wobec Prezydent uzasadniony sytuacją w jakiej się Państwo militarnie znajdowa Nikt z nas nie był zachwycony awanturami niedojrzałego polity nie Sejmu i ciągłymi zmianami rządów ale wystąpienie marszał Piłsudskiego nie było spowodowane jakimiś represjami wol niego czy groźbą zamachu stanu a było spiskiem pewnej gru wojskowej, nie opartym na masach ludowych, czy żołnierski Z różnych poprzednich wystąpień marszałka i obozu legio wego można było się domyślać, że chodzi o skończenie z an chią sejmową ale nie wiadomo było o jaki system rządów sp kowcy walczą. W każdym razie, wobec takich sąsiadów j Rosja bolszewicka i Niemcy i naszych stosunków wewnętrzny wszelkie nieobliczone wystąpienia mogły doprowadzić do int wencji obcej lub anarchii. To przekonanie, które niewątpliwie p dzielane było przez stronę przeciwną, wzbudzało w nas st optymizm, że cała awantura długo trwać nie może.

Belweder tonął w zieleni parku, błyszczał światłami wszy kich okien, szumiał głosami setek oficerów, tłoczących się na dz dzińcu i po wszystkich zakamarkach, w bezradnym oczekiw niu na dalsze wypadki. Wszyscy ubrani byli po garnizonowem bo wszyscy byli zdania, że lada chwila obie strony dojdą u g do jakiegoś porozumienia i nie zechcą narażać Państwa wielki wstrząs.

Członkowie rządu prezesa Witosa dopiero się schodzili i raz udawali się na górę, gdzie przebywał Prezydent Wojc chowski; przybył już minister Zdziechowski, Dzierżykr Morawski, Smolski, St. Grabski, gen. Malczewski i kil posłów sejmowych.

W pokoju adiutanckim zebrało się trochę starszyzny w skowej: gen. Rozwadowski, St. Haller, Zagórski, Kukiel, J winski, Pajewski, pułkownicy Szt. Gen.: Anders, Kleeberg, Paszkiewicz, Arciszewski i inni.

Szef gabinetu cywilnego Lenc, wojskowego płk. Gołogórs kapelan ks. Tokarzewski, i adiutanci robili honory domu, wiedząc jednakże co robić o tej porze z takim zbiegowiskiem

Około północy skończyła się narada rządowa i zaczęła w skowa starszyzny. Nie trwała ona długo: płk. Kleeberg zeb

oficerów Sztabu Generalnego i nas, słuchaczy W.S.W. i oznajmił, że władza nad Państwem przechodzi do wojska w zakresie bezpieczeństwa, Rząd ogranicza się do spraw administracji. Gen. Rozwadowski mianowany został naczelnym wodzem wojsk rządowych, płk. W. Anders szefem sztabu Naczelnego Dowództwa, płk. Kleeberg kwatermistrzem generalnym, gen. Dzierzanowski dowódcą korpusu warszawskiego (in partibus infidelium poniekąd). Płk. Kleeberg przystąpił do tworzenia sztabu a minister Malczewski ze swym sztabem ministerialnym wydał rozkazy dla ściągnięcia posiłków z głębi kraju.

Zaczęto tworzyć też coś w rodzaju odcinka obrony Belwederu spomiędzy oficerów, uzbrojonych na prędce w jakieś karabiny, wydobyte z kompanii zamkowej. Mnie i dwom innym majorom przypadła ,,odpowiedzialna'' funkcja posterunku podsłuchowego na strychu, gdzie ongiś zapewne krył się książę Konstanty przed podchorążymi; gęsty kurz pochodził zapewne z tych samych czasów. Na sucho i na głodno spędziliśmy noc na słuchaniu odgłosów walki, pogwarkach i oczekiwaniu.

Sytuacja terenowa przedstawiała się w ciągu nocy następująco: wojska marszałkowskie doszły do Placu Saskiego i zajęły gmach Sztabu Głównego, opanowały Dworzec Główny i Aleje Jerozolimskie. Po stronie Rządu Szkoła Podchorążych Inżynierii i oddział sztabowy W.S.W. bronił Filtrów i lotniska, Szkoła Podchorążych Piechoty — Placu Trzech Krzyży i ulicy Koszykowej, szwadron przyboczny i ,,nieregularne'' oddziały oficerskie — Belwederu.

Po stronie marszałka wystąpiła na razie 2. Dyw. Kaw., pułki warszawskie piechoty: 21 i 36, poza tym 22, 13 pp. i Baon Manewrowy z Rembertowa. Twierdza modlińska siedziała cicho.

Sytuacja strony rządowej w czasie nocy była krytyczna ale zarządzenia wojskowe wskazywały, że Prezydent nie zamierza się poddać i że wojna zaczyna się rozszerzać na prowincję; w ciągu nocy zaczęły przybywać do Warszawy zaalarmowane jednostki z najbliższej okolicy: 10 pp. ze Skierniewic, 71 pp. z Ostrowi; 30 pp. pozostał podobno wierny Rządowi w Cytadeli.

Na razie więc walczyły tylko oddziały korpusu warszawskiego a front ograniczał się do stolicy państwa. Gdyby strona przeciwna chciała zakończyć walkę, wystarczyło wysłać jeden batalion przez Łazienki na Belweder i zabrać Prezydenta, Rząd i Naczelne Dowództwo do niewoli...

Dzień robił się znowu piękny i promienny jak wczoraj.

Od samego rana rozpoczęła się strzelanina w sąsiedztwie Belwederu, to jest w rejonie koszar szwoleżerów i Ministerstwa Spraw Wojskowych, dokąd w ciągu nocy dotarł jakiś marszałkowski oddział od strony uliczy Kruczej. Nas, ,,obserwatorów'' ściągnięto z posterunku i wraz z kilkunastu innymi oficerami wysłano pod komendą płk. Kleeberga na Rozdroże, celem obję-

cia urzędowania w Ministerstwie. Na czym to ,,urzędowanie" p
obstrzałem miało polegać nikt nie wiedział; zresztą urzędow
tam już podobno gen. Składkowski ale z karabinem w ręk
misja była niebezpieczna i niepewna ale szliśmy z entuzjazme
pomnąc, że po drodze leży Kasyno Garnizonowe, z naszą n
tkniętą wczoraj kolacją.

Niestety okazało się, że nie tylko wstęp do gmachu min
terialnego ale i do kasyna jest zablokowany, wychodząc bowie
z Alei Szucha, powitani zostaliśmy gęstym ogniem z oki
gabinetu ministra, musieliśmy więc przebiec szybko zagrożo
odcinek, tylko płk. Kleeberg nie przyspieszył kroku i nie zmie
swego kamiennego wyrazu twarzy. W ogrodzie kasynowy
leżało trochę podchorążych, którzy mieli rozkaz zdobycia gmac
ale utknęli, wobec tego, że nie było doń żadnego podejścia b
silnego ostrzału; trzeba by użyć do pomocy artylerii ale tej
pierwsze nie było, a po wtóre, w rozbitym budynku ,,urzęd
wanie" byłoby jeszcze bardziej utrudnione.

Pozostawiając problemy taktyczne na razie na uboczu, p
stanowiliśmy natychmiast przystąpić do działań drogą nis
czenia naszych wczorajszych zapasów; po wejściu do sali jad
nej okazało się jednak,że już jakaś grupa oficerów uprzedziła na
ponieważ żadna ze stron walczących nie nosiła jakichś odzn
specjalnych, dopiero podczas wspólnego posilania się wyszło
jaw, że nasza ,,konkurencja" składa się z obrońców Ministe
stwa, przy czym kilku z nich należało do naszego roczni
W.S.W. Zgodnie z regulaminem i zasadami wojennymi nal
żało przystąpić do natychmiastowego i wzajemnego zabieran
się do niewoli ale głód był silniejszy i w drodze cichego poroz
mienia postanowiliśmy działania bojowe odroczyć aż do zako
czenia śniadania i zapłacenia rachunku, który służba kasynow
neutralnie egzekwowała od obu stron walczących. Po śniadan
rycerstwo było jednak tak usposobione sennie i pokojowo,
kiedy ,,marszałkowcy" zaczęli się kolejno wynosić, uważaliśm
że fakt utrzymania kasyna w naszym ręku był wystarczający
wkładem do zwycięstwa, a ponieważ nikt z nas nie miał praw
broni, incydent skończył się bezkrwawo. Przeciwnicy zdąży
nam zresztą powiedzieć, że do obiadu wszystko zapewne skońc
się pokojowo.

W międzyczasie płk. Kleeberg połączył się telefoniczn
z Belwederem, skąd po zaznajomieniu się z sytuacją, kazar
nam wracać natychmiast, rezygnując z załatwiania papieró
ministerialnych.

Po przybyciu do Belwederu nie zastaliśmy żadnych zmian
Oficerowie wałęsali się bezczynnie, w oczekiwaniu czegoś now
go, nie koniecznie dobrego. W górnych apartamentach radz
Rząd, może więc coś uradzi. Nudząc się w atmosferze biernoś
i oczekiwania, postanowiłem udać się na Plac Unii, skąd doch
dziły odgłosy walki o lotnisko i gdzie mieszkał mój przyjacie
Tu, w przeciwieństwie do sztabu, kipiało życie frontowe, zmi
szane z normalnym życiem pracującego w zwykły dzień (b

czwartek) miasta. Kolejka wilanowska funkcjonowała bez przeszkód, wyrzucając od czasu do czasu gromady pasażerów, którzy rozpraszali się po bocznych ulicach w drodze do swych zajęć, gdyż od strony Dworca Głównego przeciwnik prażył ogniem ckm'ów. Publika rozpraszała się w czasie strzelania, jak w czasie deszczu ale bez większego wrażenia. Tymczasem od strony pola wyścigowego zaczęło się jakieś mocniejsze natarcie, kupiłem więc na zapas papierosów (sklepy były otwarte) i nie chcąc być odciętym, pospieszyłem z powrotem, przynosząc najnowszy meldunek sytuacyjny z tego odcinka.

Załoga ,,Okopów Św. Trójcy'' pochłonięta była całkowicie czytaniem porannych dzienników, które bez względu na front i orientacje polityczne docierały bez przeszkód do Belwederu. Walki skupiały się na kilku wąskich osiach, pomiędzy którymi komunikacja międzyfrontowa odbywała się bez przeszkód. Służące i gospodynie z obu stron frontu zaopatrywały się bez wielkich trudności w halach targowych na Koszykowej, wymieniając równocześnie wiadomości bojowe. Jakiś żołnierz marszałkowski, wysłany z meldunkiem zgubił się i przyniósł meldunek do dowódcy rządowego oddziału; meldunek został pokwitowany a żołnierz odesłany z powrotem do swego oddziału z rozkazem do jego dowódcy zjawienia się ze swym plutonem na punkt, leżący po tej stronie frontu; dowódca połapał się jednak prawdopodobnie, gdyż nikt się nie zjawił.

Wiadomości, uzyskane z gazet były zapewne jedynym źródłem informacyjnym dla rządu, odciętego od większości kraju i swych środków łączności. Wynikało z nich, że kraj był zaskoczony wypadkami i większość prasy nawoływała do zakończenia bratobójczych walk, wskazując na niebezpieczeństwo ze strony sąsiadów, względnie elementów wrogich państwu. Organy socjalistyczne domagały się objęcia władzy przez marszałka Piłsudskiego, inne pokonania zbuntowanych wojsk a w razie niemożliwości, wejścia na drogę porozumienia. Jak dotąd, nigdzie nie doszło do wystąpień ludności, bunt był całkowicie operacją wojskową.

Moment szybkiego zakończenia operacji już minął; do rana można było zająć Belweder, bezbronny niemal ale obecnie sytuacja wojsk rządowych poprawiła się. Około południa zaczęły się wyładowywać na stacji Warszawa Zachodnia oddziały poznańskiej dywizji (57 i 58 pp.) i z orkiestrą i sztandarami przedefilowały przed Prezydentem. Widok doskonałego wojska napawał otuchą ale serce się ściskało, że te oto Jasie i Wojtki strzelać będą za chwilę do takich samych Jasiów i Wojtków, a przybywało ich coraz więcej po obu stronach frontu.

Wobec rozszerzenia się frontu, który obecnie przebiegał od Wisły pod Czerniakowem, poprzez Plac Trzech Krzyży, Plac Zbawiciela, W.S.W. i Dworzec Towarowy, podzielono go na trzy odcinki: prawym dowodził gen. Kukiel, środkowym gen. Kędzierski (dowódca poznańskich oddziałów), lewym płk. Pasz-

kiewicz. Gen. Żymierski miał tworzyć w Ożarowie odwc z oddziałów, przybywających z prowincji, od zachodu.

Cytadela została stracona dzięki temu, że do koszar 30 p wiernego rządowi, zajechał samochodem gen. Burhard-Buka i zebrawszy oficerów, oświadczył im brawurowo, że w imie Marszałka aresztuje dowódcę pułku, Modelskiego i wyzna nowego dowódcę z jego ramienia. Zaskoczenie było zupeł oficerowie nie widząc żadnej reakcji ze strony pułkownika, kt stracił głowę, przyjęli milcząco rozkaz, nie ruszając się z miejs Typowy przykład psychicznego działania energicznego rozk na mentalność żołnierską.

W związku z oczekiwaniem na przybycie nowych woj sztab naczelnego wodza został również rozszerzony, ale zabrał w nim przedstawicieli służb, z których nikt prawie nie zjawił s Błędem zasadniczym było pozostawanie Prezydenta, rządu i wództwa w Belwederze, kilkaset metrów od linii frontu, kt w każdej chwili mógł być przerwany. Sfery najwyższe uzn jednak, że opuszczenie flagi na dachu belwederskim oznac łoby przyznanie się do klęski a przecież lada chwila wojs rządowe miały odbić Warszawę. Na razie żadnych prawie w nie było gdyż obie strony oczekiwały na nowe posiłki.

Jak się przedstawiała sprawa tych posiłków?

Rozkaz ministra Malczewskiego, skierowany do dowódc korpusów o wysłanie maksimum sił do Warszawy, spowodow na razie wysłanie tylko jednej dywizji z korpusu poznańskieg którego dowódca, generał Sosnkowski, zaufany człowiek M szałka, został postrzelony, czy usiłował popełnić zamach sam bójczy, nie mogąc pogodzić lojalności wobec Komendanta z jalnością wobec legalnego rozkazu. Liczono z pewnością przybycie pułków Okręgu Wojskowego Kraków — gdzie re dował oddany rządowi inspektor armii, gen. hr. Szeptycki. D wódca Okręgu Lwów, gen. Sikorski, meldował, że ze wzglę na niepewne nastroje ukraińskie nie może obnażać pogranic z wojsk. Z Okręgu Lublin (gen. Romer) i Brześć (gen. Ryba wiadomości żadnych nie było, otrzymano natomiast niespra dzone wówczas wieści o aresztowaniu dowódcy Okręgu Tor przez oddanego marszałkowi gen. Tommé i o buncie gen. M łachowskiego, dowódcy Okręgu Łódź. Okręg Wilno uważa zgodnie za stracony na korzyść marszałka. O Okręgu Przemy jakby zapomniano. Mimo, że otrzymane informacje nie pozw lały liczyć na wielkie siły, uważano, że większość wojska jest stronie rządu. Strona przeciwna sądziła zapewne inaczej.

Niewykorzystaną prawie siłą było lotnictwo. Gen. Zag ski zapewniał wprawdzie, że nakazał bombardowanie kilku ko centracji „nieprzyjacielskich”, ale bomby nie bardzo chciały w buchać albo nie było ich słuchać na mieście. Mimo tego to n szkodliwe bombardowanie stało się obiektem silnych napa prasowych na rząd, chociaż strona przeciwna bez skrupuł ostrzeliwała Belweder artylerią.

Ostrzeliwanie Belwederu spowodowało, że całe „bezrob

ne'' rycerstwo zaczęło się gwałtownie tłoczyć po wszystkich salach budynku i aby pozbyć się nieproszonych gości, gen. Prich otrzymał rozkaz utworzenia z oficerów czegoś w rodzaju Legii Oficerskiej i wyprowadzenia tego oddziału z Belwederu na lotnisko, które broniło się szczupłymi siłami. Jedną z nielicznych ofiar ostrzału artyleryjskiego był płk. Anders, który został kontuzjowany w nogę, ale tym niemniej nie przerwał wydawania rozkazów.

Był najwyższy czas pozbycia się zbędnej ludności pałacu, gdyż nie tylko miejsca ale i jedzenia zaczęło już brakować. Spiżarnia prezydencka stała gościnnie otworem dla wszystkich (piwnica była przezornie zamknięta) ale obecnie trzeba ją było uzupełniać połciami słoniny i workami mąki, skredytowanymi przez administrację pałacu wilanowskiego. Będąc przydzielonym do IV Oddziału Sztabu miałem możność pomocy w organizowaniu zaopatrzenia oddziałów rządowych. Była to oczywiście kompletna improwizacja.

Oddziały miejscowe korzystały z zapasów mob. pułku szwoleżerów i lotników, oddziały poznańskie przybyły z własnymi zapasami żywności. Zaopatrzenie w amunicję odbywało się z Fortu Legionów i Fortu Dąbrowskiego na Mokotowie ale oba forty były pod obstrzałem przeciwnika.

Rannych opatrywały patrole sanitarne i dobrowolne harcerskie i ewakuowały do Szpitala Ujazdowskiego i Dzieciątka Jezus, bez względu na przynależność frontową, gdyż oba szpitale znalazły się na linii bojowej i były poniekąd punktami styku obu przeciwników. Nie działo się tam najlepiej tym biednym rannym, gdyż duża część obsług szpitalnych nie mogła dotrzeć do pracy; najgorzej wyszły na tym położnice, które ze zdenerwowania bitewnego zaczęły masowo rodzić bez wielkiej pomocy fachowej. Kiedy pod wieczór na terenie szpitala wojskowego zaczęły się walki, część chorych pokazała się w chałatach w Parku Belwederskim, robiąc wrażenie masowych strat bojowych.

Wieczorem zaczęło się pokazywać w Belwederze wiele osób cywilnych; żadnej kontroli personalnej nie było, każdy przychodził więc, kto tylko chciał; przybyło mnóstwo reporterów, żądnych informacji, dużo posłów i senatorów prorządowych na narady, trochę akademików z prośbą o utworzenie z nich oddziału ochotniczego, przybył też (nie wiadomo dlaczego tutaj a nie na drugą stronę frontu) kompromitujący nas poniekąd politycznie oddział ,,faszystów'', o którym nikt nie słyszał ani przedtem ani potem, ale który od razu został posłany do obrony Parku Belwederskiego.

Ku naszemu zdumieniu pojawiło się też kilku naszych kolegów, którzy z wczorajszego komersu udali się wprost na Pragę. Z początku sądziliśmy, że ,,nawrócili się'' ale po ,,wojnie'' powiedzieli nam, że po prostu wysłano ich z zadaniem zebrania wiadomości.

Największą sensację zrobiło jednak pojawienie się gen. Żeligowskiego, dotychczasowego ministra spraw wojskowych,

o którego przyjęcie przez Prezydenta prosił telefonicznie sz
marszałka Piłsudskiego. Wszyscy byli przekonani, że przyjeż
z „białą flagą" kapitulacyjną przyjęty więc był z wszelkimi
norami: wartownicy prezentowali broń, oficer służbowy z
kowy meldował się posłusznie, oficerowie salutowali z przejęc
a gen. Rozwadowski witał go rozpromieniony i zaprowadził
swego gabinetu. Na froncie była cisza. Niestety niebawem
stąpiło rozczarowanie; owszem generał przywoził propozy
kapitulacyjną ale dla wojsk rządowych a nie buntowników. P
pozycja została oczywiście odrzucona, wszyscy salutowali od
dżającego generał-parlamentariusza, ale gen. Rozwadow
nie był już rozpromieniony. Ponieważ zaraz po wyjeźd
generała Żeligowskiego znikła większość gości, między inny
i nasi koledzy, należało przypuszczać, że przybycie ich w t
samym czasie co generała, miało na celu dostarczenie person
kierowniczego, na wypadek poddania się rządu.

Po wyjeździe gen. Żeligowskiego stało się jasne, że bra
bójcza walka rozgorzeje teraz na dobre; nikt nie zamierzał
godzić i poddawać; min. S. Grabski wyjechał do Poznania
uzyskania poparcia dla Prezydenta. Humory opadły; nikt
był przygotowany na taki obrót wypadków. Prezydent wyc
wał widocznie nastroje; wyszedłszy na dziedziniec, rozmaw
z oficerami i żołnierzami, tłumaczył im, że to nie z jego w
czy rządu muszą strzelać do swych kolegów, którzy po drug
stronie robią to samo ale na skutek nielegalnych rozkazów.

Była już noc, kiedy wysłany zostałem do gmachu wojewó
kiego, dla uzyskania połączenia telefonicznego z odcinkiem p
Paszkiewicza, gdyż z Belwederu nie można się było z nim
łączyć. Odcinek bronił się ale mógł być w każdej chwili ok
żony lub napadnięty.

Skorzystałem ze sposobności, aby się dowiedzieć, co s
chać w moim mieszkaniu przy ulicy Wiejskiej. Sytuacja tam b
niepokojąca, gdyż mieszkanie wychodziło oknami na ogr
Frascati, który był punktem wypadowym na Szpital Ujazdo
ski. Ponieważ rozmawialiśmy z żoną poprzez linię frontu,
wiedziałem się więc, że po tamtej stronie życie pulsuje na o
normalnie, tylko trzeba uważać podczas strzelania i chodzić
leko po wodę, bo czasem zamykają wodociągi. Pocieszyws
rodzinę, że jutro zapewne będę już w domu, udałem się z pow
tem cichymi Alejami Ujazdowskimi do Belwederu.

Koledzy układali się właśnie do snu, w ślicznym saloni
księżny Łowickiej, robiąc sobie ze wspaniałego dywanu sm
neńskiego posłanie a poduszki z gobelinami obitych foteli, ub
pieczając je na szczęście chusteczkami do nosa. Komentowa
żywo ostatnie wiadomości dziennikarskie, które na czołowy
miejscach podawały informacje o zamierzonym strajku koleja
celem przeciwdziałania przewożeniu wojsk rządowych. Akcja
równała się przystąpieniu sfer robotniczych do obozu marsza
Piłsudskiego przeciw centro-prawicowemu rządowi a jeśli cho
o jej znaczenie wojskowe, to właściwie przesądzała o likwida

oporu wojsk rządowych, walczących w Warszawie, gdyż na żadne posiłki liczyć już nie było można. Dzień jutrzejszy powinien być właściwie dniem pertraktacji o kapitulację czy ustąpienie rządu.

Po uzgodnieniu powyższych poglądów, chrapania zaczęły się rozlegać ze wszystkich kątów, tylko Modest palił długo, zajęty snadź innymi myślami, bo zasypiając, jęczał: ,,nie masz kobiet w naszej chacie''.

Słońce spoglądało już z wysoka, kiedy Belweder, odległy o kilkaset metrów od linii frontu, spał jeszcze mocno. Spał Prezydent, spał rząd, spał sztab, spała służba, nawet dwaj gwardziści, stojący jak dwa posągi przy wejściu do apartamentów prezydenckich, robili wrażenie uśpionych figur; na szczęście spał, zdaje się, i nieprzyjaciel, gdyż noc przeszła spokojnie.

Koło godziny 8-ej zawrzała walka na nowo. Rozeszły się radosne słuchy, że pomimo strajku kolejowego, dwie dywizje poznańskie przybyły na Warszawę Zachodnią ale to był ,,latrynogram''. U przeciwnika natomiast zidentyfikowane zostały 1 Leg. DP, 28 DP, 9 DP, 2 D.K. a dwie dywizje legionowe były już podobno w drodze. Przewaga była więc zupełna, gdyż po stronie rządu ciągle walczyły tylko te same 3 pułki piechoty, Szkoła Podchorążych i drobne oddziały, toteż skutki przewagi przeciwnika nie dały już na siebie długo czekać.

Około południa nastąpiło główne natarcie grupy gen. Bończy-Uzdowskiego na Szkołę Podchorążych Inż. i W.S.W. Oba te punkty zostały zdobyte, przy czym z naszych kolegów zginął tam major Świerczewski, mjr. Mięsowicz i rtm. Giżycki a mieszkający w szkole dyrektor nauk W.S.W. francuski pułkownik Faury i jego rodzina przesunęli się pod ochroną francuskiej flagi do piwnic.

Po południu nastąpił kryzys; w ślad za szkołami zdobyte zostało lotnisko mokotowskie a dowódca lotnictwa, gen. Zagórski, dowódca odcinka lewego płk. Paszkiewicz i chmary oficerów, którzy odeszli wczoraj do obrony tych punktów, pojawiły się z powrotem w Belwederze. W centrum został zajęty Plac Unii Lubelskiej i widoczna z Belwederu restauracja ,,Bagatela'' (została się nam tylko ,,Sielanka'' — zauważył ktoś smutnie) i Ujazdowski Szpital Wojskowy, tak, że front przechodził już wzdłuż odległej od Belwederu o kilkaset metrów ulicy Agricola a na prawym skrzydle alarmowano, że baon 71 pp. (drugi baon walczył po stronie rządowej, tak, że omal się ze sobą nie spotkały) przeprawia się przez Wisłę pod Czerniakowem.

Około godziny 2-ej nastąpiła właściwie agonia obrony. Od strony lotniska oddziały gen. Bończy dochodziły do skarpy mokotowskiej, skąd mogły mieć wgląd w całą dolinę Czerniakowa i Wilanowa. Oddziały, przekraczające Wisłę odcinały jedyną drogę odwrotu na Wilanów .

Zdaję się, że tak szybkiego zwrotu sytuacji na gorsze nikt

z najwyższych sfer nie przewidywał, gdyż można było wyc
nagłe zamieszanie aby nie powiedzieć panikę; jedna
cyzja, goniła drugą. A więc około 2.30 otrzymaliśmy roz
pakowania map i dokumentów sztabowych. Ta regulaminowa
nieżyciowa czynność nie zabrała nam wiele czasu, gdyż
kancelaria sztabowa dała się pomieścić w jednej kiesz
większe wrażenie w związku z decyzją wymarszu zrobiła na
sprawa obuwia, gdyż większość niefortunnych „komersant
paradowała w lakierkach, które wraz z nieuchronnymi odci
mi mało nadawały się dla celów wojennych.

Ponieważ w budynku robiło się coraz duszniej, wyszed
na taras pałacowy aby jeszcze zaczerpnąć powietrza ale k
po chwili wróciłem, zastałem kompletnie zmienioną sytu
w związku z nowym rozkazem bronienia siedziby Prezydenta
ostatniego oporu i właśnie natrafiłem w hallu na patetyc
moment, nadający się tylko do obrazów historycznych lub
mów:

Na schodach stał pan Prezydent, przejęty ale spokojny i
stojny, w otoczeniu ministrów i adiutantów; na dole, grupa
nerałów i oficerów otaczała ministra gen. Malczewskiego, k
ze łzami w oczach i sztandarem prezydenckim w ręku, prze
wiał do Prezydenta, przysięgając ze wzruszeniem, że będzi
bronili majestatu Rzeczypospolitej i legalnej władzy do os
niego tchu i naboju.

Z przejęciem i entuzjazmem wzniesiono następnie k
okrzyków na cześć włodarza państwa, a potem odśpiewano
szywie, i nie wiadomo dlaczego, „Rotę" Konopnickiej.
obraziłem sobie przez chwilę ze strachem, że w międzycz
Niemcy wypowiedzieli nam wojnę. Wyśmiewano potem tę s
ale była ona odbiciem napięcia nerwowego i wyrazem najleps
uczuć żołnierskich.

Następnie wydano nam karabiny i kazano zająć stanow
przy oknach. Spoglądaliśmy na siebie ironicznie, gdyż wy
dało to wszystko niepoważnie i beznadziejnie ale nikt nic
mówił aby jak najdłużej zachować złudzenie pewności si
Złudzenie to zostało raptownie przerwane przez gen. Malc
skiego, który z nieprzytomnym wzrokiem zjawił się w nas
pokoju i zapytał mnie, siedzącego na fotelu przy oknie, cz
nie strzelam. „Nie ma do kogo, panie generale!" „Tak
nie ma do kogo — nie strzelać!" — krzyknął i wyleciał z
koju. Teraz już wiedzieliśmy, że chodzi raczej o jakiś efekt
gest ginącego reżymu ale nie o przemyślaną akcję, którą
można było pokierować z odległości strzału karabinoweg
przeciwnika. Byliśmy więc przekonani, że kapitulacja zo
postanowiona ale odkłada się ją jeszcze do ostatniego
mentu.

Tymczasem, po krótkiej chwili, nastąpiła następna zm
decyzji. W drzwiach ukazał się Prezydent z pułkownikiem
Andersem. Z urywków rozmowy między nimi zorientował
się, że Prezydent nakazywał kapitulację, aby uniknąć dals

przelewu krwi, natomiast płk. Anders nalegał na przebicie się na Wilanów i odejście na zachód.

— Za późno! — powiedział Prezydent.

— Lepiej przebijać się za późno, niż poddawać zawcześnie buntownikom!

— No... więc... niech będzie, spróbujmy — zgodził się Prezydent.

Tak więc po kilku wahaniach, zapadła nareszcie decyzja, bardzo mocno spóźniona i prawie niewykonalna, wyjścia z Warszawy.

Strzelanina trwała nadal i pociski padały na Belweder, kiedy organizował się orszak dla ochrony głowy państwa i zaczął się pochód, przypominający ni to procesję kościelną, ni to pogrzeb: na czele kroczył komendant miasta, gen. Suszyński, za nim żołnierz ze sztandarem Prezydenta, następnie Prezydent, w palcie, cyklistówce i z olbrzymią pałą w ręku, flankowany przez dwóch gwardzistów z wyciągniętymi szablami i robiący z tego powodu wrażenie skazańca, idącego na stracenie; za Prezydentem panowie z cywilnego i wojskowego gabinetu, członkowie rządu z premierem Witosem i niebotycznym ministrem Dzierżykraj-Morawskim, sztab naczelnego wodza, wreszcie na końcu nieprzydzieleni oficerowie i wierny oddział „faszystów" (na ogół w białych koszulach).

Spuszczając się krętymi drogami Parku Łazienkowskiego, dotarliśmy do Pomarańczarni, gdzie wywiązała się bezładna strzelanina, ponieważ dołączający do nas jako straż przednia szwadron przyboczny Prezydenta (z powodu tych samych otoków) wzięto za 1 pułk szwoleżerów. Na szczęście nasz oddział oficerski strzelał tak podle (może celowo?) że żadnych strat nie było po stronie gwardzistów, natomiast byli ranni wśród orszaku prezydenckiego, dosięgnięci przypadkowo za wysokimi i nie do nas skierowanymi snopami ognia ckm'ów. Niebawem wyszliśmy przez jakąś dziurę w parkanie na ulice Czerniakowa; nie nadawały się one na tło do dramatów historycznych. Mieszkańcy brudnych, walących się drewniaków wylegli na ulicę i ze zgrozą lub odwrotnie, z uciechą, patrzyli na ponure widowisko, wypowiadając uwagi nie świadczące o sympatiach do rządu, któremu przewodniczył zwycięski chłop-premier z czasów wojny. Prezydent zachował się z godnością; kiedy zajechała jakaś bryczka, dla niego przeznaczona, nie wsiadł lecz kazał w niej umieścić rannych.

Po wyjściu z zabudowań na równinę, można było jednym rzutem oka objąć całą rządową „siłę zbrojną", spływającą ku szosie kilkoma pokojowymi batalionami i formującą jedną kolumnę, ubezpieczoną strażą tylnią, dowodzoną przez gen. Kukiela.

Oderwanie się od nieprzyjaciela, który dał nam ujść z worka i groteskowość całej tej „wojny" spowodowały zmianę na-

strojów, która uwidoczniła się w chwili, kiedy jakiś patrol pułku ułanów, wypłoszony spomiędzy chałup, zaczął galopow ku miastu wzdłuż kolumny. Poniektórzy strzelcy o myśliwsk nastawieniu poderwali się, słusznie, aby strzelać do biedny ułanów ale inni żołnierze nie pozwolili im celować; oficero widzący ten incydent, nie uważali widocznie za stosowne int weniować, można więc było wnioskować, że aprobowali upadek nastrojów bojowych. Prawdę mówiąc, tak było, g w gorączce walki strzelano do siebie ale teraz po ochłodnię zgroza tej bratobójczej walki i beznadziejność sytuacji spo dowała pewne refleksje, którym sam Prezydent dał wyraz jesz w Belwederze.

Wśród takich nastrojów i w milczeniu, które w wojsku wróży nic dobrego, gdyż dobrze jest wtedy, kiedy żołnierz śp wa lub klnie ale robi swoje — kolumna zaczęła dochodzić wieczór do Wilanowa. Prezydent i generalicja udała się do łacu, a wojsko odpoczywało w rowach. Byliśmy przekonani, niedługo zaczną się jakieś rokowania ,,pokojowe'', gdyż amun zaczęło już brakować, bitwa została przegrana i aby wygrać no trzeba by zarządzić mobilizację, skoncentrować siły i zasoby i cząć regularną wojnę; nie mogliśmy uwierzyć aby wobec wrotu, przewagi ,,przeciwnika'', strajku kolejowego, nastroj ludności i groźby strajku generalnego, rząd chciał się da trzymać u władzy a Prezydent go nadal popierać, aczkolw zachodziła obawa, że — jeśli nastroje większości prasy opier się na prawdzie — rewolucyjny rząd, opierać się będzie skrajnej lewicy.

Tymczasem około godziny 9-ej, ,,wśród nocnej ciszy'', r legł się spokojny głos płk. Kleeberga, nakazujący kolum dalszy marsz na Jeziornę. Piorun z jasnego nieba nie zrobi większego wrażenia ale ponieważ rozkaz był wyraźny a tra mokra, przeto zmęczone, głodne, przybite wojsko poczłap karnie dalej... niedaleko. Po pół godzinie nadjechał oficer z r kazem, że kolumna ma się zatrzymać a sztab udać się do pała wilanowskiego. Właściciele lakierków oświadczyli, że już w tu poczekać na nowy rozkaz dalszego marszu, kolumna chrapała natychmiast a nasza gromadka sztabowa z rezygna i chwiejnymi krokami udała się do Wilanowa, potykając o śpiących wojaków.

Po przyjściu do pałacu skierowano nas do sali jadalnej, znacznie poprawiło nasze humory; niestety nie oczekiwała tam żadna kolacja. W olbrzymiej sali zebrało się kilkudziesię oficerów, ogromne pająki oświecały całe towarzystwo, adiuta przestrzegali dworskich manier, każąc zdejmować płaszcze i pinać guziki; dwóch nieodzownych gwardzistów stało u wejś do innej sali, gdzie ponoć odbywała się narada u Prezyden żadna decyzja jeszcze nie zapadła więc zgłodniałe rycerstwo zeszło się w poszukiwaniu jedzenia i po skromnych zakąsk legło gdzie się dało po podłogach, aby trochę podrzemać.

Około północy przyniósł nam ktoś do naszego pokoju w

cynie dawno spodziewaną wiadomość o złożeniu władzy Prezydenta w ręce marszałka Sejmu, Rataja; rząd oczywiście też ustąpił. Wojna się więc skończyła, rewolucja zwyciężyła ale zmęczenie nasze było tak silne, że bez komentarzy i wrażenia zachrapaliśmy wkrótce na nowo.

Z obolałymi kościami i głodem powitaliśmy nowy piękny poranek. Było chłodno, bo przecież był to 15. maj, ,,zimna Zośka''. Brudni i nieogoleni, snuliśmy się po parku w oczekiwaniu na pozwolenie wyjazdu do domów. Ale rozkazy poszły w innym kierunku : pogotowie bojowe jeszcze trwało i na razie mieliśmy nadal pozostać w Wilanowie. Gen. Rozwadowski wysłał do Warszawy płk. Kutrzebę na pertraktacje. Jeden oficer z otoczenia pułkownika powrócił niebawem z meldunkiem, i wyjaśnił nam, że właściwie nie toczą się żadne pertraktacje a po prostu chodzi o wykonanie rozkazów marszałka Piłsudskiego, który automatycznie przejął komendę nad obiema stronami i określa właśnie sposób likwidacji walk, zaopatrzenia i transportów do właściwych garnizonów. Dwie dywizje rządowe, które jeszcze wczoraj przybyły z Poznania, zostały zatrzymane bezczynnie w Ożarowie przez gen. Żymierskiego, aczkolwiek użyte we właściwym czasie i miejscu, mogły zmienić radykalnie sytuację na korzyść rządu. Sztab gen. Rozwadowskiego miał pozostać nadal w rejonie pałacu jako internowany; Prezydent i członkowie gabinetu wyjechali do Warszawy jeszcze w nocy.

Około godziny 3-ej po południu cały sztab zebrał się w jednym z salonów, aby wysłuchać relacji płk. Kutrzeby, który wrócił ze stolicy. Pułkownik powiadomił wszystkich, że na mocy wzajemnego porozumienia starych i nowych władz, wojska rządowe skapitulowały i przeczytał warunki kapitulacji. Gen. Rozwadowski, blady i ponury, położył po pewnym wahaniu swój podpis i bez słowa wyszedł z generalicją do parku.

Na mocy aktu kapitulacyjnego wojska otrzymały rozkaz zdjęcia wszelkich ubezpieczeń i udania się na kwatery przejściowe, w oczekiwaniu na rozkazy do marszu powrotnego. Natychmiast potem oddziały ,,Strzelca'', walczące po stronie przeciwnej, rozpoczęły strzelaninę, mimo, że na dziedzińcu pałacu pojawili się parlamentariusze strony przeciwnej, dla kierowania ewakuacją wojska. Nie zdążyli jeszcze załatwić sprawy strzelaniny, kiedy poderwani zostaliśmy wybuchami pocisków artyleryjskich, padających wprost między nas. Por. Narzymski ze szwadronu przybocznego i kilku ułanów, zostało rannych odłamkami granatów. Wyglądało na to, że po kapitulacji zaczyna się ,,likwidacja'' bezbronnych. Parlamentariusze marszałkowscy nie mieszkając wsiedli do aut ale powrócili niebawem z wyjaśnieniem, że zaszły jakieś nieporozumienia w sygnalizacji rozkazów bojowych i że rozkazy o zaprzestaniu walk nadal obowiązują obie strony.

Po objęciu kierownictwa przez oficerów Marszałka nas piła likwidacja dowództwa rządowego : gen. Rozwadowski, M czewski, Kukiel, Zagórski i, z nieznanych powodów, major wadzki z Biura Historycznego, wywiezieni zostali do Warsza pod eskortą a pozostałych oficerów przeprowadzono do rest racji wilanowskiej i otoczono posterunkami. Pomysł siedze w restauracji w oczekiwaniu na dalsze wypadki nie był zły, stety, poza herbatą, niczego w niej nie można było dost Drzemiąc na stołkach, przesiedzieliśmy tam do rana.

Nazajutrz, 16 maja, kolejka wilanowska zaczęła funk nować normalnie, z czego można było wywnioskować, że n rząd potrafił zlikwidować stan wyjątkowy i strajk kolejo Uzyskawszy pozwolenie a nawet zachętę gen. Dzierzanowskie naszego seniora wśród ,,jeńców'', wyszedłem z ,,obozu'' stację, kupiłem zwyczajnie bilet i bez żadnych wzruszeń dotar do stolicy, w pustym przedziale.

Miasto wyglądało normalnie. Wprawdzie tu i ówdzie leż jeszcze trupy końskie ale ludzkich na szczęście już nie było; stroje publiczności wyrażały się przede wszystkim w patrze spode łba na mundury; dyscyplina wojskowa zwycięzców docznie upadła, gdyż nie wszyscy żołnierze salutowali, cho nie mogli wiedzieć, że idzie ich niedawny ,,wróg''; sklepy b otwarte, życie toczyło się zwyczajnym korytem.

W domu wiedziano już o wszystkim, ordynans przy z wiadomością, że po zajęciu W.S.W. potrzymano komp sztabową w koszarach ale dziś wypuszczono ją i kazano wr do zajęć. Wieczorem dowiedziałem się, że wszyscy kole z Wilanowa zostali puszczeni do domu, że gen. Dzierzanow objął z powrotem komendę W.S.W. mimo należenia do str rządowej i że nazajutrz mieliśmy się wszyscy stawić przed k ciołem Trzech Krzyży dla oddania ostatniej posługi naszym bitym kolegom; wynikało z tego, że na razie z wojska jeszcze nie zwolniono.

Kiedy spotkaliśmy się następnego dnia przed kryptą k cielną, po raz pierwszy razem, przedzieleni tymi kilkoma dnia nie bardzo wiedzieliśmy, jak się wobec siebie zachować; od r wyrobił się mimowolny podział na dwie grupy : zwycięzc i zwyciężonych (,,neutralni'' przyłączyli się, oczywiście, do z ciężców !) Kiedy trzeba było złożyć trumny kolegów, z któr wszyscy polegli w obronie legalności, ,,zwyciężeni'' posunęli ławą aby wyręczyć ,,piłsudczyków'' w tej smutnej przysłudze

Gdy nasz koleżeński kondukt wyruszył ku cmentarzo w stronę dalekich Powązek, ze wszystkich stron zaczęły się suwać nowe orszaki pogrzebowe, tak, że na ulicy Dzikiej ut rzyła się przed — i za — nami kilometrowa kolumna trun i ludzi. Były to same ofiary wojskowe i cywilne bratobój

walki, chowane prawie wszystkie na cmentarzu wojskowym i na koszt rządu. Cała Warszawa była reprezentowana, gdyż zabici pochodzili przeważnie spośród ludności miejscowej i garnizonu warszawskiego. Nastrój był ponury i ściskający serce, szczególnie na cmentarzu, gdzie zebrały się tysiące ludzi. Ten masowy pogrzeb był najwymowniejszym wyrazem, przeżywanej przez kraj tragedii.

Następnego dnia zebraliśmy się po tygodniowej prawie przerwie w auli szkolnej. Mimowolna segregacja, spowodowana odrębnością dwu obozów walczących i podzielonej lojalności, trwała nadal, mimo pozornej, wzajemnej uprzejmości. Nienawiści nie było; przyszłe stosunki zależały od sposobu traktowania zwyciężonych przez najwyższą władzę wojskową.

Gen. Dzierzanowski, który, mimo wszystko, pozostał nadal na stanowisku komendanta W.S.W. ku zadowoleniu wszystkich, przemówił do nas krótko, apelując, aby zapomnieć o wypadkach i nie prowadzić rozmów na te tematy, celem uniknięcia drażliwych wspomnień. Zapowiedział też, że będzie tępił wszelkie prowokacje czy obrazy z równą surowością wobec obu stron.

Przeszliśmy do sal wykładowych; jakaś delikatna ręka położyła bukiet kwiatów na pulpitach poległych kolegów i odtąd zawsze ktoś tam kładł świeże kwiaty. Przejście do normalnych zajęć z pola walki odbyło się tak raptownie, jak przejście od zajęć do walki. Na katedrę wystąpił jeden z wykładowców-Francuzów i nawiązał do przerwanego tematu. Wyglądało to trochę nonszalancko ale działało kojąco.

Oceniając przewrót majowy z czysto wojskowego punktu widzenia, nie można powiedzieć, aby wykonanie go było godne podziwu i służyć mogło za wzór do tego rodzaju akcji bojowych na przyszłość.

Strona rządowa była zaskoczona, gdyż do ostatniej chwili nie wierzono, aby marszałek Piłsudski posunął się poza granicę groźby; jednakże i po stronie przeciwnej nie przypuszczano zapewne, aby przebieg wypadków doprowadził do takich krwawych walk. Nie do pomyślenia jest aby przy jakimkolwiek przygotowaniu wojskowym rewolucja ta mogła trwać aż trzy dni. Belweder, a z nim i całe kierownictwo państwowe, mogło być wzięte już pierwszego wieczora. W pierwszym dniu walk rząd nie dysponował prawie żadną siłą bojową. Rokoszanie byli pewni, jak mi jeden z kolegów piłsudczyków wyjaśnił, że Prezydent Wojciechowski ugnie się przed autorytetem Marszałka i uzna jego władzę; spotkanie na moście Poniatowskiego nie potwierdziło przewidywań i słaby, zdawałoby się, włodarz Rzeczypospolitej postanowił bronić praworządności, bez względu na swe własne bezpieczeństwo; dopiero od tego momentu zaczęło się planowanie działań po obu stronach.

Wypadki majowe były operacją wojskową; ludność udzi w nich nie brała; kilkanaście tysięcy na prędce skoncentro nych żołnierzy zdecydowało o losach walk i państwa; nie wszy kie oddziały zdążyły na pole walki, dzięki strajkowi kolejar którzy w tej formie przyczynili się do wyniku. Dobór oddział nie zależał od uprzednich przewidywań; o przystąpieniu do te czy innego obozu decydował w wielu wypadkach rozkaz w szego przełożonego, rzadziej inicjatywa lokalna; w braku r kazu, dowódcy pozostawali neutralnie na miejscu. Jest to wodem, że w wojsku ani *polityki* ani *entuzjazmu* do walki b tobójczej nie było, wbrew temu, co wojsku przedtem i pot zarzucano. W niektórych wypadkach, dowódcy pułków, w ra otrzymania rozkazu sprzecznego z własnym sumieniem, kończ samobójstwem, pozostawiając wykonanie rozkazu następc przechodzenia na drugą stronę w czasie walk nie było; najdz niej w świecie potoczyły się wypadki w 71 pp.: jeden baon w czył przeciw drugiemu; dowódca pułku, chwiejny i niezdecy wany płk. Boruta-Spiechowicz, pozostał „neutralnie" w kos rach. Dużą sympatię obu stron zyskał dowódca 11 pułku u nów, płk. G. Mochnacki. Zastępca dowódcy, legionista, w dział, że pułkownik poprowadzi pułk do Belwederu, zarząc więc na własną rękę alarm, zabraniając budzić dowódcę i oc wiście zameldował się u Marszałka. Pułkownik, dowiedziaws się po przebudzeniu o wypadkach, kazał osiodłać konia i p cwałował za pułkiem, aby — jak powiedział — obserwow z daleka, czy pułk będzie się bił porządnie i nie zrobi w wstydu; po wypadkach, płk. Mochnacki poprosił o dymisję, marszałek mianował go brygadierem! Również płk. Paszk wicz i Anders otrzymali wyższe stanowiska. Niestety szereg służonych generałów i oficerów, walczących po stronie rządu stało usuniętych z funkcji, poczynając od gen. Rozwadowskieg Hallera, Zagórskiego i Kukiela.

Żołnierz polski zdał w tym trudnym momencie egzan bojowy z odznaczeniem; szedł z zaufaniem za swym oficerc nie politykując i bił się doskonale, o czym świadczyć m tysiąc ludzi zabitych i rannych.

Jeśli chodzi o operacje, to obie strony popełniły błąd zas niczy: strona atakująca przez powstrzymanie się od ataku Belweder, strona broniąca się przez obronę Belwederu ostatniego momentu. Kordonowość frontu, brak manev i głównego kierunku uderzenia, względnie obrony, oto po stałości złej taktyki z ubiegłej wojny!

Narody Rzeczypospolitej zdały egzamin dojrzałości p tycznej. Kłócono się aż do ostatniego momentu, ale z chv rozpoczęcia pojedynku wojskowego, zachowano spokój i dano się nigdzie sprowokować do wystąpień anty-państwowy unikając w ten sposób interwencji zagranicznej i anarchii.

W. SROKOWSKI

Kronika kulturalna

Nauka i sensacja

Dziesięć lat minie w bieżącym roku od owego dnia, gdy koło źródła Ajn-Feszka nad Morzem Martwem, nieznany nikomu syn pustyni, Muhammad adh-Dhib ze szczepu Taamire, natrafił na sławną dzisiaj jaskinię z rękopisami (*). Przez ten krótki czas na temat owych znalezisk powstała olbrzymia literatura. Mająca wkrótce ukazać się bibliografia, ułożona przez Chr. Burcharda, podaje na koniec 1955 roku około półtora tysiąca poważnych studiów naukowych. Drobnych notatek i artykułów popularnych nikt już dzisiaj nie potrafi zliczyć nawet w przybliżeniu. Nie ma bodaj żadnego języka kulturalnego, w którym by badacze nie ogłaszali swoich prac o tych dziełach, zazdrośnie ukrywanych przez pustynię przez dwa tysiąclecia: interesują się nimi nawet w Japonii.

Nie tylko naukowcy, ale nawet szerokie masy kulturalnej publiczności poświęcają nowym odkryciom coraz więcej uwagi. Temat ten zdobył już sobie obywatelstwo na łamach prasy codziennej. Ostatnio Edmund Wilson, współpracownik dziennika *The New Yorker,* zamieścił tam cykl reportaży, dla przygotowania których odbył specjalną podróż do Palestyny i zachodniej Europy i przeprowadzał wywiady z beduinami, komisjonerami i uczonymi. W rezultacie zebrało się materiału na całą monografię która stała się w Ameryce *bestseller'*em.

Niestety, gruntowność nie zawsze cechuje osoby piszące o nowych znaleziskach; większości chodzi jedynie o zadowolenie czytelników chciwych sensacji. Taką okazję znaleźli niektórzy dziennikarze w wystąpieniu J.M. Allegro. Jest on wykładowcą na Uniwersytecie w Manchester, a należąc do międzynarodowej ekipy, zajmującej się segregacją i badaniem rękopisów

(*) Por. „Kultura" Nr 9/71, 5/79 i 6/104.

z Kumran, spędził dłuższy czas w Jerozolimie. Po powrocie Anglii kontynuował swe prace, ogłaszając w sierpniu 1954 ro część wyników na Międzynarodowym Kongresie Orientalist w Cambridge. W dniu 23 stycznia 1956 roku Allegro wygło przed British Broadcasting Corporation odczyt bardzo brzemi ny w skutki. Prasa podchwyciła temat rozdmuchując i komen jąc go na swój sposób.

W końcu Francuska Szkoła Biblijna i Archeologiczna w J rozolimie, kierująca akcją badania rękopisów Morza Martweg została zmuszona do interwencji. W dniu 16-ym marca 19 dyrektor Szkoły, dominikanin Ojciec Roland de Vaux, ksią Jean Starcky, ksiądz Józef Tadeusz Milik, Msgr. Patrick V Skehan z Uniwersytetu Katolickiego w Washington i Jo Stragnell z Prezbyteriańskiego Jesus College w Oxford, ogłos w londyńskim *Times* list do redakcji. W liście tym stwierdzon iż po dokładnym przejrzeniu wszystkich posiadanych tekstów n znaleziono żadnego, który by, jak twierdzi Allegro, zawierał w domość o ukrzyżowaniu Nauczyciela Sprawiedliwości i o d szych jego losach.

W swojej odpowiedzi, ogłoszonej również na łama *Times'*a, Allegro wyjaśnił, iż twierdzenie o ukrzyżowaniu i n stępnych wypadkach oparł na łańcuchu supozycji. Nauczyc Allegro, profesor Uniwersytetu w Manchester H.H. Rowley, w raził swoje ubolewanie z powodu nienaukowego przedstawien opinii publicznej rzeczy jedynie domniemanych : ,,P. Allegro b jednym z najbardziej obiecujących uczniów, jakiego kiedykolwi miałem i jest on zdolny do wykonania subtelnej pracy. Nale żałować, iż powierzono mu wydanie tekstów bez kontroli''.

Ten i podobne głosy rozwagi nie uspokoiły żądnych sensa dziennikarzy, którzy dalej kontynuowali swoją działalnoś stwarzając jak najbardziej niezdrową atmosferę dooko odkryć na pustyni Judejskiej. Na tę okoliczność wskazał w swoi artykule (*Frankfurter Allgemeine Zeitung für Deutschland*, s bota 2-go czerwca 1956 roku), prof. K.G. Kuhn z Heidelberg jeden z członków wspomnianej ekipy, piętnując niedopuszczalno podobnych metod i ich szkodliwość dla prawdziwej pracy bada czej. ,,Nauka nie znosi żadnej sensacji'' tak był zatytułowa artykuł prof. Kuhna. Los jednak chciał, iż zaledwie w tydzi później (*Welt am Sonntag*, 10-go czerwca 1956 roku) ten sa autor z nieukrywaną satysfakcją i triumfem donosił o now sensacji, tym razem może nawet bardziej pasjonującej i zroz miałej dla szerokich mas. Chodziło obecnie nie o warto abstrakcyjne, duchowe, lecz o najbardziej realne skarby ukry w pustyni.

Jak przypominają sobie czytelnicy, w toku przeszukiwan okolic Kirbet-Kumranu znaleziono w jednej z jaskiń blachę m dzianą, która pierwotnie miała wymiary 30 cm. na 2 m. 40 cn później zaś była pocięta na trzy jednakowej wielkości zrulowa kawałki. Zwojów tych nie można było od razu rozwinąć, gd były mocno zaśniedziałe i kruche. Na blasze były wybite jaki

napisy; z warstwy zewnętrznej można było wywnioskować, iż nie był to żaden tekst biblijny. W swoim czasie, po dokładnym przestudiowaniu części powierzchni widocznej na zewnątrz, prof. Kuhn wysunął przypuszczenie, iż na blachach wybity jest opis kryjówki, w której w czasie niebezpieczeństwa schowano najbardziej cenne przedmioty Gminy Nowego Przymierza. Blachę miedzianą miano wybrać jako materiał niepalny i bardziej trwały niż papirus lub skóra. Te wskazówki miałyby na celu ułatwienie członkom Gminy, którzy by przetrwali niebezpieczeństwo i wrócili do swej siedziby, odszukanie ich własności. Należy przyznać, iż hipoteza prof. Kuhna nie zdobyła wówczas wielu zwolenników i została przyjęta z wielką rezerwą.

Kilku wybitnych chemików amerykańskich szukało przez kilka lat sposobu przywrócenia miedzi jej pierwotnej elastyczności nie uszkadzając napisów, wybitych na powierzchni blachy: niestety, wszelkie próby dały wynik negatywny. Należało wobec tego uciec się do pokrajania zwojów, aby móc dotrzeć do napisów ukrytych wewnątrz. Zadanie to zostało zlecone H. Wright Baker'owi, profesorowi Inżynierii Mechanicznej w College'u Technologicznym w Manchester. Użyto w tym celu specjalnej szybkotnącej piły grubości 0,00423 mm., zdolnej do przecinania szkła bez pozostawienia śladu. Przed rozcięciem zwoje wzmocniono specjalnym klejem używanym do budowy samolotów i zestalono go w niskiej temperaturze. Do oczyszczenia pokrajanej blachy użyto między innymi świdrów dentystycznych. Pocięcie zwojów udało się bez zarzutu, żadna litera nie została uszkodzona. Cała operacja odbyła się w obecności specjalnego wysłannika władz Jordanii, który przywiózł samolotem zwoje i od razu zabrał pokrajane części do Jerozolimy.

Odczytanie tekstu powierzono księdzu J.T. Milikowi. Skąpe dane ogłoszone dotychczas oraz komunikat księdza Milika wygłoszony w dniu 28-go sierpnia 1956 roku na II Kongresie Międzynarodowym dla Studiów Biblijnych w Strassburgu zdumiały nie tylko przeciętnego czytelnika, lecz nawet specjalistów zajmujących się sprawami Rękopisów Morza Martwego. Tekst bowiem wybity na blasze miedzianej mówi o skarbach zakopanych na głębokościach dochodzących do 18 stóp w przeszło 60-ciu miejscowościach położonych na przestrzeni około 90 kilometrów między Hebronem a górą Garizim koło Nablusu. Oto kilka spośród ogłoszonych dotychczas wskazówek:

,,W basenie, który znajduje się poniżej przedmurza, od strony zachodniej, w miejscu wydrążonym w skale: sześćset sztab srebra..."

,,... w pobliżu, poniżej południowego narożnika krużganku, przy grobowcu Sadoka i poniżej pilastra w katedrach, naczynie z drzewa sosnowego zawierające kadzidło i naczynie z drzewa akacjowego, także z kadzidłem".

,,... w pobliskim dole, w kierunku północnym, w pobliżu grobów, w wydrążeniu, otwór którego jest skierowany na północ, tam znajduje się odpis tej księgi".

Według obliczeń księdza Milika, całość skarbów ma wynie przeszło 200 ton złota i srebra. Dotychczas nie podano do wia mości publicznej żadnych szczegółów; nie wiadomo też, czy u łowano, kierując się tymi wskazówkami, odnaleźć wskaza kryjówki.

Oczywiście, samo przez się nasuwa się szereg wątpliwoś Skąd taka ilość szlachetnego metalu w tak małym i niebogat kraju jak Palestyna i w dodatku w posiadaniu gminy głoszą ubóstwo? Czy może miary podane w tekście mają inne warto niż używane ogólnie i w rzeczywistości skarb jest znaczn mniejszy? Dlaczego wskazówki, mające pozostać tajemnicą d niepowołanych, umieszczono na tak olbrzymim przedmiocie, kt ry złożono w jaskini nawet nie przykrywając go ziemią? Jeż napis wykonano w chwili niebezpieczeństwa, czy był czas na w bicie go w miedzi? Może wszystko jest jakąś mistyfikacją o myśloną przed dwoma tysiącami lat? Może w ogóle należy ca tekst rozumieć jedynie symbolicznie?

Nad pytaniami tymi długo jeszcze będą głowili się uczo i osoby, które skarby te zainteresują z punktu widzenia pra tycznego.

Można wyobrazić sobie gorączkę panującą obecnie w p styni Judejskiej. Z pewnością żadna szczelina nie będzie poz stawiona w spokoju. Wyniki mogą być żadne lub też dostarc sensacyj, kto wie, czy nie większych od dotychczasowych. Ni jedna kryjówka, zawierająca rękopisy, może wyjść przy t okazji na jaw. Może słowa o ,,odpisie tej księgi złożonym w p bliżu grobów'' dotyczą rzeczywiście biblioteki innego zgrom dzenia esseńskiego. Wszak osiedle w Kumran, jeżeli nawet na ważniejsze, nie było chyba jedyne: esseńczycy bowiem byli do liczni w owych czasach.

Z pewnością już niejedna ekipa tubylczych archeologów p nie bada każdą mysią norę i liczy przyszłe zarobki: jeżeli n problematyczne 200 ton metalu, to w każdym razie pewniejs wynagrodzenie za rękopisy. Cena giełdowa tych urywków w nosi obecnie funt i ćwierć za centymetr kwadratowy. (Teraz d piero można zrozumieć, jak bardzo został pokrzywdzony biedn metropolita Mar Atanaz przy sprzedaży swoich rękopisów Ekspedycje naukowe wobec panującego napięcia polityczneg nieprędko będą mogły przystąpić do systematycznych poszuk wań w terenie.

W międzyczasie zakończono prawie całkowicie wykop liska w samym Kumranie. Dyrektor Francuskiej Szkoły Bibl nej i Archeologicznej w Jerozolimie, Ojciec R. de Vaux, złoż na posiedzeniu Akademii w Paryżu sprawozdanie z całości pr archeologicznych w tym ośrodku. Bilans poszukiwań na teren byłego klasztoru esseńskiego, prowadzonych w ciągu kilku la pozwala odtworzyć dzieje osiedla od samego początku.

Jeszcze w VIII-ym stuleciu przed Chrystusem istniała tu kaś osada, po której pozostały ślady, nie pozwalające jednak odtworzenie planu budynków. Z tego okresu pochodzi spo

przedmiotów ceramicznych i jeden napis na garnku wykonany literami paleo-hebrajskimi. Rodzaj tego osiedla nie może być określony z powodu braku jakichkolwiek wskaźników archeologicznych. Możliwe, iż istniało tutaj jakieś zgromadzenie proroków. Później następuje trwająca kilka wieków przerwa, gdy Kumran był zupełnie opuszczony.

W końcu II-go wieku przed Chrystusem miejscowość jest znowu zajęta przez ludność, nie mającą prawdopodobnie żadnego związku z poprzednią. Jak można sądzić na podstawie odnalezionych monet, odkopany obecnie kompleks gmachów został prawdopodobnie wzniesiony za panowania króla Jana Hirkana. Składał się on z dwóch budynków nierównej wielkości, oddzielonych otwartą przestrzenią, gdzie umieszczone były zakłady gospodarcze przeznaczone do zaspokojenia potrzeb lokalnych. Odkopano między innymi kilka młynów, spichrze, wielki piec do chleba i kuźnię, a także warsztat garncarski, najlepiej zachowany spośród instalacyj tego rodzaju znalezionych dotychczas na terenie Palestyny. Tutaj przygotowywano między innymi garnki służące do chowania rękopisów. Specjalny wodociąg zasilał cały szereg basenów. Na północ od gmachów znajdował się obszerny dziedziniec, na południe zaś esplanada, ciągnąca się do brzegu tarasu ilastego.

Wszystkie te budynki zostały poważnie uszkodzone przez trzęsienie ziemi. Był to prawdopodobnie kataklizm mający miejsce na wiosnę 31 roku przed Chrystusem i opisany przez historyka Józefa Flawiusza. Po tej katastrofie miejscowość została opuszczona aż do końca rządów Heroda Wielkiego. Jak wskazują znalezione monety, za panowania jego następcy, Heroda Archelausza (panował od 4-go roku przed Chrystusem do 6-go po Chr.), budynki zostały zajęte przez tę samą grupę mieszkańców, która je porzuciła. Plan osiedla uległ jedynie drugorzędnym zmianom i pomieszczenia zachowały swoje pierwotne przeznaczenie.

Po odnowieniu osada przetrwała do pierwszej wojny żydowskiej (66-70 po Chrystusie). Seria monet znalezionych urywa się nagle na drugim roku powstania (68 rok po Chr.). Prawdopodobnie mieszkańcy opuścili Kumran jeszcze przed nadejściem Rzymian i gmachy zostały zajęte przez powstańców. Wiadomo na przykład, iż taki był bieg wypadków w pobliskim Jerycho, skąd uciekli wszyscy mieszkańcy. W tym okresie budynki w Kumran zostały zburzone i spalone, warstwa gruzów ma grubość dochodzącą do 1 m. 50 cm. i zawiera ostrza strzał rzymskich. Warstwa wyższa zawiera także strzały rzymskie oraz monety bite w Cezarii Palestyńskiej w 68 roku po Chrystusie i inne monety, noszące godła X Legii. Wiemy zaś na podstawie świadectw Józefa Flawiusza, iż cesarz Wespazjan w 68-ym roku opuścił Cezarię, zszedł do doliny Jordanu, zajął Jerycho i dotarł na czele X Legii do Morza Martwego. Po wyparciu powstańców, w ruinach Kumranu umieszczono posterunek rzymski; strzegł on drogi ku południowi Morza Martwego, gdzie

forteca Masada długo jeszcze stawiała rozpaczliwy opór. Pos
runek zajął jedynie część gmachów, dzieląc wielkie sale
mniejsze pokoje. Teren oczyszczono, zawalając gruzami ki
zbytecznych już basenów. Posterunek rzymski stacjonował tu
końca I-go stulecia. Między rokiem 132 a 135 po Chrystus
w okresie drugiego powstania i wojny żydowskiej, w opuszc
nych ruinach ukrywali się powstańcy, po których pozostało tu
kilka monet. Po stłumieniu powstania miejscowość zost
opuszczona, aż do dnia dzisiejszego.

A więc zasadniczy okres użytkowania gmachów w Kum
był bardzo krótki : około dwustu lat (od końca II-go stule
przed Chrystusem do 68-go roku po Chrystusie) ; dokładne zb
danie ich resztek pozwoliło ustalić ponad wszelką wątpliwo
iż nie zawierały one lokali mieszkalnych : kilka niewielkich pok
przeznaczono prawdopodobnie jedynie dla administracji i p
sonelu dozorującego. Odkryto natomiast kilka większych s
Sala odkopana na samym początku poszukiwań (mówiliś
o tym w przedostatnim artykule) mieściła prawdopodobnie p
cownię skrybów : znaleziono tu bowiem stołki do pisania, tabli
ki ze wzorem alfabetu i kałamarze z wyschniętym atramente
Później odkryto jeszcze większe sale; największa była refek
rzem, służącym do modlitw i posiłków sakralnych. Znalezio
również resztki tych posiłków, a mianowicie kości baranie, ko
i wołowe, starannie złożone do licznych wielkich garnków glin
nych i pogrzebane w ziemi. Postępowanie takie było podyktow
ne chęcią ochronienia od profanacji resztek posiłków sakralnyc

Sądząc z wielkości budynków gospodarczych, odpowiada
one potrzebom licznej grupy ludzkiej. Rzuca się w oczy ogro
na ilość basenów, pojemność których jest o wiele większa niż
to odpowiadało potrzebom obsługiwanych gmachów i zakład
gospodarczych.

Obok budynków, za niewysoką ścianą mieści się cmenta
zawierający ponad tysiąc mogił i zajmujący przestrzeń obsz
niejszą niż budynki. Ilość grobów jest nieproporcjonalnie wiel
w porównaniu z możliwą ilością mieszkańców Kumranu. R
miary cmentarza, powierzchnia sal i pojemność basenów od
wiadają grupie ludności liczącej kilkaset osób.

Znaleziono także domostwa, rozrzucone na przestrzeni
km. a mające Kumran jako centrum. Znaleziono 25 grot sk
nych, częściowo służących jako składy i kryjówki, częścio
zaś mieszkalnych. W jednej szczelinie znaleziono słupy drzew
służące kiedyś do budowy namiotów i szałasów. W tarasie il
tym, przymykającym do Kumranu, były wyżłobione komo
dawniej zamieszkałe, obecnie zaś częściowo zniszczone pr
erozję i zawalone. Rękopisom znalezionym we wszystkich t
kryjówkach towarzyszyły wszędzie wyroby ceramiczne tego
mego typu. Znaleziono także liczne *ostraki,* ułamki naczyń
nianych z napisami.

Skarbiec zgromadzenia mieścił się w gmachu centralny
w Kumranie, gdzie znaleziono liczne monety, gdy w lokal

mieszkalnych stwierdzono absolutny ich brak. Potwierdza to więc wspólnotę majątku Gminy i zakaz posiadania dóbr osobistych. Wielka ilość i rozmiary basenów oraz staranne ich wykonanie wykazują, iż przeznaczenie ich nie było wyłącznie gospodarcze, lecz że służyły one potrzebom kultu. Do tych samych celów (modlitwy i posiłki sakralne, po których zachowały się kości) służyły wielkie sale.

Wnioski wyciągnięte na podstawie tych danych archeologicznych potwierdzają całkowicie świadectwa dawnych autorów, przede wszystkim zaś Pliniusza Starszego (zmarł w 79-ym roku po Chrystusie) i Józefa Flawiusza (I-szy wiek po Chrystusie), iż mamy tu do czynienia z osadą esseńską. Położenie Kirbet-Kumranu w najdrobniejszych szczegółach zgadza się z rozmieszczeniem osiedli esseńskich, tak jak je podaje Flawiusz: na zachód od Morza Martwego, ponad (na północ) Engadi, na pewnej odległości od brzegu i nieco wyżej od niego, celem uniknięcia niezdrowych wyziewów morskich.

Co prawda, istnieje pewna rozbieżność między świadectwami dawnych autorów i nowoznalezionymi rękopisami co do niektórych szczegółów charakteryzujących Esseńczyków. Jednak O. de Vaux tłumaczy to tym, iż w pierwszym wypadku mamy opis Gminy dokonany przez obserwatora oglądającego ją od zewnątrz i w okresie nieco późniejszym, gdy świadectwa rękopisów są współczesne mieszkańcom Kumranu i oświetlają życie Esseńczyków od wewnątrz. Według słów prelegenta, Kumran był jednym z kilku zgromadzeń i, prawdopodobnie, w ciągu pewnego czasu głównym. Wykopaliska wskazują jako datę graniczną powstania tekstów rok 68-my po Chrystusie, to jest koniec istnienia gminy.

,,Ogólnie biorąc, zakończył O. de Vaux, wykopaliska wyjawiły organizację materialną pewnej gminy religijnej, nieco poprzedzającej chrześcijaństwo i współczesnej jego początkom. Jej podobieństwo do pierwszych instytucji zakonnych jest uderzające i w ten sposób otwiera się nowa perspektywa dla historyków życia klasztornego''.

Na rok 1956 były planowane na terenie klasztoru drobne prace celem ustalenia planów ruin i dokładniejszego zbadania cmentarza. O wyniku ich brak na razie wiadomości. Na tym wykopaliska w samym Kumranie zostały by zakończone. Istnieje natomiast zamiar zbadania śladów zabudowań między Kirbet-Kumran a Ajn-Feszka. Ajn-Feszka zaś, jak zwrócił na to uwagę obecny na posiedzeniu Akademii sędziwy William Marçais, oznacza po arabsku ,,dobry omen''.

Szymon SZYSZMAN

Nieboska Komedia w Anglii

WPŁYW KRASIŃSKIEGO NA ROBERTA LYTTONA

(Fragmenty nieopublikowanej korespondencji lorda Lyttona i hrabiego Gobineau)

W miarę jak oddala się od nas enigmatyczna postać kole tywna emigracji polskiej XIX-go wieku, zaczynamy poznaw ją lepiej. Z badań ściśle literackich wynika, że kontakt kult ralny wychodźtwa polskiego z życiem intelektualnym Zachod przeważnie Anglii i Francji, ale również Italii, Stanów Zjedn czonych, Szwajcarii i innych krajów, był bardziej płodny i obfi aniżeli przypuszczano to dotychczas. Nie tylko bowiem Zach dawał — również otrzymywał i korzystał z dorobku kulturaln go Polski, nie istniejącej ale działającej i tworzącej, nieobecn na mapach Europy ale aktywnej w sferze myśli i form.

Coraz częściej natrafiamy na wszechobecne ślady wpływ kultury polskiej na życie artystyczne, literackie i społeczne Lo dynu i Paryża. Natrafiamy na nie tam, gdzie zazwyczaj n spodziewaliśmy się ich znaleźć. Bardzo często przypadek napr wadza nas w labiryncie badań na materiały niezmiernie cieka i cenne. Stare legendy rozwiewają się : André Maurois w swo ostatniej biografii George Sand wykazał niezbicie, że Lelia i P ska to nie tylko historia seksualnych stosunków francuskiej p sarki i polskiego kompozytora, ale również szczera przyja i głęboki szacunek, przekonanie, że Europa bez Polski je ciałem które zadało sobie samo straszliwą ranę, „un corps q s'est mutilé, tronqué, circoncis". Domownicy George to n tylko Chopin i Wodziński, również Mickiewicz i Heine, Delfi Potocka i Betty de Rotschild, Marcelina Czartoryska i Madar d'Agoult, Anglicy i Amerykanie.

Badając od pięciu lat manuskrypty hrabiego Gobineau w k lekcjach uniwersyteckich i prywatnych, ślęcząc nocami nad list mi jego przyjaciół i korespondentów, przypadkiem odkrywał „la présence polonaise" — jak to trzeba nazwać według ob nej mody — w darwinizmie, w marksizmie, nawet w wagner mie; w poezji Anglii wiktoriańskiej i w najlepszej prozie po tycznej Paryża; w gabinetach orientalistów i w ateliers rz biarzy; w myśli polityka i męża stanu jak również w modlit

pokucie misjonarza i mistyka. Nabiera to szczególnego znaczenia w chwili, kiedy dzisiejsi niszczyciele nadziei oznajmają nam, że żyjemy w okresie zmierzchu Europy. To, co wydaje się nam zmierzchem, być może stanie się dla przyszłego historyka i badacza jutrznią lepszej Europy, wyzwolonej od tej zmory jaką jest bizantyjska horda współczesnych Hunnów.

Joseph-Arthur de Gobineau i Lord Robert Lytton przybyli do Aten w listopadzie 1864 roku. Obaj byli zawodowymi dyplomatami: Gobineau był posłem pełnomocnym Napoleona III przy osobie króla Hellenów, Robert Lytton — pierwszym sekretarzem Poselstwa Wielkiej Brytanii. Wspaniała kariera polityczna oczekiwała młodego Anglika : w roku 1876, na wniosek Beniamina Disraeli, premiera Wielkiej Brytanii, królowa Wiktoria miała go mianować Wicekrólem Indii. Na tym stanowisku Lord Lytton miał zdobyć sławę jako obrońca Imperium Brytyjskiego : jego rezolutna akcja, choć niezmiernie kosztowna finansowo, zniweczyła rosyjskie plany obrócenia Afganistanu w satelitę Moskwy, którym Afganistan został dopiero w ubiegłym roku. Lord Lytton umarł w Paryżu w 1891 jako ambasador Wielkiej Brytanii, szczerze opłakiwany przez Francuzów — zwłoki jego otrzymały ,,funérailles d'Etat'' gdyż był najbardziej popularnym ambasadorem angielskim we Francji XIX-go wieku.

Obydwaj dyplomaci nie mogli nie zauważyć jeden drugiego. Dyplomacja była dla nich tylko środkiem zarobkowania; obydwaj byli literatami w pełni sił i zamiarów. Gobineau dopiero co opublikował jedną z najlepszych książek francuskiej literatury o Wschodzie — ,,Trois ans en Asie'' (,,Trzy lata w Azji''), gdzie opisał swoje przeżycia i wrażenia z lat jakie spędził jako minister Cesarza Francuzów w Teheranie. Robert Lytton, syn słynnego powieściopisarza, Sir Edwarda Bulwer-Lyttona (autora ,,Ostatnich dni Pompei') był już znany jako obiecujący poeta pod pseudonimem Owen Meredith oraz jako najbliższy przyjaciel Roberta i Elżbiety Barret Browning.

Poza tym ten arystokratyczny Francuz i gentleman Anglik odnosili się z pogardą do innych przedstawicieli mocarstw, typowych biurokratów bez kultury, którzy się nazywali Erskine, Photiades Bey, pan de Novikoff etc. W przeciągu kilku tygodni zawiązała się dozgonna przyjaźń, podtrzymywana przez piękną wymianę korespondencji i współpracę literacką.

Niżej podane fragmenty dotyczące wpływu emigracji polskiej a zwłaszcza wpływu Zygmunta Krasińskiego na dzieło Lorda Lyttona, pochodzą ze zbioru listów Lorda Lyttona do Gobineau, stanowiącego własność Fundacji Gobineau przy Bibliotece Narodowej i Uniwersyteckiej w Strassburgu. Jest to tak zwany Ms. 3527, zawierający około siedemdziesięciu *nieopublikowanych* listów w języku angielskim lub francuskim. Podaję tutaj oryginał — francuski lub angielski — i tłumaczenie, które p. Czesław Miłosz wspaniałomyślnie oszlifował. Nie starałem się uniknąć błędów stylistycznych, które Lord Lytton robił we

francuskim. Jego angielskie listy są natomiast arcydziełami w
toriańskiej korespondencji i ukażą się wkrótce drukiem, w m
wydaniu, przedsięwziętym wspólnie z Jean Puraye, w Brul
i w Londynie.

Wpływ Zygmunta Krasińskiego na Lyttona znany był
tychczas tylko wąskim kołom anglo-amerykańskich specjalis
w dziedzinie literatury porównawczej. Między innymi cenne in
macje można znaleźć w książce Moniki Gardner ,,The ano
mous poet of Poland, Zygmunt Krasiński'', Cambridge,
i w biografii Lorda Lyttona napisanej przez Aurelię Bro
Harlan : ,,Owen Meredith'', Columbia University Press, 194

Ms. 3527, list 17 (pisany w Walfond, w Anglii, 12 avril,

*...Quant à mes propres entreprises voici où j'en suis. Les
premiers volumes de la nouvelle édition viennent de paraître; et
déjà écrit à mon Editeur de vous les envoyer par l'intermédiaire
Foreign Office. Quant au troisième qui a dû paraître à la fin d
mois, une difficulté tout à fait imprévue vient de surgir. Au der
moment l'éditeur vient de m'apprendre qu'il n'y a pas assez de ma
pour en faire un volume. Il en faut davantage. Je ne veux point y re
duire ce que j'ai déjà imprimé ailleurs. Donc il faut faire « du nouve
Heureusement, je trouve parmi mes papiers l'esquisse de quelques sc
dont l'ébauche m'a été suggérée et inspirée par une lecture que j'ai
il y a quelque temps, d'un poème polonais. Ce* poem *m'a paru
remarquable. Je n'en ai vu que quelques morceaux traduits en fran
Mais en les relisant je trouve que ces scènes correspondent à merv
avec mon idée que vous connaissez déjà depuis longtemps, d'un dr
sur la révolution allégorisée. J'y trouve les matériaux d'un cadre qui
manqué, comme vous le savez, jusqu'alors. Cela est arrivé tout
coup : la concordance de ces quelques scènes avec l'idée qui me h
depuis longtemps. m'a frappé pour la première fois. Je me suis m
l'œuvre sans délai — et dans un mois ou cinq semaines j'espère
voir envoyer le résultat qui paraîtra dans mon 3e volume et qui sera,
d'autres choses, dédié à vous.*

,,Co do moich własnych przedsięwzięć, oto gdzie jest
Pierwsze dwa tomy nowego wydania (wierszy) już się ukaz
i pisałem już memu wydawcy by je pan przesłał przez Minis
stwo Spraw Zagranicznych (1). Co do trzeciego tomu, k
powinien był się ukazać w końcu tego miesiąca, zaszła niep
widziana trudność. W ostatniej chwili wydawca mi oznajmił
nie ma dosyć materiału na cały tom. Potrzeba mu więcej
natomiast nie chcę reprodukować tego, co się już ukazało g
indziej. Trzeba więc robić ,,nowe''. Na szczęście znajduję mi
moimi papierami szkic kilku scen, których brulion został mi
sugerowany i inspirowany przez lekturę polskiego poematu,
kim zapoznałem się jakiś czas temu. Ten poemat wydał m
wybitnie godny uwagi. Co prawda czytałem tylko kilka f

(1) ,,Chronicles and Characters'', 2 tomy, Londyn, Chapman and
1868.

nentów tłumaczonych na francuski. Ale odczytując je na nowo, postrzegam, że te sceny odpowiadają znakomicie memu pomysłowi, który pan zna już oddawna, pomysłowi dramatu o rewolucji alegoryzowanej. Znajduję tam ramę której, jak pan wie, brak mi było dotychczas. Stało się to nagle: zgodność tych kilku scen z pomysłem który owładnął mną od dawna, zaskoczyła mnie. Bez zwłoki zabrałem się do roboty i mam nadzieję, że za miesiąc lub pięć tygodni będę mógł Panu posłać rezultat, który ukaże się w moim trzecim tomie i który będzie, wraz z innymi wierszami, panu zadedykowany".

Potrwa to jednak znacznie dłużej: kłopoty rodzinne, niesnaski z ojcem, wielkim egoistą, który obawia się sławy syna-rywala, ciężka operacja i komplikacje odwloką realizację projektu na szereg miesięcy.

Ms. 3527, list 18 (Knebworth, Anglia, Stevenage, Herts. 18 Aug. 1867)

...The same cause which has prevented me hitherto from answering your letters, has also greatly interrupted and retarded the publication of the Poems in which you have taken such friendly and flattering interest. I hope, however, to be able to get them all published in the month of October next: and I am now endeavouring to get the proof sheets of the volume which is dedicated to you, containing the Dramatic Poem, bound in time for transmission to you by the Foreign Office Messenger who starts for Athens next Thursday. I shall be very anxious to know what you think of it.

„Ta sama przyczyna, która nie pozwoliła mi dotychczas odpowiedzieć na pańskie listy, zahamowała również i odwlokła publikację wierszy darzonych przez pana tak przyjazną i pochlebiającą mi uwagą. Mam nadzieję jednak, że zdołam opublikować je wszystkie w październiku: a obecnie staram się dostać arkusze korekty tego tomu, który jest panu zadedykowany i zawiera Poemat Dramatyczny, by móc w porę je przesłać przez gońca Ministerstwa Spraw Zagranicznych odjeżdżającego do Aten w przyszły czwartek. Będę z niecierpliwością oczekiwał pańskiego zdania o tej książce".

Parafraza „Nieboskiej Komedii' otrzymała tutaj angielski tytuł „Orval; or, The Fool of Time", a ten „trzeci" tom ukazał się pod tytułem: „Orval; or, The Fool of Time and Other Imitations and Paraphrases" w wydaniu londyńskim Chapman and Hall, 1869.

Oprócz tłumaczenia „Nieboskiej Komedii" znajdują się w tym tomie tłumaczenia dzieł Nonnosa z Aleksandrii, Wirgiliusza, Lukrecjusza, Dantego i Michała Anioła; dwa poematy oparte na motywach duńskich ballad; pięć sonetów Ronsarda; oraz zbiór serbskich pieśni ludowych, po raz pierwszy opubliko-

wanych w roku 1861 (2). Powyższy zbiór był więc poniekąd
zultatem służby dyplomatycznej Lorda Lyttona we Florencji
dworze W. Ks. Toscany), w Paryżu, w Kopenhadze, w W
niu i w Belgradzie. Autor jest pełen sympatii dla narodów
czących o wolność : Duńczycy w wojnie z Bismarkiem w cz
jego służby w Kopenhadze; Serbowie opierający się Otomańs
Turcji; Polacy świeżo pokonani przez Murawiewa-wieszat
jak również echa niedawnej wojny Włochów o niepodleg
przeciwko habsburskim zaborcom, echa tajnych zebrań ang
skich przyjaciół Italii u Elżbiety Browning w jej rezydencji
renckiej, Casa Guidi.

Imiona polskie zostały zmienione przez Lyttona na ang
skie, na przykład „Count Henry", ale stary entuzjazm
Rabelais nasuwa mu mocno niefortunną, moim zdaniem, zmi
imienia Pankracego na *Panurge*. Lytton jest natomiast wie
naogół kompozycji oryginału i chociaż nie osiąga wyżyn dra
tycznych polskiego wieszcza, potrafi tym nie mniej, jak
określa inny poeta angielski, ojciec współczesnego antyim
rializmu, Wilfrid Scawen Blunt, stworzyć „*a noble dram
poem*" (3).

Przedmowa, w jaką Lord Lytton zaopatrzył tłumacz
„Nieboskiej Komedii", rozwija myśl, zawartą już w cytowa
liście do Gobineau.

„Przypadek — pisze w przedmowie — pozwolił mi na
krycie poematu. Jego dramatyczna moc i piękno zniechęciły m
do mojego własnego dramatu, chociaż myśl przewodnia
w nim identyczna. W starym numerze *Revue des deux mon*
znalazłem tłumaczenie prozą „Comédie infernale" Hrabi
Zygmunta Krasińskiego, autora wielu innych dzieł, niemniej
sługujących na szersze uznanie i sławę światową, aniżeli cie
się obecnie. Czytam, czytam na nowo ten dziwny poemat z cia
wzrastającym zaciekawieniem. Niespodzianka. Każdy szcze
wraża się tak głęboko w moją pamięć, że ...porzucam wsze
poprzednie projekty mojej własnej koncepcji. Nie chciałem
nak porzucić bez żadnego śladu idei, która przez długi o
czasu wypełniała mój umysł : gdy więc efekt polskiego poem
był ciągle jeszcze świeżo odciśnięty w moim mózgu, następu
parafraza była napisana z szybkością, która zapewne stanowi
lepszą gwarancję wierności wobec oryginału".

Artykuł, który wpadł w ręce Roberta Lyttona i przycz
się bezpośrednio do powstania angielskiej wersji dramatu K
sińskiego, był nielada krytycznym sprawozdaniem : „Le p

---

(2) Bliższe szczegóły o „Serbskich pieśniach" można znaleźć w d
jugosłowiańskiego historyka i krytyka V. Yovanovitch : „*La Guzla*
Prosper Mérimée, les origines du livre, ses sources, sa fortune". Gren
1910.

(3) Cf. „Lord Lytton's Rank in Literature" by Wilfrid Scaven B
The Nineteenth Century, Monthly Review edited by James Knowles,
XXXI, Jan.-June 1892.

anonyme" opublikowany przez Juliana Klaczko w roku 1862 w *La Revue des deux mondes* był, według zdania historyka polskiej literatury Stanisława Tarnowskiego, „jednym z najbardziej efektywnych artykułów w dziejach piśmiennictwa polskiego", „dziełem, które zapewniło Klaczce literacką sławę wśród Francuzów" i stało się podstawą „wszystkich późniejszych krytyk dzieła Krasińskiego" (4).

Lord Lytton napisał list do Klaczki i odtąd dwaj pisarze stali się przyjaciółmi. Gdy w roku 1875 ukazały się artykuły Klaczki w „La Revue des deux mondes" o dwuch kanclerzach, Bismarcku i Gorczakowie („Les deux chanceliers"), Lord Lytton nie taił swego entuzjazmu: „Na Jowisza — pisze do wicehrabiego Johna Morley — jakie wspaniałe one są. Ich styl jest cudowny. Najlepszy francuski styl jest stylem najlepszych francuskich autorów... Jezyki angielski i niemiecki... nie mają stylu!" (5).

Odtąd stosunki między Lordem Lyttonem i emigracją polską stają się bardziej regularne. Korespondencja jego z Gobineau jest pełna ciekawych wzmianek, które zapewne mają wartość dla historyków.

Ms. 3527, list 30 (z Wiednia, 28 sierpnia — Aug. 1869)

I have lately been staying with some Hungarian friends, Ct and Css Vako at a very pretty chateau of theirs among the mountains of S. And-ta. The Countess is full of natural talent, plays with great power, and paints better than any modern Artist I have yet seen. The Count de Chambord (Henri V) lives in the neibourghood and is firmly persuaded — poor man! — that he will very soon be on the throne of France. Comme on se fait des illusions! Meanwhile, he still keeps up the machinery of Royal state.

Another dethroned Royalty the blond King of Hannover is living close to us here, and he, also, is under the pleasing delusion that Europe will one day rise in arms to restore him to the throne of the Guelphs. His Minister Ct Platen (whom I see a good deal of) finds like Hamlet, that „the world is out of joint". Next week I am going with Edith into Galicia on a visit to Ct Adam Potocki (whose brother Ct Alfred is Minister of Agriculture here, and who is himself one of the Polish Party in the Reichsrath, and the largest proprietor in Galicia I believe). But only fancy how interesting it has been to me to find that he is a brother in law of the late Ct Krasinski, the Polish Poet, author of the Comédie Infernale which I paraphrased in „Orval". He has told me a great deal that is most curious and interesting about Krasinski, and amongst other things that he (Krasinski, the poet) had during the last years of his

(4) Cf. Count Stanislaw Tarnowski, „Catholic Encyclopedia", New York, Robert Appleton Co., Vol. 8, pp. 665-6, „Klaczko Julian".

(5) „Personal and Literatury Letters of Robert First Earl of Lytton" edited by his daughter, Lady Betty Balfour, London, 1906, Longmans, Green and Co, vol. I, pp. 334-335. Cf. również t. 2, str. 350, list z maja 1888 r. z Paryża do córki gdzie ambasador Lytton po obiedzie z Klaczką pisze o ich rozmowie politycznej.

life a great influence over the Empr Napoleon III, whom he used to privately, and that every word of the Emperor's celebrated proclama to the Italians at the commencement of the war between France Austria on behalf of Italy, was written by Krasinski! His brothe law, Ct Adam, has promised to show me some interesting unpublis M.S.S. of the dead Poet. By the way I must tell you that „Orval", it has fallen quite flat in England, appears to have made some sensa amongst the Poles. All the principal Polish papers and literary rev have taken it up, and I have received some very able, and most flatte notices of the drama, and criticisms of it, from Crackow. They all sp highly of it. We are expecting Pss. Czartoryska (whom perhaps may heve wnown at Paris) on a visit to Lady Bloomfield, so that see I am just making many Polish acquaintances. After that we going into Hungary, on a visit to a Ct Erdödy...

(O sytuacji wewnętrznej w Austrii :)

...The liberal party in questions of commerce, industry and self- are all violent ultramontains reactionists in Church matters and poli questions; the liberal Party in political and Church matters, are vi reactionists in all commercial questions — and besides all this you a dozen different nationalities pulling different ways. So that Austrian Govt may be compared to the gentleman who congratu himself that the fleas were not unanimous; since, if they had all pu in the same direction, they would have pulled him out of bed. claims of Bohemia and Galicia will sooner or later become ser The Hungarians are just now all powerful, and the Germans very jea of them. But I have great faith in the political vitality and energ the Hungarians.

,,Ostatnio gościłem u węgierskich przyjaciół, hr. i hra Nako w ich pięknym zamku w górach. Hrabina jest pełna dzonego talentu, gra bardzo dobrze i maluje lepiej niż jak wiek mi znany współczesny artysta (6). Hr. Chambord (He V) mieszka w sąsiedztwie i jest przekonany — biedaczysko wkrótce będzie na tronie Francji. Comme on se fait des sions ! Na razie stale utrzymuje aparat monarchii.

Inny zdetronizowany majestat, ten blondyn król Hanno mieszka niedaleko nas i również żywi przyjemne złudzenia Europa pewnego dnia chwyci za broń aby mu zwrócić Gwelfów. Jego minister hr. Platen (którego widuję ba często) uważa, podobnie jak Hamlet, że ,,świat wyszedł z bów''. W przyszłym tygodniu jadę razem z Edith do G z wizytą do hr. Adama Potockiego (którego brat hr. Alfred tutaj ministrem rolnictwa; on sam jest zaś jednym z przy ców Polskiego Stronnictwa w Radzie Cesarskiej i, jak puszczam, największym posiadaczem ziemskim w Galicji).

---

(6) Lord Lytton poświęcał wolne chwile malarstwu. Szereg por jego dzieci, które oglądałem w rodzinnym zamku Knebworth House Londynu, dowodzi, że miał pewien talent w tej dziedzinie. Jego syn ville, był słynnym portrecistą w przedwojennym Paryżu.

na sobie wyobrazić, jak podniecające było dla mnie odkrycie, że jest on szwagrem śp. Krasińskiego, autora „Comédie infernale", którą parafrazowałem w „Orvalu". Opowiedział mi wiele ciekawych rzeczy o Krasińskim, między innymi, że on (Krasiński, poeta) miał w ostatnich latach swego życia wielki wpływ na cesarza Napoleona III, którego zazwyczaj widywał prywatnie, i że każde słowo słynnej cesarskiej proklamacji do Włochów, na początku wojny między Francją i Austrią o niepodległość Italii, było napisane przez Krasińskiego! Jego szwagier, hr. Adam, obiecał pokazać mi ciekawe nieopublikowane manuskrypty zmarłego poety. Notabene muszę tu wspomnieć, że „Orval", chociaż nie odniósł żadnego sukcesu w Anglii, stał się czymś w rodzaju sensacji dla Polaków. Wszystkie główne polskie gazety i pisma literackie zajęły się nim, otrzymałem niektóre bardzo zręczne i jak najbardziej pochlebne wzmianki o dramacie tudzież recenzje z Krakowa. Wyrażają się o nim bardzo dobrze. Oczekujemy tutaj ks. Czartoryskiej (którą zapewne miał pan sposobność poznać w Paryżu), bo wybiera się z wizytą do Lady Bloomfield (7), widzi więc pan, że zawieram teraz wiele polskich znajomości. Potem pojedziemy na Węgry, z wizytą do hr. Erdödy" (8).

O sytuacji wewnętrznej w Austrii:

„...Partia, liberalna w sprawach handlu, przemysłu i samorządu, składa się z gwałtownych ultramontanów i reakcjonistów kiedy chodzi o kwestie Kościoła i polityki; partia, liberalna w sprawach politycznych i kościelnych, jest gwałtownie reakcyjna kiedy chodzi o kwestie handlu; a poza tym jest tutaj tuzin narodowości, z których każda ciągnie w inną stronę. Tak więc rząd austriacki można porównać do gentlemana który pogratulował sobie, że pchły nie były jednomyślne; bo gdyby wszystkie pchały w tym samym kierunku, wypchałyby go z łóżka. Rewindykacje Czech i Galicji staną się, wcześniej czy później, poważną sprawą. Węgrzy są obecnie wszechpotężni, a Niemcy patrzą na nich bardzo zawistnie. Ale ja mam wielką wiarę w polityczną witalność i energię Węgrów".

Należy zaznaczyć, że Lord Lytton w tym okresie studiował historię Petöfiego, Kossutha, Bema i napisał dzieło o patriocie węgierskim Stefanie Szechenyi.

Niemniej ciekawy jest problem stosunków Gobineau z emigracją polską; dotychczas żaden „gobinista" nie wiedział, że po klęsce francuskiej 1870 roku zrujnowany Gobineau chciał się osiedlić w... Krakowie i zwrócił się do księżnej Marceliny Czartoryskiej.

Postać hrabiny Zofii Tońskiej, czołowej bohaterki arcydzieła Gobineau „Les Pléiades", uważanego dzisiaj przez wielu wybit-

(7) Lady Bloomfield, żona ambasadora Anglii w Wiedniu i córka Lady Edith Lytton, żony Roberta.

(8) Hrabina Erdödy, urodzona Raczyńska, była przyjaciółką hr. Gobineau.

nych pisarzy francuskich za najlepszą powieść XIX-go wie (cf. ,,Figaro Littéraire'' z dnia 6 i 13 grudnia 1952) wydaje potwierdzać w pełni tezę, że Gobineau doskonale znał Polakó przynajmniej płeć piękną. Zrehabilitowany (9) przez Francję s nowczo i ostatecznie, teraz, kiedy ukazują się na nowo je ,,Nouvelles asiatiques'', Gobineau powinien opuścić czyściec jaki Polska go skazała, mimo prac Michała Sobieskiego i deusza Boya-Żeleńskiego, za przyjaźń z Ryszardem Wagnere Ale o tym innym razem.

Adam-Dominique KENETH

Col de Vozas (Haute-Savoie)
i Akron, Ohio. 1956.
Grudzień.

---

(9) Cf. Jean Mistler i Robert Kemp w nowych wydaniach ,,Les Pl des''; A.-B. Duff w ,,Revue de Littérature Comparée'', Paris, 19 Adam Keneth ibidem, 1956, Nr. 2; Mgr. A. Blanchet, ,,Etudes'', Sept bre 1953; Etiemble: ,,Six Essais sur trois tyrannies'', Gallimard, 19 Jules Romains, ,,Saints de Notre Calendrier'', Flamarion, 1952; Jean raye ,,Les mémoirs du Comte Louis de Gobineau'', Bruxelles, Eras 1955; ,,Bulletin de Paris''; ,,Express''; etc. — oct. 1956.

Ostatni teatr żydowski

Z wieczorów spędzonych na londyńskich występach Państwow Teatru Żydowskiego z Polski szczególnie jeden moment pozostaje w pami początek drugiego aktu ,,Mirele Efros''. Ida Kamińska, nestorka żydows sceny, grająca rolę tytułową sędziwej matki niewdzięcznych dzieci, za biona w starym, ciężkim fotelu, wśród zapadającego zmierzchu czyta głosem psalm, mający jej przynieść pociechę. Z głębi płynie cicha muzy z początku trudno uwierzyć uszom oczekującym tradycyjnego hebrajskiego tywu, lecz w chwilę później nie ma już wątpliwości: jest to melodia sły arii ze ,,Strasznego Dworu''.

To połączenie ujawnia źródło wzruszeń, wywoływanych wizytą te Kamińskiej. W ciągu długich wieków współżycia obu narodów obyczaj dowski stał się jakby egzotyczną częścią tradycji polskiej, żydowski do zabarwił nasze poczucie humoru i jakiekolwiekby były trudności i konf we wzajemnych stosunkach, Żydzi stanowili nieodłączną, charakterysty część obrazu Polski przedwojennej.

Dziś obraz jest inny, toteż nostalgia starszego i średniego pokole mimowolna choćby tęsknota za przeszłością, za krajem dzieciństwa obej także i świat żydowski. Stąd wynika ta osobliwa reakcja uczuciowa

epizody z życia żydowskiego w Grodnie, w drobnych mieścinach na Kresach Wschodnich, wywołują w słuchaczu wizję całej dawnej Polski, a nie tylko jej ghetta. Nie wiem, czy „Mirele Efros" w ten sam sposób grane jest w Warszawie i we Wrocławiu, w Londynie podłożenie pod patetyczny tekst biblijny tej właśnie muzyki było prawdziwym odkryciem inscenizatora, jeśli idzie o polskich widzów. Bez względu nawet na różnicę stylów, na pomieszanie dwóch odrębnych dziedzin.

Polaka odwiedzającego kraj po wielu latach emigracji, uderza między innymi zniknięcie ludności żydowskiej. Jest to nieobecność tragiczna, zmiana wyglądu niektórych ulic, szyldów sklepowych, pozornie obojętna, dla przyzwyczajonych do niej wprost nieistniejąca, ciągle przypomina przybyszowi tragedię żydowstwa. Język żydowski (tak zwany yiddish) jest językiem zamierającym. W Palestynie wypiera go hebrajski, w Europie zaś języki krajów osiedlenia. Wynika to i z dotkliwej lekcji, jakiej doznali Żydzi, i z osłabienia w wielu krajach po ostatniej wojnie tendencji antysemickich, i wreszcie w powstania państwa izraelskiego: jest naturalne iż Żyd o silnym poczuciu narodowym emigruje do Izraela, a jego rodak pozostający w swej dawnej ojczyźnie skłania się do asymilacji. W Wielkiej Brytanii jest w tej chwili osiem razy więcej Żydów niż w Polsce (oto wstrząsający wyraz statystyczny tragedii przeżytej przez wiek dwudziesty), a tylko cząstka używa żargonu w życiu codziennym.

W Europie Środkowej, rządzonej przez komunizm, a zwłaszcza w opanowanej przez Rosję Europie Wschodniej dopełnił reszty ukryty antysemityzm sowiecki. Polityka stalinowska zniszczyła teatry i wydawnictwa żydowskie, w latach 1948-1954 w podobny sposób coraz bardziej ograniczano życie kulturalne Żydów w Polsce; teatr Kamińskiej, grający głównie we Wrocławiu, był instytucją na pokaz. Widownia tego teatru kurczy się i dziś, wskutek emigracji do Izraela, wyjazdów Żydów z dawnych obszarów niemieckich do Niemiec Zachodnich i pod wpływem wypierania żydowskiego w młodszym pokoleniu przez język polski. O dokonujących się przemianach świadczy chociażby fakt, że w nazwiskach członków zespołu pełno już imion polskich (Michał, Karol, Andrzej itp.) oraz nazwisk polszczonych w pisowni i w brzmieniu. Znaczenie jednak teatru polega nie tylko na podkreślaniu samym swym istnieniem oficjalnego stosunku państwa do antysemityzmu, ale wynika przede wszystkim stąd, iż jest to jeden z dwóch ostatnich teatrów żydowskich istniejących jeszcze w Europie. A ponieważ ów drugi jest w Bukareszcie, tylko teatr Kamińskiej może jeszcze zaprezentować autentyczny repertuar i dawną kulturę żydowską.

Żydowską literaturę teatralną krępował rozdział między językiem potocznym, a językiem zachowywanym dla religii i nauki. Mimo to pozostały ślady widowisk quasi teatralnych, urządzanych na purim, nieliczne teksty sztuk i moralitetów opartych na tematach biblijnych, wspomnienia o stałej scenie w Mantui na przełomie XV i XVI wieku. Właściwy rozwój teatru zaczyna się dopiero pod koniec XIX wieku w miarę jak żydowski wznosi się do rangi języka literackiego. Pierwszą poważną sceną jest teatr Abrahama Goldfegena, założony w 1876 roku. Podczas pierwszej wojny światowej rozkwita teatr w zniszczonym dziś, słynnym ośrodku kultury żydowskiej w Wilnie, gdzie gra Estera Rachela Kamińska (matka Idy, babka znanego aktora amerykańskiego, Dany Kaye'a). W 1918 roku Maurycy Schwartz zakłada w Nowym Jorku żydowski Teatr Artystyczny, a w

Moskwie rewolucja sprzyja powstaniu Moskiewskiego Żydowskiego Te
Kameralnego. Prowadzi go Aleksander Granowski, a czołowym jego art
jest Salomon Michoels. Są to czasy najwyższych osiągnięć sztuki aktorsk
którym — trzeba szczerze powiedzieć — obecny teatr polski prawdopo
nie nie dorównuje.

Dramat żydowski zaczyna w tym czasie zdobywać sceny europejs
Repertuaru dostarczył mu przede wszystkim Goldfaden, niestrudzony
tłumacz i autor, spod którego pióra wyszło ponad 400 sztuk. Później zjaw
się sztuki An-skiego, Pińskiego, Szalom Asza, Singera. „Dybuk", „
lem" i „Josie Kalb" są sukcesami najlepszych scen.

Powojenne ubóstwo życia żydowskiego w Europie, zanikanie języ
wysunięcie się na pierwszy plan „Habimy" i zespołów hebrajskich nad
teatrowi Kamińskiej pewien melancholijny, nostalgiczny urok. Wystąpił
najsilniej w przeróbce powieści E. Orzeszkowej „Meir Ezofowicz". St
rabini wynurzają się tam z rembrantowskich półcieni, poważni, dostojni, z
pujący ku ziemskim namiętnościom ze świata mistycznych zamyśleń; młodz
żydowska marzy przy dźwiękach skrzypiec o innym, odmiennym świecie
pozcierającym się poza ghettem, wiążącym ich niewidzialnymi murami.
to kraina Chagalla, nostalgicznych motywów pobrzmiewających w muz
nowoczesnych kompozytorów francuskich żydowskiego pochodzenia.

Powieść Orzeszkowej z konfliktem dwóch pokoleń, starych i now
idei, tajemnicą spadku duchowego po świętobliwym rabinie, miłością sier
scenami sporów religijnych w synagodze, zakończona odejściem reforma
z ojczystego miasta w towarzystwie jedynego ucznia jest dla sceny m
riałem na dramat poetycki, potęgujący przede wszystkim atmosferę śro
wiska i roztaczający kolejne łuki tradycji, obejmującej całe istnienie t
ludzi. Albo też materiałem dla Brechta, do scen podkreślających wal
odwagę, przesądy, oportunizm. W obu wypadkach rozległy materiał pov
ściowy wymaga kondensacji i zaostrzenia efektów dramatycznych. Pr
narracyjnego ujęcia dzieła Orzeszkowej musi zawieść na scenie wobec j
rozmiarów i bogactwa wątków. Przeróbka I. Kamińskiej, oparta na poprz
niej, udanej adaptacji radiowej staje się na scenie fragmentaryczną kron

Kamińska, doskonała jako prababka, powierniczka rodowych tajem
daje piękne studium rodzajowe starej kobiety, zdradzonej przez dzi
w sztuce J. Gordona „Mirele Efros". Mirele jest bogatą wdową, zgadza
się na ożenek starszego syna z piękną, ale ubogą Szeindek. Czekająca
swą godzinę córka małomiasteczkowego kombinatora przy pomocy rodzic
naiwnego szwagra, opętanego miłością męża wydziera teściowej jej maj
i doprowadza ją do opuszczenia domu. Gordon napisał tę sztukę w o
nich latach ubiegłego stulecia jako przeniesienie na postać kobiecą te
żydowskiego Króla Leara, z myślą o znakomitej aktorce, matce obecnej
twórczyni tej roli. Ida Kamińska tworzy portret pełni życia, rozwija g
surowej powagi pierwszych scen, poprzez rosnące zrozumienie zwycię
cej starości, aż do końcowej sceny triumfu, przychodzącego już zbyt p
aby ze staruszki wydobyć tę iskrę życia, jaka ożywiała dawniej majestat
ną, dyktatorską, świadomą swej władzy „właścicielkę".

Pierwsza scena, w reżyserii Kamińskiej, w bardzo dobrych dekorac
E. Grajewskiego, powraca nas, ceremonią zaślubin, śpiewem „El M
Rachnim", prawie w atmosferę czasów Jankiela. Poprzez malowidło żyd
skiego życia prześwieca kanwa polskiej wsi.

Obok Kamińskiej, należącej do pokolenia wspaniałych dam naszego teatru, jak Przybyłko-Potocka czy Ćwiklińska, zwraca w zespole uwagę Ketti Efron (młoda żona), oraz Chewel Buzgan. Gra on typowego żydowskiego biedaka w zręcznie ułożonym cyklu obrazów dramatycznych, powstałych z połączenia kilku znakomitych nowel Szolem Alechema. Jest to najwymowniejsza („Tevie der Milchiger" — „Mleczarz Tevie") z trzech sztuk, pokazanych przez zespół Kamińskiej, gdyż osią akcji jest sytuacja biedy czyniąca ludzi ofiarami złego losu, bez względu na ich wysiłki. Co więcej, specyficzny, podszyty goryczą i masochizmem, dowcip żydowski rzuca ironiczne światło na losy Milchigera, ujawniając sekret humoru jego narodu: jest to samoobrona przed wieczną czernią dramatu, ocalenie z pogromu radości życia i irracjonalnej wiary w „szczęście" ludu wybranego, a częściowo — przyjmowanie barwy ochronnej.

Jeżeli „Meir Ezofowicz" zyskałby na innym ujęciu, „Tevie der Milchiger" właśnie dzięki domieszce nuty satyrycznej, epizodyczności treści, wprost prosi się o zastosowanie metody Brechta. Unowocześnione — mogłoby to być świetne widowisko. Ale teatr żydowski z Polski trzyma się tradycji realistycznej, spełnia rolę nieco muzealną zachowując kształt minionego życia. Ten brak witalności rzuca dodatkowy cień smutku na jego niewesołych bohaterów i podkreśla rolę tej sceny — jako ostatniego teatru żydowskiego Europy Środkowej. Tym bardziej dobrze, że można go było zobaczyć, z udziałem Idy Kamińskiej która w jakiejś hipotetycznej inscenizacji „Pana Tadeusza" byłaby wspaniałą żoną Jankiela, wybijającego na cymbałach rytm poloneza.

Zdzisław BRONCEL

Teatralna przygoda

Plan wielkiej przygody teatralnej narodził się w Hollywood. Szło o stworzenie takiego teatru, który by dotarł do każdego polskiego ośrodka w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Trudności były ogromne: przygotowanie repertuaru, sceny i dekoracji, transport, organizowanie przedstawień reklama, wreszcie przestrzeń obliczona na tysiące kilometrów.

Leonidas Dudarew-Ossetyński z pewnością zorganizował najmniejszy teatr na świecie. Kompletowanie zespołu ograniczył do jedynej aktorki, Lidii Próchnickiej, którą sprowadził z Chile. Dwuosobowy team wyruszył na długą włóczęgę, która trwa już 18 miesięcy. Program tego dziwnego teatru pt. „Od Fredry do Powstania", całkowicie opracowany i wyreżyserowany przez Ossetyńskiego, składa się z dwuch pełnych jednoaktówek: Fredro i Rittner. Dialogu Hemara. Poezji Norwida, Lechonia, Wierzyńskiego i Jasińskiego. Ossetyński świadomie zrezygnował ze zwyczajowego podkreślania akcentu patriotycznego, który wybucha jedynie w zakończeniu przedstawienia, w powstańczych strofach Jasińskiego, w interpretacji Próchnickiej.

Trasa prowadziła przez Arizonę, Texas, Ohio, Illinois, Michigan, dianę, Kansas itd., by dotrzeć do Manitoby w północnej Kanadzie.

Na tej trudnej drodze wynoszącej 40.000 kilometrów, która nie zaw biegła nowoczesnymi autostradami, było kilkadziesiąt przystanków, a wśr nich takie, których nie przewidywał teatralny rozkład jazdy. Teatr Osset skiego bowiem jest naprawdę jedynym teatrem na świecie, który nie sie na miejscu i nie czeka na publiczność, ale szuka swojego widza i gra dla n go nawet pod gołym niebem. Artyści wraz z całym dobytkiem jadą star samochodem, który z fantazją dociera wszędzie gdziekolwiek żyją Pola

Impreza ,,Od Fredry do Powstania" ma już swoją historię, znaczo obszernymi recenzjami i artykułami nie tylko w prasie polskiej ale w am rykańskiej i kanadyjskiej, licznymi listami do redakcji tutejszych pism, a n wet polemiką i dyskusją. Przyszły badacz polskiego dorobku kulturalne w Ameryce nie będzie mógł pominąć romantycznej drogi, którą przemierz najmniejszy teatr na emigracji.

Julian DOBROWOLSKI

Książki

Przedwojenna polityka w oświetleniu niemieckim

Pojawienie się książki Hansa Roosa jest zdarzeniem niezwykłym. Jest to pierwsze krytyczne i oparte na całości dostępnych źródeł przedstawienie przedwojennej polskiej polityki zagranicznej: dotychczas mieliśmy w tej dziedzinie do czynienia, zarówno u swoich jak u obcych, z pamfletami, skreślonymi dla celów stronniczych. Czas był na próbę opracowania badawczego, z zastosowaniem metod i sprawdzianów naukowych. Dzieło dra Roosa jest taką próbą, dokonaną z powodzeniem.

Dwie cechy nadają szczególną wartość tej książce. Jedna — to zakres i sposób traktowania źródeł. Dotychczasowe opracowania anglosaskie, włącznie z rzekomo wyczerpującymi Przeglądami brytyjskiego Królewskiego Instytutu i amerykańską historią przede dnia wojny profesorów Langera i Gleasona, nie uwzględniają wcale źródeł polskich; dr Roos wykorzystuje je w całości, aż do ostatnich, i jego lista książek polskich zawiera 35 pozycji, prócz licznie cytowanych czasopism. Przy tym źródła przytaczane są szczegółowo, z dokładnym podaniem odnośnych miejsc, co jest niezbędne ze względu na ich mnogość i na ewentualne kontrowersje. Studiujący historię współczesną mają w ten sposób możność każdorazowego sprawdzenia faktów i tekstów (1).

Hans Roos, *Polen und Europa,* Studien zur polnischen Aussenpolitik 1931-1939. Tübinger Studien zur Geschichte und Politik. 1957. J.C.B. Mohr Paul Siebeck), Tübingen. Str. XI, 421.

(1) Wśród zużytkowanych przez autora źródeł znajdują się nie tylko rudno dostępne *Polnische Dokumente* (1940) i *Prager Akten* (1941), ale ównież nieznane dotychczas części archiwów Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z Warszawy, odnalezione widocznie w Niemczech, między innymi cały *dossier* spraw ukraińskich o największej historyczno-politycznej wadze.

Drugą cechą książki o ,,Polsce i Europie'' jest jej spokoj rzeczowy ton i obiektywny sąd. Każdy z piszących o tej trag nej i niszczącej wszelkie walory ludzkie epoce zna momenty n cierpliwości, powstrzymuje z trudem cisnące się wyrazy ża gniewu, potępienia. W tych warunkach niezmiernie trudno je nawet postronnemu, zachować trzeźwość oceny i spokojny t Polacy nawykli już znajdować w literaturze historyczno-polity nej Francji, Anglii, nawet Ameryki, zbyt pośpieszne o nich sa i zbyt łatwo ferowane wyroki; poza tym — na pochyłe drze każda koza skacze. Jest tedy rzeczą raczej nieoczekiwaną, a w podwójnie przyjemną, znaleźć u niemieckiego historyka stara o bezstronność i pełne zrozumienia traktowanie zjawisk, lu i zagadnień polskich.

Pierwsza część książki poświęcona jest końcowym lat i działaniom Piłsudskiego, którego von Seeckt, jeden z czo wych wojskowych niemieckich, porównywał z Fryderykiem Wi kim (2). Autor rysuje z drobiazgową dokładnością ostatnie pla wojenne polskiego wodza — o ile w ogóle jest rzeczą możli rekonstruować jego zamierzenia. Między tymi planami najgł niejszy się stał zamysł tak zwanej ,,wojny prewencyjnej'' pr ciw Niemcom, między rokiem 1932 a 1934. Dr Roos zestaw cały materiał dotychczas dostępny w tej sprawie, w szczeg ności przygotowania wojskowe Piłsudskiego i wiadomości, jal o nich otrzymał sztab i rząd niemiecki — nie żywi też żadny wątpliwości co do samego faktu inicjatywy Piłsudskiego. N był to projekt ,,wojny prewencyjnej'', jak to później formu wano fałszywie (3): nie pozwalały na to ani zasady polityki p skiej, ani przynależność Polski do Ligi Narodów. Było zwrócenie się na drodze najpoufniejszej do Francji o współ akcję, najpierw dyplomatyczną, następnie zapobiegawczo-w skową, przeciw tajnemu dozbrojeniu i jawnemu rewizjonizmo Niemiec. Inicjatywa ta spotkała się z dwu- czy trzykrotną odn wą Francji, zaś Niemcy powzięli konkretną o niej wiadom z niedyskrecji francuskich.

Zdaniem autora doniosłe kroki Piłsudskiego nie tylko nat fiły na nieprzezwyciężone przeszkody, ale skończyły się w zna nej mierze niepowodzeniem. Akcja wykonana w porcie gdańsk przez kontr-torpedowiec ,,Wicher'' (czerwiec 1932) spotkała w Genewie z przestrachem francuskiego sojusznika i ze słabą roną min. Zaleskiego, co przyczyniło się do jego dymisji. Zaję Westerplatte (marzec 1933), mimo że przewidziane w uprawn

(2) Cytata na stronie 9, według Rathenau'a w jego dziele *Seeckt, A seinem Leben*, Leipzig 1940.

(3) Str. 65: ,,Einen echten 'Praeventivkrieg' — unter diesem Na sollte seine Initiative spaeter bekannt werden — sah er allerding nicht vo Analogiczną opinię, całkowicie zgodną ze zdaniem dra Roos'a, wypowia dotychczas autor słów niniejszych, znający od czasów dawniejszych met Piłsudskiego. Roos określa tę, według niego ,,typową'' dla Piłsudski metodę: ,,politischen Druck mit militaerischen Mitteln zu begegnen'' 38, przypis).

niach portowych Polski, wywołało akcję brytyjskiego sekretarza spraw zagranicznych, Sir John Simon'a przeciw Polsce i gwałtowną interwencję dyplomacji francuskiej w Genewie i Warszawie: Piłsudski zmuszony był częściowo wycofać się z rozpoczętej akcji (4). Francja pozostała głucha na dalsze sondaże Piłsudskiego, zaś Hitler postanowił „niebezpieczeństwu wojny prewencyjnej przeciwstawić swą ofensywę pokojową". „Chce się tym ludziom wojny? — powiedział wtenczas do Rauschninga — dobrze, będą ją mieli. Ale wtedy, gdy ja zechcę" (5).

Pomimo tych częściowych niepowodzeń, widzialnych dopiero z historycznej perspektywy, pozycja Polski w dobie zgonu Piłsudskiego była czasowo zabezpieczona. Wykorzystany został moment zagrożenia Rosji przez działania Japonii na Dalekim Wschodzie i zawarto z Z.S.S.R. układy o nieagresji. Mimo francuskich prób rozluźnienia zobowiązań względem Polski sojusz z Francją został utrzymany, a równocześnie zacieśniono przymierze z Rumunią. W tych warunkach ograniczone porozumienie z Niemcami nosiło cechy rozejmu korzystnego dla stron obu. Piłsudski nie ufał ani w jego trwałość, ani w bezwarunkowe znaczenie; nie dał się wciągnąć w rozmowy przeciw Rosji, ani skompromitować wspólnictwem z Hitlerem; przeciwnie, odciął siebie i Polskę od „azjatyckich cech w koncepcji państwowej Hitlera, karmionej poniekąd na sowieckich wzorach"; trafnie ostrzegał przed „przeciągnięciem struny" w dyktaturach i ocenił, „zapewne pierwszy w Europie całą doniosłość" jego następstw (6).

W niedostatecznym może stopniu uwydatniony został przez dr. Roosa brak wszelkich danych na to, aby Piłsudski w latach 1931-1932 nosił się z zamiarem agresji wojennej przeciw Repu-

(4) Autor wymienia (str. 65) zarządzenia wojskowe Piłsudskiego (*Aufmarsch*), równoczesne z desantem na Westerplatte. Koncentracja obejmowała tereny: między Gdańskiem a Toruniem, a w szczególności trójkąt Starogard-Tczew-Gdynia.

(5) Autor podkreśla (str. 82) ultymatywny charakter zapytania postawionego Hitlerowi przez Wysockiego w rozmowie 2 maja. W tymże czasie otrzymał rząd Rzeszy pierwsze konkretne informacje o propozycjach zapobiegawczych skierowanych do Francji przez Piłsudskiego: pod wpływem tych wiadomości i w obliczu zupełnego wojskowego braku gotowości Niemiec Hitler się ugiął.

(6) W jednym z najsubtelniej sformułowanych ustępów swej książki dr Roos (str 113 sq.) daje porównanie Piłsudskiego z Hitlerem. „Otwarcie mówił (Piłsudski) do Rauschninga: 'pan Hitler zbyt wiele ryzykuje' i zauważył, że sąd jego dotyczy nie tylko polityki zagranicznej. Piłsudski uważał za szkodliwe i niezrównoważone niepohamowanie dyktatury i przeciwstawiał mu swą własną oględność w sprawowaniu władzy, a przede wszystkim swoje odmienne zakreślenie celów. Jemu chodziło o wychowanie swego narodu — i to nie w tym znaczeniu jakie mu nadawał Hitler, ustanowienia nieograniczonego samowładztwa, lecz w sensie uzdrowienia duchowych następstw rozbiorów i ukrócenia swawoli, która stanowiła podłoże umożliwiające rozbiory. Nie zważając na swą awersję do parlamentaryzmu, uznawał on demokrację...".

blice weimarskiej, w szczególności aby zamyślał zajęcie
Wschodnich. Wszelkie odnośne, sztabowe i polityczne ala
niemieckie, wraz ze szczytowym ich momentem — rapo
majora Otta na radzie gabinetowej von Papena — noszą c
wewnętrznych rozgrywek o władzę w samych Niemczech (7)



Odblask rozumu Józefa Piłsudskiego pada jeszcze na pi
sze działania polityki polskiej po jego zgonie. Dr Roos z
sobie sprawę z trudności, w jakich znalazł się minister B
w marcu 1936, w obliczu okupacji Nadrenii, i oddaje pełną s
wiedliwość jego umiejętności. Beck chciał utrzymać so
z Francją, ale odgadł że Francja nie zareaguje na akcję Hitl
że do wojny skutkiem tego nie dojdzie, wobec czego nie ch
nadwerężyć stosunków z Niemcami. Oferta wypełnienia zo
wiązań sojuszniczych była tajna i nawet Hitler by się o
nigdy nie dowiedział, gdyby nie późniejsze niedyskrecje fr
cuskie.

Druga część książki o Polsce i Europie poświęcona
polityce Becka i po raz pierwszy ukazuje czytelnikom niej
skim zasadniczą jej koncepcję : nie była to, jak mniemano
Zachodzie, ekwilibrystyka — utrzymanie chwiejnej równow
pomiędzy dwoma głównymi sąsiadami : była to myśl tworze
i zorganizowania „trzeciej Europy", czy też „Międzymorz
obszaru wolnych narodów, rozciągniętego z jednej strony
kraje bałtyckie, z drugiej — po Rumunię, Węgry, może na
Turcję. Tej koncepcji nigdy nie zrozumiała, wiedziona tęp
rusofilstwem, dyplomacja francuska i to było jednym z po
dów nierealności sojuszu francusko-polskiego. Ale ta koncep
była wykonalna jedynie w warunkach pokoju, i dlatego włas
Polska prowadziła do końca politykę konsekwentnie pokojo
czego nawet dr Roos zdaje się niedoceniać.

Można by zastrzec, że utrzymanie pokoju, będące war
kiem podstawowym w planach Becka, stało się nierealne z ch
lą, gdy główni partnerzy Polski na szachownicy Europy wsch
niej, Hitler i Stalin, wzięli sobie za cel wywołanie wojny. Au
„Polski i Europy" wysuwa inną, niemniej ważką obiekcję : P
ska była jeszcze zbyt słaba, zarówno militarnie, jak gospodar
Z chwilą gdy w 1933 zakończony został pierwszy plan pię
letni w Rosji i potencjał zbrojeniowy sowiecki zaczął p
wyższać Polskę. W dwa lata potem, gwałtowne dozbroj
Rzeszy wyrównało, a niebawem prześcignęło Polskę, która o
stała się słabsza od każdego ze swoich sąsiadów, a bezs
w razie ich połączenia. Polskie plany — realizowany od r
Centralny Okręg Przemysłowy — pozostawały w tyle i
progresją arytmetyczną, wobec progresji geometrycznej sa

(7) Por. moją rozprawę *Niemcy po wielkiej przegranej*, str. 9 sq.

dów, raczej cofały niż potęgowały stosunkową siłę państwa. Budżet wojskowy, stanowiący 35% ogólnego, wynosił mniej niż same tylko wydatki miasta Berlina. Pomoc francuska przyszła za późno i była bezskuteczna (8). W tych warunkach sama koncepcja „Trzeciej Europy" była planem na wyrost, pozostawała pobożnym życzeniem i ani jeden z jej realnych członów — Unia bałtycka czy zrzeszenie ze Słowacją, granica wspólna Polski z Węgrami czy zbliżenie Węgier z Rumunią — nie mogły dojść do skutku bez pomocy, a nawet decyzji obcej. „Na zagranie rzeczywistej, przewodniczej roli, Polska, w obliczu niemieckich i sowieckich zbrojeń, była zbyt słaba. Jej czasowe znaczenie polegało na 'aksjomatycznym' przeciwieństwie niemiecko-sowieckim, a nie na własnej sile. Beckowi groziło niebezpieczeństwo, że zapomni o ostrzeżeniach Piłsudskiego i 'przeceni zdatność instrumentu', którym mu przyszło operować".

W starannie odważonej opinii Roosa „przecenienie własnej siły stanowiło niewątpliwie błąd kardynalny w politycznej kalkulacji Becka. Jednakże najostrzejsze zarzuty autor stawia, zarówno ministrowi, jak poniekąd całej polityce polskiej, w sprawie Czechosłowacji. Tutaj pomawia nawet Piłsudskiego o planowanie, w okresie układów prowadzonych z Niemcami, rozbicia Czechosłowacji, przypisuje mu „dogmatyczną" wiarę w nieżyciowość tego państwa, dostrzega w tym „niebezpieczną moralną *affinité*" z Hitlerem, a nawet współodpowiedzialność za „francusko-czechosłowacko-sowieckie zbratanie z maja 1935". Otóż polityka Piłsudskiego, jak ją sam dr Roos przedstawia, była obca wszelkiemu dogmatyzmowi, na porozumiewanie się z Hitlerem w sprawie Czech nie ma, aż po rok 1938, żadnych danych, zaś układy Francji i Czechosłowacji z Sowietami wynikły z paniki wobec dozbrojenia Niemiec, a nie z rozważań o polityce polskiej. W przeciwieństwie do innych rozdziałów „Polski i Europy", ustępy poświęcone stosunkom polsko-czeskim zaczerpnięte są niemal wyłącznie z kampanii rozpętanej w tej sprawie na Zachodzie; ze źródeł zaś polskich traktowana jest poważnie akcja publicystyczna Studnickiego, której autor skłonny jest przypisać inspirowane znaczenie. Dr Roos zapomina, że tak w Anglii jak we Francji tym łatwiej oskarżano Polskę, im trudniej było oskarżać samych siebie. Polityka Becka w kryzysie monachijskim nie była wzorem ani umiejętności, ani etyki; ale, aby o niej sądzić, należy pamiętać o Beneszu, i to nie tylko o pierwszej, wersalskiej jego fazie, ale także o późniejszej — o stałym, konsekwentnym planowaniu i intrydze — z Rosją, z Ukraińcami, z komunizmem — z każdym wrogiem Polski na międzynarodowym polu. Cała ta akcja, aż do późniejszego igrania ze Stalinem, czeka jeszcze na swego historyka; w jej zaś

(8) Pozostaje dziwną rzeczą, że stosunki finansowe polsko-francuskie nie doczekały się dotąd wyczerpującej monografii. Co do pożyczki z Rambouillet (sierpień 1936) to, jak słusznie dr Roos przypomina, została ona zdewaluowana, zaliczona częściowo za przeszłość i w końcu wpłacona Polsce w ograniczonej tylko kwocie.

osnowie nie podobna jest zapominać o snującym się przez c
ten czas zakulisowym czynniku, którego autor ani razu
wspomina : o mafijnych związkach.

Kto więcej, Polska czy Hitler, skorzystał na sześciolet
między nimi rozejmie? I jakie były istotne intencje Hitlera wz
dem Polski ? Na te pytania autor nie daje ostatecznej odpowie
Na podstawie całości zgrupowanego w jego dziele mater
można myśleć, że nie było nic istotnego w polityce hitlerowsk
prócz zmiennych odruchów, pożerającej wszystko ambicji i
woli w ogóle — względem wszystkich ludzi i narodów. Zmi
widoczna — w intencjach a może i w planach — zaszła
chwili śmierci Piłsudskiego : odtąd Hitler zamierzył uzale
Polskę od Niemiec w każdym wypadku — czy to przez soju
czy przez podbój. Dr Roos zwraca uwagę na uderzający a 1
wcześniejszy symptom takich dążeń : tajną wymianę not z
ponią z października-listopada 1936, z okazji zawarcia pa
Anti-Komitern. Rzesza zastrzegała tam sobie nawrót do um
niemiecko-sowieckich, paktów z Rapallo i Berlina, rozgranic
jąc tym sposobem walkę z komunizmem od stosunków mię
rządami państw. W świetle tej klauzuli, nieznanej Polsce, p
pozycje stawiane jej przez Hitlera i Ribbentropa przystąpie
do Anti-Kominternu i współdziałania przeciw Rosji sowiec
wyglądają na wciąganie jej w pułapkę. Dodać przy tym nale
że zarówno Urząd spraw zagranicznych na *Wilhelmstrasse*
sztab i dowództwo niemieckie patrzyły przez cały czas krzyw
okiem na porozumienie polsko-niemieckie i żałowały ,,zerwan
drutów'' z Rosją. Hitlera pozycja była pod każdym względ
dwuznaczna.

Rozejm polsko-niemiecki nie mógł tedy zamienić się
w pokój trwały, ani w istotne zabezpieczenie. Piłsudski nie m
w tej mierze złudzeń; Beck, jeśli takowe żywił, stracił je
wykryciu złowrogich tonów w rozmowie w Berchtesgad
w styczniu 1939. W istocie, na czym polegał sens sugerowa
w dalszym ciągu, po śmierci Piłsudskiego, wspólnej wo
z Rosją sowiecką ? — na łącznej penetracji Ukrainy, na pchn
ciu Polski nad Czarne Morze, które jak mówił Ribbentrop, b
tak samo jak Bałtyckie morzem. Takiemu pochodowi towar
szyłyby z boku i z tyłu wojska niemieckie, liczniejsze i le
wyposażone od polskich, a kondominium powstałoby w ma
ukraińskiej i nie byłoby już wyzwoleniem Ukrainy, jak zamie
dawniej Piłsudski. Z drugiej strony zbliżenie z Polską tra
dla Hitlera całe swe znaczenie bez umożliwienia mu dostępu
ukrainnego *Lebensraumu*.

Podobnie, acz w mniejszej skali, przedstawiały się pro
zycje *Gesamtloesung* z października-listopada 1938 i stycz
1939, włączenia Gdańska do Niemiec i przeprowadzenia zmec
nizowanego ,,korytarza przez korytarz''. Jak to subtelnie
Roos przedstawia, propozycje te, same w sobie, i porówn
z rewindykacjami Weimaru, były umiarkowane, i były wynik
skłonienia się Hitlera na stronę grupy doradców, pragn

utrzymania pokoju z Polską (9). Ale, jak trafnie dalej autor wywodzi, samo postawienie tych żądań było w stosunku do dotychczasowych zapewnień Hitlera wiarołomstwem, zaś przyjęcie ich oznaczało danie głowy w jarzmo. Hitlerowi bowiem nie chodziło o „korytarz", ani o Gdańsk. Dla niego „czas nadszedł, aby niepodległą dotychczas Polskę za pomocą ścisłych powiązań traktatowych włączyć do planowanego przezeń a prowadzonego przez Niemcy systemu *Mitteleuropy*".

Z tą trzeźwą i obiektywną analizą łączy autor bezwzględne potępienie polityki Becka. Może i tutaj nie umie się on wyswobodzić spod wpływu zawistnych osądzeń przez zainteresowanych Anglików i Francuzów. Zarzuca Beckowi, że przez swój obłędny pościg za „widmem Trzeciej Europy" nie docenił bezpośrednich niebezpieczeństw, a przez jadowite zwalczanie Czechosłowacji otworzył śluzy i zerwał tamy, broniące także i Polski. Te zagadnienia, oddalając się od nas i wchodząc w zakres historycznych badań, nie przestają być aktualne i nie przestaną trapić sumień. Sąd o kalkulacjach Becka nie będzie jednak ani pełny, ani sprawiedliwy, jeżeli nie uwzględni innych czynników — polityki angielskiej i francuskiej, oraz dominującego nad wszystkim szaleństwa Hitlera. Było ono zjawiskiem w dziejach tym osobliwszym, że nie ślepym, ale połączonym z jasnowidztwem i tym bardziej wstrząsającym, że pod gruzami burzonego przezeń świata pogrążyło sprawcę. Próżno jest i tutaj historię zawracać wstecz i pytać, czy Piłsudski dojrzałby zawczasu tę grozę, tak jak jasno ocenił jej początek. Beck zbyt długo jej nie widział i nie zdał sobie sprawy z nieobliczalnych następstw.



Dzieło o „Polsce i Europie" winno być przetłumaczone i z ewentualnymi komentarzami udostępnione czytelnikom polskim. Byłby to równocześnie wyraz uznania dla autora za jego ludzkie i pełne zrozumienia podejście do trudnych po dziś dzień spraw.

Michał SOKOLNICKI

---

(9) Według dra Roos'a w grudniu 1938 dwa kierunki walczyły o przewagę w Berlinie. Z jednej strony Ribbentrop, wspierany przez Forstera, pragnął ostrej rozprawy z Polską. Z drugiej Goering, Himmler i Koch — ten ostatni ze względu na plany ukraińskie — byli za umiarkowanym kursem i kładli ciężar żądań na postulaty gospodarcze, Hitler, w części pod wpływem japońskiego ambasadora Oshimy, zdecydował „uwzględnić interesy Polski" (str. 390 sq.).

O socjologii i socjologicznych czasopismach

Prof. Kotarbiński, prezes PAN, w wywiadzie udzielo „Po Prostu" (4/57) przedstawił ogólny obraz powolnej na wy organizacji nauki w Polsce oraz odradzania się woln nauki. „W zakresie własnej obserwacji", oświadczył prof. tarbiński, „na terenie szkolnictwa wyższego, towarzystw nau wych, instytucji wydawniczych — widzę olbrzymi postęp tym względem. Po prostu przestaje się odczuwać nacis Omawiając w szczególności stan nauk humanistycznych p Kotarbiński dodał, iż na tym terenie sprawy wyglądają rozn cie. Na przykład jeśli chodzi o językoznawstwo, nie ma powo do żalów i niezadowolenia. Rozwija się ono normalnie, ugr towuje i rozszerza swą międzynarodową reputację. Albowiem zykoznawcy nigdy nie ogłosili kapitulacji — „kiedy był nac nasi koryfeusze się nie poddali". Natomiast jeśli chodzi o ca badań kultury, stan obecny nie przedstawia się najlep „Przeżywamy", powiedział prof. Kotarbiński, „okres od żenia po zaprzestaniu ucisku".

II

Socjologia, jedna z nauk niszczonych w ubiegłym okr ze szczególną zawziętością, poczyna ożywać po siedmiu lat podziemnego bytowania. W 1949 roku przestał wychodzić „P gląd Socjologiczny", katedry socjologiczne w Warszawie, Ło Poznaniu, Krakowie, Wrocławiu, zmieniły nazwę i przest kształcić socjologów, Polski Instytut Socjologiczny (zrzesze socjologów prowadzących prace badawcze i dydaktyczne w rodkach uniwersyteckich) zawiesił swą działalność, a na termin „socjologia" — prócz użycia w zwrocie „socjologia b żuazyjna", synonimie rzeczy zdrożnej i kontr-rewolucyjnej wycofany został z obiegu. Socjolodzy, którzy utrzymali się przemianowanych katedrach, przestawić się musieli na bada z zakresu historii myśli społecznej i historii kultury. Socjolo można było uprawiać tylko prywatnie i pokryjomu.

Zakreślenie tego tła było rzeczą niezbędną dla uwypukle osiągnięć „okresu odprężenia". Termin „socjologia" odzy prawo obywatelstwa. Dawne poglądy na „socjologię burżua ną" — twierdzą to obecnie również jej prześladowcy — b

wynikiem podporządkowania nauki ideologii. Podczas gdy socjologia marksistowska uległa petryfikacji, badania socjologiczne w całym świecie dokonały wielkiego postępu i bez uznania ich dorobku nie jest rzeczą możliwą rozwinięcie nowoczesnej szkoły marksowskiej w socjologii. Ponieważ tezy tej teorii podlegać muszą normalnej naukowej weryfikacji, podział na socjologię marksowską i niemarksowską pozbawiony jest sensu. Istnieje po prostu socjologia, a w jej ramach jest miejsce na kierunki i szkoły, z których jedną stać się może szkoła marksowska.

W ślad za rehabilitacją badań socjologicznych rozpoczęła się żywa działalność nad odbudową organizacji tych badań, pracy dydaktycznej i wydawniczej. W połowie ubiegłego roku powołano do życia sekcję socjologiczną w ramach Towarzystwa Filozoficznego (1), wznowił działalność Polski Instytut Socjologiczny, Komitet Filozoficzny PAN przekształcony został na Instytut Filozofii i Socjologii PAN, katedry historii myśli społecznej odzyskują swe dawne miano i stają się ośrodkami nauczania i socjologicznej pracy badawczej. Instytut Filozofii i Socjologii PAN obejmuje trzy zakłady socjologiczne, mianowicie Zakład Badań Socjologicznych, Zakład Teorii Kultury i Przemian Społecznych oraz Zakład Historii i Teorii Moralności. W ramach działalności tych zakładów prowadzone są badania nad przekształceniami klasowymi oraz przemianami kulturalnymi i moralnymi w Polsce. Były one już rozpoczęte wcześniej, lecz „przyciągnięcie do pracy w Instytucie na kierowniczych stanowiskach przedstawicieli starszej kadry socjologów oraz zatrudnienie pracowników z wykształceniem socjologicznym rokuje nadzieje odpowiedniego poziomu pracy badawczej" (Myśl Filozoficzna, 1/57, p. 267; zob. Nauka Polska 4/56, p. 202 n.).

III

Odżył „Przegląd Socjologiczny" oraz ukazał się pierwszy numer nowego czasopisma „Kultura i Społeczeństwo". Redaktorem obu jest Józef Chałasiński, a współpracownicy rekretują się głównie z ośrodka łódzkiego z Janem Szczepańskim na czele. Łódzki ośrodek socjologiczny przetrwał „okres nacisku" w najbardziej zorganizowanej formie i nie był nigdy całkowicie pozbawiony możliwości publikacji (2). Tarczę ochronną ośrodka

(1) Tego pierwszego wyłomu dokonano korzystając ze szczęśliwego biegu okoliczności, iż nawet ówcześni ideologiczni wrogowie socjologii potrzebowali legitymacji uzasadniającej udział polskich uczonych w pracach UNESCO, International Sociological Association (S. Ossowski jest obecnie członkiem komitetu wykonawczego I.S.A.) i innych międzynarodowych instytucji (zob. Nauka Polska, 2-3/56, p. 326).

(2) Ośrodek łódzki wydawał w latach 1950-1956 „Przegląd Nauk Historycznych i Społecznych", którego ukazało się sześć tomów. Ponadto w serii „Prac z Historii Myśli Społecznej" Uniwersytetu łódzkiego wydano sześć monografii i prac zbiorowych . Ich pełny spis wraz z wykazem treści „Przeglądu Nauk Historycznych i Społecznych" znaleźć można w XI tomie „Przeglądu Socjologicznego".

łódzkiego stanowił Chałasiński, którego rola w czasach „of sywy ideologicznej" miała dwa oblicza. Chałasiński zyskał gdyś miano „Napoleona polskiej socjologii". W latach ubiegł dodał doń tytuł Claudiusa, którego pewien pisarz-historyk prz stawił jako Cezara przygotowującego potajemnie odbudowę re bliki. Sprawdzianem szczerości tej ostatniej roli była działaln Chałasińskiego w okresie „odwilży". O niej zapominają je obecni krytycy (nie wyłączając smutnej pamięci Instytutu N Społecznych), gdy wypominają Chałasińskiemu wypowiedzi i tykuły publikowane w okresie triumfu stalinizmu.

Nowy tom „Przeglądu Socjologicznego" jest czwartym mem powojennym i jedenastym od chwili założenia tej publi cji w Poznaniu w 1930 (3). Jego inicjatorem i pierwszym red torem był Florian Znaniecki, wówczas profesor Uniwersyt Poznańskiego, którego 75-letnia rocznica urodzin, przypadaj na rok bieżący, zbiega się z 25-leciem istnienia „Przeglądu So logicznego". Z tej okazji w przedmowie do nowo wydan tomu Chałasiński składa hołd Florianowi Znanieckiemu, je wkładowi do socjologii światowej i zasługom wprowadze socjologii polskiej do współczesnej myśli socjologicznej. „Pol Peasant in Europe and America", dzieło wydane wespół z W Thomasem, jest dzisiaj klasykiem literatury socjologicznej. Ol Znanieckiego tylko Stefan Czarnowski zdobył w socjologii re tację mędzynarodową. Dzieła zbiorowe Czarnowskiego ukaz się w Polsce w 1956 roku. Czy dzieła Znanieckiego, znane k demu studentowi socjologii na Zachodzie, pozostaną nadal n dostępne dla jego rodaków?

„Przegląd Socjologiczny" wykazuje wiele śladów spus szenia umysłów i wyjałowienia myśli socjologicznej w okre stalinizmu. Tylko dwa artykuły — S. Nowakowskiego i Piotrowskiego — należą do socjologii, lecz i one wpadają w ogólnikowy i publicystyczny. Jest to rzeczą nieuniknioną, okoliczności zmuszają socjologa do pisania o aktualnie zachod cych zjawiskach społecznych (w tym wypadku o zmianach w m skich i wiejskich społecznościach lokalnych oraz kształtowa się nowej inteligencji w Polsce) na podstawie dorywczo i pr padkowo zebranego materiału, tworzącego namiastkę badań renowych i systematycznych obserwacji.

Przedrukowane z „Przeglądu Kulturalnego" i „Po Pros artykuły Chałasińskiego, które swego czasu odegrały wa rolę w procesie „odwilży", opierają się na solidnej wiedzy i s rokiej erudycji, lecz do dociekań teoretycznych i metodolog nych nad kulturą, przekraczających scenę polską, niewiele w szą. Sytuacja wymagała wyważania drzwi otwartych, a ta cz ność jest marnotrawieniem energii umysłowej, w innych war kach znajdującej bardziej użyteczne ujście. Najtrwalszą wart posiada esej „O Światowej Opinii Moralnej", socjologiczna

(3) *Przegląd Socjologiczny,* Rocznik Polskiego Instytutu Socjologiczn Tom XI, Zakład im. Ossolińskich we Wrocławiu, Łódź, 1957. Str.

blicystyka w wielkim stylu, dla której znalazłoby się zaszczytne miejsce w każdym europejskim czasopiśmie.

Przyczynki A. Kłoskowskiej, J. Lutyńskiego i J. Szczepańskiego z zakresu historii myśl społecznej i kultury bądź zajmują się podważaniem ideologicznych spekulacji w badaniach nad kulturą polską pierwszej połowy XIX wieku, bądź noszą ślady odcięcia od nauki światowej. Zwarty i pouczający szkic Szczepańskiego o kryzysie koncepcji uniwersytetu liberalnego nie wykracza poza publikacje ogłoszone w okresie ostatniej wojny. Podobne refleksje budzi artykuł Kłoskowskiej.

Spadek przeszłości, ograniczający i paraliżujący wysiłki badacza historii myśli społecznej, widoczny jest jeszcze pod innym względem. Kłoskowska zmaga się z ogólnikowością i wieloznacznością takich ,,zbitek pojęciowych'', jak na przykład pruska droga do kapitalizmu, pojęć nie ugruntowanych badaniami nad historią gospodarczą, lecz stworzonych ad hoc, dla celów polemicznych i ideologicznych. Podobnie Lutyński z wielką pracowitością wykazuje, iż Marks, Engels i Lenin posługiwali się terminem ,,liberalizm'' w sensie zgodnym z jego przyjętym znaczeniem i że w związku z tym nie ma podstaw do traktowania liberalizmu jako ideologicznej nadbudowy pruskiej drogi do kapitalizmu.

,,Przegląd Socjologiczny'' zawiera nadto artykuły informacyjne K. Chałasińskiej o literaturze obozów koncentracyjnych. J. Kądzielskiego o badaniach nad kulturą w nauce radzieckiej i K. Kotłowskiego o problematyce szkolnictwa francuskiego. Niewielki związek z socjologią ma rozprawa Z. Gostkowskiego w tonie, treści i tytule (,,Stosunek Komunistycznej Partii USA do Amerykańskiej Tradycji Liberalno-Demokratycznej i do Liberałów w Okresie 'Zimnej Wojny' i Faszyzacji'') nie odbiegająca od dawnych złej sławy wzorów publicystyki polityczno-propagandowej opatrywanych nalepką prac naukowych.

,,Kultura i Społeczeństwo'' (4) jest nowym kwartalnikiem poświęconym socjologii kultury i zagadnieniom kultury współczesnej. Program kwartalnika jest niezwykle ambitny:

,,W programie czasopisma zawiera się intencja traktowania zjawisk życia ludzkiego indywidualnego i zbiorowego — ekonomiki, polityki, techniki, nauki, sztuki, religii — w ich wzajemnym powiązaniu z całością spraw ludzkich, a nie w izolacji jednych od drugich. Nie chcemy więc eliminować z naszych zainteresowań polityki i ekonomiki, zagadnień klasowych i walk klasowych. Chcemy je jednak traktować w sposób naukowy i od strony zaniedbanych w naszym piśmiennictwie zagadnień kultury duchowej. Kładąc nacisk na życie własnego narodu i biorąc je za punkt wyjścia, chcemy traktować je w kontekście międzynarodowym, światowym, a jednocześnie — w kontekście problemów osobistego życia i światopoglądu człowieka naszej epoki. Przekształcenia kultur elitarnego typu w kultury o charakterze ludowym należą do rdzenia procesów dokonujących się w kulturze współczesnej''.

---

(4) *Kultura i Społeczeństwo*, Zakład Socjologii i Historii Kultury PAN, Tom I, Nr 1, Styczeń-Marzec 1957. Str. 310.

W pierwszym numerze „Kultury i Społeczeństwa" nie jednak artykułów o tak ambitnych zamierzeniach, przeważa o i krytyka przeszkód stojących na drodze rozwoju nauki i kultu w Polsce, informacja i kronika. Wyjątkiem jest piękna rozp wa zmarłego w 1954 roku Ludwika Hirszfelda, światowej sła hematologa, pt. „Rola Dydaktyki w Życiu i Twórczości Uc nego". Rozprawa ta była napisana dla „Nauki Polskie organu PAN. Chociaż Ludwik Hirszfeld był członkiem Pre dium PAN, jego artykuł nie mógł się ukazać w „Nauce P skiej" „wskutek negatywnej opinii politycznej" (5). Dodajm że po śmierci uczonego stworzony przez niego Instytut Hema logii we Wrocławiu uległ niemal całkowitej likwidacji na po stawie decyzji „wyższych czynników".

Artykuł Chałasińskiego „Drogi i Bezdroża Socjalizm w Nauce Polskiej" wyjaśnia, jak do tego i podobnych herost tesowych osiągnięć dojść mogło (6). Chałasiński zasiadał w P

(5) Był on jednak opublikowany w czasopiśmie „Postępy Higieny i M dycyny Doświadczalnej", 9/55, które zapewne dociera tylko do barc specjalnego grona czytelników.

(6) Artykuł ten jest w Polsce przedmiotem silnych ataków, gdyż zawi liczne aluzje i polemiki z określonymi osobami i instytucjami. Sypią przeto protesty, repliki i złośliwe uwagi pod adresem autora. Artykuł Cha sińskiego miałby większą wagę gatunkową, gdyby nie łączył odsłonięcia ku organizacyjnych PAN z polemiką o personalnym charakterze.

Wśród reakcji, jakie artykuł Chałasińskiego wywołał, na uwagę — względu na swe intencje — zasługuje list profesorów i docentów Uniwers tetu Warszawskiego (Przegląd Kulturalny 12/57). List ten potępia w artyku Chałasińskiego próbę przedstawienia Tadeusza Kotarbińskiego jako „pra tycznego realisty", który z powodów koniunkturalnych i utylitarnych zale „przystosowanie się do ówczesnej rzeczywistości". Gdyby Chałasiński m ten zamiar, potępienie z jakim się spotkał byłoby uzasadnione, a oskarżen niegodne i fałszywe, ośmieszałoby jedynie oskarżyciela. Piszący te słov inaczej jednak odnośny passus rozumie. Charakterystyka jednego z aspekt postawy „praktycznego realisty", zaczerpnięta z artykułu T. Kotarbińskieg opublikowanego w 1948 roku (co jest uwidocznione w przypisku), okazała s zdaniem Chałasińskiego, trafna w odniesieniu do postawy faktycznie przyję przez niektórych ludzi nauki w okresie późniejszym. Cytat spełniał tę tyl funkcję i w tej roli mógłby być kwestionowany (czego jednak dotąd nikt uczynił).

W tym samym numerze „Przeglądu Kulturalnego" członkowie zesp redakcyjnego „Myśli Filozoficznej" posługują się cytatami z mego artyku w „Kulturze" (9/55) dla wykazania, iż również dla obserwatora z zewną Chałasiński w pewnym okresie swej działalności był jednym z „marksisto skich kardynałów". Fakt ten nie podlega dyskusji, lecz jest tylko poło prawdy. Członkowie redakcji „Myśli Filozoficznej" pominęli bowiem in wypowiedzi tego samego artykułu, które podnosiły zasługi Chałasińskie i jego kluczową rolę we wczesnym okresie „odwilży". „Odwilż" nie by zaś dziełem „kardynałów".

Wszystko to wskazuje, iż pisanie o minionym okresie sine ira et stu jest rzeczą niezwykle trudną, a personalne polemiki w rozrachunku z prze łością do nikąd nie prowadzą. Ogłoszenie Treuga Dei byłoby najlepsz rozwiązaniem, pozostawiającym całą energię dla dzieła naprawy i odbudo nauki polskiej.

zydium PAN od chwili jej założenia. Zna więc doskonale wewnętrzne stosunki w Akademii, dla obserwatora z zewnątrz zasłonięte fasadą nazwisk uczonych o wielkich zasługach w rozwoju nauki w Polsce i świecie. Kulisy i fasada różniły się zaś w sposób zasadniczy. PAN była fikcją samorządu uczonych i najwyższej instytucji naukowej w kraju. Akademią nie rządzili uczeni, lecz ,,środowisko najbardziej kompetentne naukowo'', tak zwanych uczonych z awansu politycznego, szczególny typ urzędników i administratorów partyjno-politycznych, którzy wyrośli w cieniu ,,stalinowskiego stalinizmu''. Znaną jest rzeczą, iż wystarczyło osiągnąć szczyt hierarchii partyjnej, by stać się teoretykiem marksizmu, a ten tytuł wystarczał, by stać się również autorytetem naukowym decydującym nieodwołalnie co jest prawdą i fałszem w każdej dziedzinie wiedzy. ,,Królowie-filozofowie'' z Politbiura deliberowali między sobą, a ich postanowienia wykonywali uczeni z awansu politycznego, często ludzie dobrej woli, osobiście uczciwi i obdarzeni entuzjazmem dla swoiście pojętej nauki. Oni rządzili Akademią, administrowali nauką i uczonymi, inicjowali ,,ofensywy ideologiczne'' i komenderowali różnymi ,,frontami''. Ich nazwiska są publiczną tajemnicą. Wystarczy zajrzeć do ,,Nowych Dróg'', ,,Nauki Polskiej'' i różnych czasopism naukowych, by się dowiedzieć, kto, jak i kiedy ,,ustawiał'' daną dziedzinę wiedzy stosownie do ideologicznych wymogów i poleceń Partii. Jedni byli ślepymi fanatykami, drudzy — bardziej umiarkowani — łączyli funkcje nadzorców i mecenasów nauki. O tych ostatnich mówiono w Polsce za Wolterem, iż gdyby nie istnieli należałoby ich wymyślić w warunkach ówczas istniejących w kraju. Wprawdzie usuwali autentycznych uczonych z katedr uniwersyteckich i niszczyli ich warsztaty naukowe, lecz bądź pozwalali im jakoś żyć, bądź znajdowali dla nich przytułek w zakładach PAN, gdzie w określonych granicach mogli pracę naukową dalej prowadzić. Warunki schronienia się w tych enklawach były jednak niejednokrotnie poniżające. ,,Reżym kacyków'' niszczył naukę, niszczył charaktery młodzieży, którą uczył cynizmu i pogardy dla impoderabiliów uczonego.

Naprawie stosunków w organizacji nauki i odbudowie nauk zniesionych z powierzchni ziemi decyzją ,,królów-filozofów'' poświęcone są dwa artykuły ,,Kultury i Społeczeństwa''. Prof. W. Szafer pisze o niektórych nie spełnionych zadaniach PAN, a W. Choynowski odsłania odważnie i bezkompromisowo stan upadku psychologii polskiej.

Część artykułową ,,Kultury i Społeczeństwa'' zamyka doskonała rozprawa sprawozdawcza A. Kłoskowskiej ,,Charakter Narodowy a Osobowość we Współczesnej Problematyce Badań Społecznych''. Kłoskowska informuje wyczerpująco i obiektywnie o stanie badań nad tymi złożonymi zagadnieniami z pogranicza psychologii społecznej, socjologii, historii i nauki o kulturze w oparciu o szeroką znajomość francuskiej, angielskiej i amerykańskiej literatury przedmiotu. Jedyną bodaj luką w tym erudycyjnym artykule jest pominięcie prac Davida Riesmana

oraz ewentualnie, że względu na metodologiczną pomysłowo kontrowersyjnych raportów Alfreda C. Kinsey'a.

Drugi artykuł informacyjny ,,Kształtowanie i Badanie Opi Publicznej w Stanach Zjednoczonych'' Z. Gostkowskiego pow nie wykracza przeciw zasadom obiektywizmu. Autor przybi postawę pogardliwej wyższości i ideologicznego zarozumialst w stosunku do uczonych amerykańskich rozwijających no technikę badań. Technika ta jest z pewnością nadal niedosk nała, lecz otwiera możliwości systematycznego zbierania, stat tycznego opracowywania i analizowania przy pomocy różnor nych pomysłowych metod, stanowiących dzisiaj wysoce wysp cjalizowaną umiejętność, materiałów uprzednio wymykający się spod kontroli socjologa. Badania opinii publicznej nie w Polsce znane, nikt nie próbował ich podjąć i zbadać, jakie ich walory i niedomagania. Zanim przemówił badacz, do gło doszedł ideolog i nawyki przeszłości.

Obszerny dział sprawozdań, recenzji oraz ,,Materiałów i N tatek'' (pod redakcją K. Chałasińskiej), którego brak w inny wydawnictwach naukowych dotkliwie się odczuwa, jest godny naśladowania przykładem powrotu do wypróbowanych wzor czasopism przedwojennych.

V

,,Przegląd Socjologiczny'' oraz ,,Kultura i Społeczeństw obrazują na szczególnym przykładzie, iż usunięcie przeszk hamujących twórczość naukową, swobodę i autonomię nauk stanowi dopiero początek jej odrodzenia. Istnieje spadek i bala przeszłości — wadliwy aparat pojęciowy, przestarzałe i nieade watne teorie, jakie trzeba usunąć, by badania naukowe mogły s potoczyć normalnym torem. Istnieją opóźnienia i niedomagan w zakresie znajomości literatury i stanu wiedzy osiągnięt w świecie w okresie odcięcia Polski od nauki światowej. Istni ją obciążenia ideologiczne i nawyki umysłowe deformujące fakt ścisłość myślenia i bezinteresowność szukania prawdy. Istnie potrzeba odbudowy autorytetu uczonego. Pod tym ostatni względem socjolodzy dokonali już wiele dzięki swym wystąpi niom w procesie poznańskim. Lecz inne niedomagania, o który była mowa, dają się socjologii dotkliwie we znaki i ich usunię wymagać będzie czasu i wysiłku. W toku jest proces regenera i w tym procesie czasopisma socjologiczne odgrywać mogą d niosłą rolę. Widać trafność wypowiedzi prof. Kotarbińskieg gdy nazwał okres obecny ,,okresem odprężenia po zaprzestan ucisku''. Socjologia może dokonać wielkiego wkładu do dzie odrodzenia społecznego, do umysłowej i moralnej kultury sp łeczeństwa. Dlatego jest rzeczą niezwykle ważną, by okres p wrotu do zdrowia trwał najkrócej dla dobra socjologii i ogólne pożytku.

Zbigniew JORDAN

Z książek krajowych

Opowieść o Justynie Marii Bonieckiej (Czytelnik, 1955-1956) jest książką dziwnie dziewiętnastowieczną, mimo swego „postępowego" nastawienia, a może właśnie dzięki niemu... Postępowość była chorobą XIX wieku, jest to zapewne jedną z przyczyn dlaczego historia zatrzymała się w Sowietach na roku 1917. Pierwszą część książki, *Szklane kulki*, poświęconą głównie dzieciństwu bohaterów, czyta się przyjemnie, mimo denerwujących a zbędnych wstawek politycznych. Szczególnie uderzające dla czytelnika, który nie jest członkiem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, jest umieszczenie części akcji podczas rewolucji w Charkowie. Z niezrozumiałych (jako że rewolucja jest zjawiskiem pozytywnym) powodów, bohaterowie wracają jednak do kapitalistycznej ojczyzny, przy czym ten powrót, jak pisze autorka, „był konsekwencją polityki władzy radzieckiej". Piękne wspomnienia rewolucji pozostają dzieciom na całe życie (nawet podczas wojny 1920 roku, która omówiona jest — według obowiązującej do niedawna formuły — szeregiem dyskretnych eufemizmów).

Oficjalny banał spotyka się niestety na co drugiej stronicy, jak na przykład następująca charakterystyka : „Był z krwi i kości proletariuszem, nie przeżywał żadnych konfliktów wewnętrznych, żadnych wahań" (o tym samym osobniku dowiadujemy się dziesięć wierszy niżej, że był „łagodny, wykształcony, delikatny"...). Tam gdzie autorce udało się od tego banału wyzwolić, potrafi dać obrazki odczute i prawdziwe, choć może zanadto migawkowe. Jej droga zdaje się leżeć w wystrzeganiu się polityki, aktualności, „realizmu", a także w większej pracy nad znalezieniem własnego stylu.



Jest zastanawiające, że nowa książka Iwaszkiewicza (1) przyjmuje ten sam schemat co książka Bonieckiej : zaczyna się w Rosji, by potem dziać się w Polsce. Ale poza tym akcja ma miejsce w o wiele „wyższych sferach", wśród hrabiów, książąt itp. w Warszawie i w Paryżu. Jeżeli przypomnieć sobie niedawne sukcesy różnych książek Magdaleny Samozwaniec, to można pomyśleć, że tego rodzaju utwory odpowiadają jakiemuś zamówieniu społecznemu. Jakiemu? Nasuwa się niepokojąca myśl, że awans społeczny proletariatu prowadzi przez tego rodzaju literaturę (nie darmo przedwojenne służące czytały „Ordynata Michorowskiego"). Gdyby ta hipoteza o snobowaniu się proletariatu na arystokrację była niesłuszna, to można by tylko zapytać : kogo? Kogo może tego rodzaju literatura obchodzić? Jest to zapewne jedna z tajemnic socjalistycznego budownictwa (książka ukazała się z początkiem 1956 roku).

Oprócz pierwszej części poświęconej mniej lub więcej rewolucji i wojnie, prawie cała akcja książki toczy się w salonach. Nie musi to oczywiście

(1) *Sława i chwała*, P.I.W., Warszawa, 1956.

a priori decydować o braku wartości, ostatecznie u Prousta akcja też toczy w salonach. Tylko z tą różnicą, że salony Prousta są interesują Ale kto wie, może te pięćset stronic rozwlekłego banału odpowiada zam rzeniom autora, innymi słowy, może chciał on w ten sposób zilustrow pustkę duchową rozkładającej się burżuazji... Jeżeli tak, to udało mu się najzupełniej.

Jeden z bohaterów książki jest muzykiem, co daje Iwaszkiewiczo okazję do wtrącenia tu i tam różnych banałów o muzyce. Oczywiście boh terowie są wyżsi ponad otaczający ich świat (schemat dziwnie znany i to wcale dawna), oni jedyni muzykę (malarstwo itd.) rozumieją :

> ,,Janusz także nie mógł się przymusić do słuchania. Krępow go towarzystwo dwóch pięknych, wystrojonych pań. Zdawało przy tym, że nikt tu nie przyszedł dla muzyki, chyba królowa b gijska, która od pierwszej nuty pogrążyła się w nabożną uwagę..."

Mimo tego całego estetyzmu o jednym z malarzy umie autor powiedz tylko tyle, że ,,był to ten malarz, którego matka nosiła wspaniałe nazwis Thun-Hohensteinów". Czytelnik dobrej woli domyśla się, że ma to b ironia, ale znowu musi sobie zadać pytanie : ,,po co?", jako że z malarze tym się już potem nie spotyka. Być może chodzi więc tu raczej o nadar arystokratycznego *couleur locale*.

Szczególnie ciekawie prezentują się w książce ,,przyjaciele Rosjanie Już gdzieś na początku książki dowiadujemy się, że ,,większość arystokra polskiej miała w żyłach krew Katarzyny II". Potem na emigracji, w Par żu, spotykamy miłych rosyjskich arystokratów, polscy bohaterowie mów z nimi płynnie po rosyjsku lub po francusku, Rosjanie ci to ludzie kultural czyżby jednym z zamierzeń książki było przekonanie o tym polskiego czyt nika?

Wśród innych, zapewne świadomych, zamierzeń warto wyróżnić tak zw ny ,,stosunek do ludu" (reprezentowanego głównie przez lokai). Źli aryst kraci ludem się oczywiście nie interesują : ,,Księżna ... zwracając się Stanisława (swego lokaja) spytała : *A propos*, Stanisławie, od tylu lat jes u nas, a nie wiem jak ci na nazwisko?". Lud naturalnie odpłaca arystok tom pięknym za nadobne : ,,Lokaj z twarzą, w której nie drgnął ani jed muskuł, ale która mimo to wyrażała lekką pogardę, spoglądał uważnie, j Ariadna zanurzyła widelec i łyżkę w kremowe boki babki. Z boku babl jak krew i wnętrzności z boku rannego jelenia, zaczęły się wylewać lody... Trzeba lojalnie przyznać, że styl Iwaszkiewicza nie zawsze osiąga tego dzaju godne Mniszkówny wyżyny.

Inaczej zachowują się jednak dobrzy arystokraci. W Paryżu boha chodzi (od czasu do czasu) odwiedzać syna lokaja księżnej, Jasia Wiewi skiego (,,Przyszedłem pod jednym warunkiem, że pan nie będzie mnie ty łował hrabią..."). Raz nawet zaprasza go na przedstawienie Romain R landa. Wreszcie, podczas zabawy paryskiej *société*, gdy gospodyni zap ponowała mu różne trunki, między innymi ,,dwa kurki : leciały z ni piwo i prosta (!) polska wódka... Janusz pomyślał o Jasiu Wiewiórsk i wypił dużą szklankę wódki za jego zdrowie".

Z tego rodzaju treningiem nie ma wątpliwości, że w następnym ton ujrzymy Janusza jako dygnitarza Polski Ludowej.

To „chodzenie w lud" ma posmak dziwnie przypominający koniec wieku XIX, posmak żeromszczyzny. Tej żeromszczyzny jest więcej. Tenże bohater spędza wieczór z milionerką, która chce zostać sławną śpiewaczką, nadaremnie, bo nie ma absolutnie głosu. Kupiła nawet teatr, by się tam produkować („Pan wie, przecież wszystko można dostać za pieniądze"). „Wracając późnym wieczorem do hotelu Janusz uśmiechnął się do siebie. Jednej rzeczy nie można jednak mieć za największe choćby pieniądze : pięknego głosu".

Żeromszczyzną *par excellence* jest przede wszystkim główna intryga miłosna książki : bohater kupuje za bezcen folwark od zubożałego szlachcica, przy okazji próbuje ukraść całusa jego córce, ale „ona odsunęła się spokojnie i mocno, i wciąż patrząc mu w oczy powiedziała powoli : — Czy pan hrabia myśli, że mnie kupił razem z folwarkiem?".

Dziesięć lat później szlachcianka zjawia się w majątku, nie ma ani grosza, ojciec umarł, prosi o jakąkolwiek pracę. Hrabia odprawia ją niezbyt życzliwie, ale kiełkują w nim widać wyrzuty sumienia (a także tęsknota za krajem, jako że romansuje w międzyczasie w Paryżu i Heidelbergu, tęsknota za krajem jest obowiązkowym socrealistycznym rekwizytem), dość dość że wprost z Heidelbergu i z objęć pięknej, kosmopolitycznej milionerki („czuł pod dłonią to cudowne, dojrzałe ciało") wraca do Krakowa, do swojskiej Zosi : „wydała mu się prosta i całe przyszłe życie wydało mu się proste i zwyczajne"... Na zakończenie książki *happy end* : uboga szlachcianka wraca z mężem hrabią do rodzinnego majątku.

Powyższe uwagi, podobnie jak i sama książka, mają raczej znaczenie socjologiczne niż literackie, jak to wynika choćby z tego co powiedzieliśmy na początku. Wartość literacką „Sławy i chwały" charakteryzują zresztą wystarczająco przytoczone wyżej cytaty.



Warszawa wydarta niepamięci Wacława Rogowicza (2), poświęcona jest nie „wielkiej" historii, ale raczej wspomnieniom dnia codziennego : prosiaki harcujące na rogu Jerozolimskich i Marszałkowskiej, pierwsze Pogotowie Ratunkowe, stójkowi, strażacy, stróże (którzy nie byli jeszcze dozorcami).

Wśród obrazków zapomnianej przeszłości zasługują na wyróżnienie opis jazdy straży pożarnej do ognia (jeździec w mosiężnym kasku na przedzie, wozy z topornikami, drabinami, bosakami itd.), galeria domokrążców oraz posłańców, a wreszcie „jeden dzień z życia stróża" (z tak nieoczekiwanymi obowiązkami jak przyrządzanie, instalowanie i zapalanie łojowych kagańców na trotuarze podczas tak zwanej iluminacji).

Równie nieoczekiwany, acz z innych powodów, jest następujący fragment : „Poświęciłem tyle miejsca opisowi dwóch rodzajów gry w bilard z tego względu, że wzrastające dziś pokolenie warszawiaków nie zna ani samej gry, ani nie wie nawet jak wygląda bilard. W stolicy Polski Ludowej — wszyscy o tym wiemy — z rozrywek w lokalach cieszy się szczególnymi względami tylko gra w szachy. Natomiast bilard jest widocznie uważany za coś „niebezpiecznego dla równości demokratycznej" (uzasadnienie ostracyzmu w starożytnej Grecji). Tym można sobie chyba tłuma-

(2) Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1956.

czyć fakt, że nawet w luksusowo urządzonych kawiarniach i restauracj na M.D.M. i gdzie indziej nie ma bodaj jednego bilardu na użytek go Czynniki decydujące o rozrywkach obywateli stolicy wyszły widocznie z łożenia, że jest to gra stuprocentowo burżuazyjna. Takie mniemanie jest zgodne z rzeczywistością historyczną..."

Tego rodzaju snop światła na rzeczywistość dzisiejszą jest dla czyt nika żyjącego w świecie kapitalistycznym (a zapewne i dla przyszłego h toryka) rewelacją.

Warto pochwalić autora za wspomnienie o Starynkiewiczu, prezyden Warszawy w latach 1875-1891, któremu miasto zawdzięcza sieć wodocią wą. Starynkiewicz był bodajże jedynym Rosjaninem, który posiadał ul swego imienia w Warszawie.

Trudno natomiast zgodzić się z nazwaniem margrabiego Wielopolskie człowiekiem „złowrogiej pamięci" (str. 50), dlatego że „zarządzeniem bra sprowokował wybuch powstania styczniowego" a to niezależnie czy uważa samo powstanie za klęskę narodową, czy nie.

❖

Wśród wielu innych książek „Kultura" otrzymała również do recen trylogię Jalu Kurka pod tytułem „Janosik", wydaną w Krakowie w lata 1945-1948 (3). Nie bardzo jasne jest dlaczego autorowi tak zależało recenzji? Te trzy tomiska, po 350-600 stronic wielkiej ósemki każde, nale do dzieł, które powinna okryć jak najprędzej mgła litościwego zapomnien Jalu Kurek targnął się na temat ponad swoje siły, rezultat dla czytelni głównie: nuda, nie łatwo jest przeczytać 1.500 stron realistycznego op wiadania o zbójnikach, umieszczonego na dobitek nieszczęścia w nasz epoce. Pomijając już fakt, że w 1945-1946 nikt Jalu Kurka nie zmuszał psioczenia na sanację i do chwalenia bohaterskich komunistów.

Najlepszą stronicą książki jest posłowie do tomu pierwszego. Au słusznie zauważa, że legenda Janosika jest *legendą*. Wielka szkoda, konsekwencji z tego stwierdzenia wyciągnąć nie chciał czy raczej umiał: aby uwspółcześnić legendę trzeba zrobić w najlepszym razie t jak Cocteau z Tristanem i Izoldą (*L'éternel retour*). Jeszcze lepiej w og nie uwspółcześniać, jak na przykład Giraudoux.

Jan TOROSIEWICZ

« Buty »

Książka Szczepańskiego (4) jest zbiorem opowiadań zresztą, jak to mowie stwierdza sam autor z dużym obiektywizmem, opowiadań dosyć n równych pod względem wartości literackiej. Niektóre z nich łączy wspó

(3) Wyd. St. Kamińskiego, Kraków, 1945-1948.

(4) Jan Józef Szczepański, *Buty*. Wydawnictwo Literackie, Krakó 1956, str. 271.

postać porucznika AK, Szarego, wszystkie zaś — z wyjątkiem trzech ostatnich — okres walki z okupantem niemieckim. Z opowiadań tych, najlepszymi wydały mi się : *Wszarz, Dwie Jesienie* i *Buty*.

Charakterystyczną cechą spojrzenia na świat Szczepańskiego (dosyć mnie niepokoi to szumne określenie) — jest pełne smutku rozczarowanie do człowieka i duża wrażliwość na absurdalność naszego, godnego lepszej sprawy, bytowania na świecie. Technika pisarska Szczepańskiego — to spokojny obiektywizm, to zestawianie faktów, których wymowa nie potrzebuje komentarzy, to zaufanie do czytelnika, któremu autor podsuwa materiał do rozmyślań i pozwala snuć wnioski, w oparciu o subtelne niedomówienia. Szczepański jest miły i sympatyczny w swym stosunku do czytelnika, ale pełen drapieżności w doborze tematyki.

We „Wszarzu" opowiada nam on historię otępiałego ze starości i nędzy żebraka, który nagle budzi się ze snu, by zdradzić, wzamian za zapłatę, miejsce ukrycia oddziału AK. Tylko, że ci, których brał za Niemców, to przebrani powstańcy. Zapada więc decyzja zlikwidowania nic nie rozumiejącego dziada. W ciszy leśnej kopie on sobie grób na oczach przyglądającego mu się oddziału, starannie układając sobie wieczne posłanie z liści i mchu. Wyrok na bezbronnym i słabym żebraku wykonuje młody chłopak, którego okaleczyła paskudnie kula niemiecka, pozbawiając go pewnych zdolności męskich, do których na ogół przywiązuje się dużą wagę. Zamknięty w sobie, mściwy, trawiony kompleksami młody chłopak odżywa i promienieje po zabójstwie żebraka.

W „Dwu jesieniach", Szczepański pokazuje nam zdumiewającą kruchość przyczyn, które mogą się stać naszym natchnieniem. Przywódca oddziału leśnego, dotychczas niepokonany „Wilk", osaczony przez Niemców, straciwszy wszystkich ludzi, złamany na duchu, próbuje ucieczki ostatnim wysiłkiem. W przeczuciu zbliżającego się końca wszystko wydaje mu się bezcelowe. Niespodziewanie dostrzega w ciemnej nocy wąską smugę światła, padającego przez szparę w niedomkniętej okiennicy. Zbliża się do okna i widzi w żółtawym, spokojnym świetle lampy człowieka zatopionego w pisaniu. Obraz tego człowieka, zamkniętego w swym świecie bezpieczeństwa, zaufania i pogardy do tego co może się dziać w ciemnej nocy, po drugiej stronie cienkiej szyby okna, jest dla zaszczutego i gotowego na śmierć Wilka, cudownym zastrzykiem, dodającym niespodziewanych sił do nowej walki, jest natchnieniem, symbolem wiary w możliwość innego życia. Druga część opowiadania odsłania nam prawdę. Dowiadujemy się w niej, że ten człowiek piszący za biurkiem — źródło i przyczyna wspaniałego porywu — jest w rzeczywistości biedną i nieporadną istotą, zgnębioną strachem i własną nieudolnością.

„Buty" wreszcie, to opowiadanie, podobnie jak poprzednie, utrzymane w spokojnym, obiektywnym tonie, ale wstrząsające w brutalnym obnażeniu zwierzęcych głębin człowieka. Do oddziału leśnego dołącza grupa własowców. Zbliża się zima, ludzie oddziału AK pozbawieni są butów, płaszczy, odpowiedniego ekwipunku. Własowcy mają wszystko. Powstańcy przyglądają się im z zawiścią. Wreszcie z dowództwa batalionu przychodzi rozkaz zlikwidowania własowców. Wykonać ma to porucznik Szary ze swym plutonem. Po otrzymaniu rozkazu porucznik Szary protestuje, łamie się wewnętrznie, walczy z ogarniającym go wstrętem. Jakże : własowcy obdarzyli ich zaufaniem i teraz podstępnie będą ich zabijać ? Gdy jeden z członków oddziału, zwykły kryminalista, proponuje by własowców zamordować, rozbijając im kolejno głowy siekierą, porucznik Szary w obronie resztek człowieczeństwa, opracowuje dokładny i jak mu się wydaje mniej odrażający plan likwidowania własowców. Plan ten zostaje wykonany. I magazynier może dostarczyć bosym powstańcom 26 par prawie nowych butów.

Taka jest w największym skrócie tematyka trzech opowiadań Szcze-skiego. Biedny, bezsilny i zgubiony człowiek, który obraca się w okrut i niezrozumiałym świecie. Człowiek, który zgubił jakąś miarę, umiejęt oceniania zjawisk, zdolność protestowania. Kto temu jest winien? Woj Niemcy? Samo AK?

W przedmowie Szczepański pisze, że przyczyną wszelkiego zła faszyzm. Dobrze. Zgadzamy się, ale pod warunkiem, że przypomnimy faszyści chodzić mogą nie tylko w brunatnych czy czarnych koszulach.

Książka Szczepańskiego jest pisana z niewątpliwym talentem, zaś pr dziwą wartość nadaje jej ostrość widzenia autora, jego bolesna świadom otaczającej rzeczywistości, jego krzyk protestu zamknięty w spokojnej racji.

Na zakończenie jedna uwaga: sądzę, że autor mi ją wybaczy. M zastrzeżenia co do opowiadania pod tytułem „Koniec legendy". Rozumi że jest rzeczą pociągającą opisać bal kostiumowy w dworze szlachecki w chwili gdy nadciąga czerwona armia, a pobici Niemcy uciekają w płochu. Świat wali się, ziemia rozstępuje się pod nogami, a tu arleki markizy i mandaryni wirują w oszałamiającym, pełnym zapomnienia ta. Kłębią się uczucia, niepokoje, spiętrzone wypitą wódką, oderwanie rzeczywistości. Przypomina się „Popiół i Diament" Andrzejewskiego. tam wszystko było spięte fascynującą, przykuwającą atmosferą. Podczas u Szczepańskiego, poza kilkoma doskonałymi fragmentami, całość rozchc się niestety między palcami.

Józef URSYN

Nowości poetyckie

Przypadek zrządził, że na stole recenzenta spotkały się książki trz poetów, książki różne i nieporównywalne. Dwie spośród nich ukazały w Kraju już w 1957 roku, trzecia natomiast nadeszła do Redakcji z dw stoletnim opóźnieniem. Wydrukowano ją bowiem w Nowym Jorku, w 19 Autorem tomu (1) jest Sydor Rey. Dlaczego autor zwlekał tyle lat z n słaniem swego zbioru pozostanie to jego tajemnicą, fakt jest jednak codzienny, toteż zajmiemy się najpierw książką spóźnioną.

Jak prawie wszystkie tuż powojenne debiuty książkowe poetów emi cyjnych *Pieśni Mówione* wyrażają naraz tęskotę za ziemią rodzinną, go emigranckiego życia i poniżenie wojny. Część wierszy można by okr jako lirykę refleksyjną, część zaś jako *poèmes à thèse*. Pośród pierws nie brak utworów pięknych i autentycznych jak na przykład:

Sydor Rey, *Pieśni mówione*, St. Marks, Printing Corporation, York, 1945.

POCAŁUNEK

Początek tego wiersza w pocałunku przerwanym...
O drzewo zakurzone na rozstaju dróg
O morze stokroć bujniejsze od słońca
Księżycu ciepły na który patrzeć nie umiałem.
Was bym teraz uścisnął...
Świat wyśliznął mi się z rąk
Jak niedojrzałej matce niemowlę.

(str. 23)

Drugie zaś wiersze należałoby określić jako emigracyjną jaskółkę... socrealizmu. Nie żeby wiersze Rey'a były aż tak złe — nie ma bowiem mowy, żeby ktokolwiek potrafił prześcignąć w antyliryzmie młodych autorów *Wiosny Sześciolatki* — wiersze Rey'a zbliża do socrealizmu co innego: uproszczenie wykładni wydarzeń historycznych i podstawianie owego świadomie uproszczonego komentarza w miejsce wzruszenia autentycznego, sprawdzalnego w tym wypadku przez Polaków z roku 1939 go.

Oto przykłady :

. . . .
Zaszumiały ogniem lasy,
Gdzie jest luby dym z ogniska ?
Nie wiesz, kto podpalił lasy ?
Las podpalił nam faszysta.

(*Pożar w lesie*, str. 33)

Wiersz robi wrażenie alegorii, w którą wetknięto słowo-definicję, wymagającą nieomal dyskusji. Kogo bowiem abstrakcyjnym płaszczem politycznej dialektyki okrywa poeta ? Czytelnik może pod to słowo podstawić wiele konkretów... Autor uniemożliwił nam uczestniczenie w swym wzruszeniu, stawiając nas, którzyśmy przeżyli tamte lata, przed pojęciem doklejonym a posteriori do całokształtu typowych wzruszeń ówczesnego Polaka. Zresztą gdzie indziej (str. 15) jest mowa o innych, bliżej nie określonych „faszystach".

Są też rzeczy inne np.:

. . . .
I tęskno mi dzisiaj do Karpat,
Gdzie Michał, Danyło, Szłojme
Zmieniwszy kierunek armat
Wojnie wydali wojnę.

(*Podkarpacie*, str. 36)

Tutaj emigracyjny poeta wyprzedza o lata krajowych socrealistów. Któy z nich bowiem, Anno Stalini 1945, myślał o tym, aby wierszem zakłamać rzeczywistość krwawych porachunków,aby wyrzynanie Żydów i przesiedlanie Ukraińców uwierszować w idyllę, zbliżywszy na nowojorskim papierze trzy imiona-symbole : Michał, Danyło, Szłojme...

Smutny uśmiech budzą te wiersze, tak zresztą jak i inne, w których autor przedstawia polskich emigrantów. (*Na uchodźtwie*). Dla Rey'a są to

wyłącznie „szlachetkowie wąsaci, kupczykowie brzuchaci", którzy „płac jedzą, piją, palą, I żalą się, żalą..."

Skąd się wobec tego wziął w Stanach ktoś, kto „zabłąkany nad H sonem płacze" (str. 34) i pisze *Modlitwę uchodźcy* (str. 6)? W 1945 Po przebywający poza granicami ojczyzny dzielili się na „wąsatych szlac ków" i na „patriotów". Sydor Rey był na pewno „patriotą".



Wiersze z notatnika (2) są zbiorkiem, którego lektura budzi na p mian uśmiech i wzruszenie. Uśmiechamy się do wiersza napisanego w c nie „szczerości" poetyckiej.

....
Powiecie, że to nastroje przebrzmiałe?
Że epigonizm poetycki? — skądże!
Człowiek jest wieczny — i serce dojrzałe,
Tylko gdy szczerze bije — bije mądrze...

(*Oktawy przy winie*, str. 12

Uśmiechamy się życzliwie przy czytaniu bardzo młodzieńczych liryk broniących „serca szczutego", bądź też mówiących iż „trudno być s wiedliwym człowiekiem i dobrym..."

Za to głęboko wzruszają nas wiersze końcowe, wiersze pisane jesi 1956 roku. Wzrusza nas ich głośno mówiona polskość i ledwie powstrzym krzyk:

Górnicy szepczą „szczęść Boże!"
Mijając się w grobie ciemnym —
Ich krew po szerszym śle torze
Ktoś w rozrachunku tajemnym...
....
Cierpliwa ta stara gleba!...
W wnętrzu kilofy i szpadle,
A tam, na szarym tle nieba,
Hałdy i twarze pobladłe...

(str.

Albo ta strofa *Nocy październikowej*:

W tę noc nikt nie spał w Warszawie
Mrok tylko kapturem okrył
Tysiące oczu płonących
W tę noc milczącą i czujną...

(str. 4

Najdojrzalszym wierszem w zbiorku jest utwór zaczynający się od „Wyszli z ciemnic więziennych".

(2) Juliusz Żuławski, *Wiersze z notatnika*, PIW, 1957.

Wyszli z ciemnic więziennych,
Spod sądów potajemnych,
Wodzą ręką po czole —

Wyszli z grobu pamięci,
Imiona ich się święci,
Pod ziemią leżą kości —

Wyszli z swego milczenia,
Z bezsenności i z cienia,
Patrzą na łąki, pola —

„...A wszystko przepasane jakby wstęgą, miedzą
Zieloną, na niej z rzadka ciche grusze siedzą".

(str. 38)

Wiersz ten, jak również tu i ówdzie rozrzucone szczęśliwe urywki mowy oetyckiej, pozwala oczekiwać od Żuławskiego innych wartości aniżeli szczerość" i bardzo stareńkie poetyckości, o których wiedział już Asnyk późniejsi „piewcy nastrojów".



Arkusz poetycki Tymoteusza Karpowicza, *Gorzkie Źródła* (3), zawiera ztemaście oszczędnie zbudowanych liryków. Lapidarność ta wyraża się zemętrznie frazą celowo „szorstką" i strofą, która nie przylega do toku kładniowego. Przypomina to naszego Buffet'a w poezji, Różewicza. Karowicz nie posuwa się jednak tak daleko w oddźwięcznianiu wiersza. Jest ardziej muzyczny, ale i równocześnie bardziej filigranowy.

. . . .
Jest w moim krajobrazie
Błąd barw i zapachu
Lecz ciągle,
Ciągle kocham
To co wciąż się
Zmienia.

Jak złota piłka
Biegnie wciąż przede mną
Zatrzymywana,
Ukochana
Ziemia.

(*Miłość*, str. 6)

Ale wiersze Karpowicza są przede wszystkim zwięzłe w swej esencji ycznej. Można by powiedzieć, że autorowi *Gorzkich Źródeł* potrzeba o wiele więcej materiału wzruszeniowego, o wiele więcej życia na budowę jedgo wiersza, aniżeli któremukolwiek z rówieśnych mu poetów.

(3) Nakładem Zw. Lit. Pol. we Wrocławiu, 1957.

Większość wierszy wyrasta z syntetycznego widzenia doli — żeby z rosyjska — polskiego człowieka. Poeta operuje zarówno wierszem sy licznym, jak i groteską. Wystarczy przeczytać jeden z tych utworów, zdać sobie sprawę z oryginalności wizji i z trafności w ujmowaniu st nych spraw stalinowskiego okresu, a które autor tłumaczy na sztukę n półgłosem; wie bowiem że o krzyku nie można mówić krzykiem.

LEKCJA CISZY

Gdy motyl
Zbyt gwałtownie
Czasem złożył skrzydła —
Wołano: proszę o spokój!

Zaledwie piórko
Spłoszonego ptaka
Trąciło o promień —
Wołano: proszę o ciszę!

Tak nauczono
Bezszelestnie chodzić
Słonia po bębnie,
Człowieka po ziemi.

Wstawały drzewa
Bez szumu nad polem
Tak jak powstają
Włosy z przerażenia.

(st

Na szczęście symbolika tych wierszy nie pozwala uprościć się do ła czytelnej alegorii. Często mamy do czynienia z jednym wielkim poró niem, którego jednym członem jest wiersz, a drugim... o drugim wi a raczej czujemy, że na pewno istniał lub istnieje w rzeczywistości. I pewność, nasze godzenie się na całą prawdę, poprzez dotknięcie jed z jej skrzydeł, dowodzi, jak bardzo wiersze te są artystycznie celne i konywujące.

Zdarza się jednak (*Siedem kwiatów*), że nowoczesny tok wiersza koleja ważką treść utworu. Słowa toczą się bowiem zbyt wartko wą potokiem, nie starając się rozgałęzić w naszej wyobraźni. Nazwałbym sprawą słów zbyt *schludnych*, słów świadomie ,,codziennych'' i ,, poetyckich'', które nabierają w siebie poezji dopiero w chwili, gdy, czytawszy całe zdanie, odtworzymy sobie *sens* wpisany w nie przez au Stąd też w wierszach Karpowicza słowa osobno, słowa jako takie, sączą z siebie zielonej liryki; czytelnik przeprowadza bowiem p wszystkim przewód myślowy.

Być może iż słowo z lekka ,,zawiane'', wychylające się poza pierwszą otoczkę, przydałoby tym zwartym i pięknym wierszom no uroku. I Sokrates tańczył...

Marian PANKOWSKI

Bibliografia i chronologia ruchu robotniczego w Rosji

Polacy skłonni są uważać bibliografię za dziedzinę żmudną, nudną małο efektowną. A jednak jest to nieodzowna nauka pomocnicza każdej ziedziny badawczej, bez której nie jest do pomyślenia żadna poważna vórczość naukowa. Dlatego też wszyscy badacze Europy Wschodniej ogóle, a rosyjskich ruchów robotniczych w szczególności, winni są dług dzięczności doktorowi Eugeniuszowi Zaleskiemu za jego benedyktyńską racę o bibliografii i chronologii tych ruchów w latach 1725-1917 (*).

Dr Zaleski jest wychowankiem Wydziału Prawa Uniwersytetu Jana azimierza we Lwowie; uczelnię tę ukończył on już w latach 1939-1940, jest pod okupacją sowiecką. Aresztowany przez Niemców w 1941 roku a pracę podziemną zostaje wywieziony do obozu koncentracyjnego w Oś-ięcimiu, a następnie do Mathausen. Po zwolnieniu w 1945 roku podejmuje udia doktorskie na Wydziale Prawa Uniwersytetu Paryskiego, gdzie uzy-kuje w 1946 roku ,,Diplôme d'Etudes Supérieures d'Economie Politique" az ,,Diplôme d'Etudes Supérieures de Droit Privé". W latach 1947-1949 isze tezę doktorską: ,,Les courants commerciaux de l'Europe Danubienne ux cours de la première moitié du XX siècle". Od 1951 roku pracuje ,,Centre National de la Recherche Scientifique" w Paryżu jako ,,Chargé e Recherche". Jego ostatnia dwutomowa praca podzielona jest na dziesięć zęści. Tom pierwszy ma cztery rozdziały: 1. Przenikanie idei zachodnich przemiany ustroju społecznego Rosji (1725-1850); 2. Okres narastania ruchu ewolucyjnego (1851-1884); 3. Narodziny ruchu robotniczego i socjal-demo-ratycznego (1885-1904); 4. Rewolucja lat 1905-1907. Tom drugi ma też ztery zasadnicze części: 1. Odpływ fali rewolucyjnej i początek Pierwszej Vojny Światowej (1908-1916); 2. Rewolucja roku 1917; 3. Prace doty-zące dziejów rosyjskiego ruchu robotniczego, ogłoszone w latach 1918-954; 4. Dodatek do tomu pierwszego. Poza tym tom drugi ma jeszcze deks alfabetyczny i rzeczowy. Każdy z sześciu pierwszych rozdziałów poprzedzony jest tablicą chronologiczną. Część bibliograficzną dzieli się na wa działy: najpierw dział wydawnictw periodycznych, a następnie książek broszur. Każda pozycja bibliograficzna podaje biblioteki, w których dana raca się znajduje, oraz numery katalogowe; pozycje uszeregowane są chro-ologicznie według roku wydania.

Praca Zaleskiego oparta jest na rozległych poszukiwaniach w głównych biorach kontynentu europejskiego, jak biblioteki Paryża, Genewy, Berna zwajcarskiego, Mediolanu i Amsterdamu. Książka ma wszelkie szanse,

(*) *Mouvements ouvriers et socialistes* (*Chronologie et bibliographie*). *A RUSSIE*. Tome I: 1725-1907; tome II: 1908-1917. Eugène Zaleski .es Editions Ouvrières. Paris, 1956, str. 462 et 489).

aby stać się podstawową bibliografią badaczy rosyjskich ruchów robotnicz pracujących w Europie Zachodniej, a będzie pomocna każdemu, kto int suje się dziejami Europy Wschodniej w ogóle; praca zawiera bowiem c ilość materiału o stosunkach ruchów rosyjskich z ruchami rewolucyjn innych narodów dawnego Imperium Carów: Polaków, Żydów, Ukraińc oraz narodów bałtyckich. Świetny wstęp historyczny dopełnia imponuj całości.

M.K. DZIEWANOWSKI

Konfederacja

Styczniowy numer „Foreign Affairs" wymienia w przeglądzie wyda nictw książkę Piotra S. Wandycza: Czechoslovak-Polish Confederation Przegląd ten prowadzi prof. H. Roberts, dyrektor Rosyjskiego Insty przy Uniwersytecie Columbia i ceniony znawca spraw środkowo europejski Jego uwagi bibliograficzne są uważane za listę najwartościowszych publi cji.

Autor tej książki, młody uczony z polskiej emigracji powojennej, profesorem historii Uniwersytetu Indiana oraz współorganizatorem i wsp pracownikiem czasopisma „The Central European Federalist". W sw dorobku naukowym posiada już kilka poważnych artykułów, ogłoszon w czasopismach amerykańskich.

Książka jest poświęcona konfederacji czechosłowacko-polskiej, a prz wszystkim analizie stosunków politycznych, jakie istniały między tymi p stwami w latach 1918-1939. Zasadnicza uwaga autora skupia się na bach konfederacji, podejmowanych przez rządy generała Sikorskiego i zydenta Benesza w okresie ich wojennej działalności w Londynie. Dr. W dycz poświęca oczywiście sporo miejsca także czynnikowi sowieckiemu podobieństwom i różnicom ogólnej koncepcji politycznej jaką reprezentow obydwie strony. W rozdziałach końcowych znajdujemy ocenę tych wy ków przez pryzmat późniejszych wydarzeń oraz próbę wyjaśnienia przyc załamania się prac nad zbliżeniem dwu państw i trzech pokrewnych sł narodów. Książka zaopatrzona jest w teksty najważniejszych dokument dotyczących sprawy konfederacji oraz w bogatą bibliografię tego przedmi

W. S.

(1) Piotr S. Wandycz. *Czechoslovak-Polish Confederation*. Indiana U versity Publication. Slavic and East European Series, vol. 3, p. 152.

Nadesłane nowości wydawnicze

WYDAWNICTWA EMIGRACYJNE

PIASECKI (Sergiusz). *Zapiski Oficera Armii Czerwonej.* Str. 202 Wyd. „Książka dla Wszystkich", Gryf Publications, Ltd., Londyn, 1957, fr. 600)

NAGLEROWA (Herminia). *Zawalidroga.* Str. 214. Wyd. drugie. (Wyd. „Książka dla Wszystkich", Gryf Publications, Ltd., Londyn, 1957, fr. 600).

NOWAKOWSKI (Tadeusz). *Obóz wszystkich świętych.* Str. 462. (Wyd. „Libella", Paris, 1957, fr. 850).

CZAYKOWSKI (Bogdan). *Trzciny czcionek.* Poezje. Str. 32. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1957).

POLOWIEC (Henryk). *Co emigracja przemilcza.* Str. 47. (Zeszyt 3, Biblioteka Socjalistyczna, Londyn 1957, nakład. autora, cena 3 sh.).

WYDAWNICTWA ZACHODNIE

CHURCHILL (Winston S.). *Histoire.* T. I. *Naissance d'une nation.* Pp. 512 (1956 r.); T. II.: *Le monde nouveau.* Pp. 414 (1957 r.). (Ed. Plon, Paris, cena 1.800 fr.).

Les archives secrètes de la Wilhelmstrasse. Vol. VIII: *Les années de Guerre.* Livre I.: (4 septembre - 30 décembre 1939), pp. 499 (1956 r., cena 1.770 fr.); Livre II.: (2 janvier - 18 mars 1940). Pp. 351. (1957 r., fr. 1.350). (Ed. Plon, Paris).

JOYEUX (Maurice). *Le consulat polonais.* Pp. 288 (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1957, fr. 620).

FEUCHTWANGER (Lion). *La juive de Tolède.* Traduit de l'allemand par Henri Thies. Pp. 320 (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1957, fr. 790).

BORDEAUX (Henry). *Weygand.* Pp. 143 (Ed. Plon, Paris, 1957, fr. 390).

GUEHENNO (Jean). *La foi difficile.* Pp. 253 (Ed. Grasset, Paris, 1957, fr. 585).

LOCH (Sydney). *Athos: the Holy Mountain.* Str. 264. (Wyd. Lutterworth Press, Londyn, 1957, cena 21 sh.).

STANKIEWICZ (W.J.). *Socio-Economic Changes in Post-war Poland.* Str. 387-406. Odbitka z „Political Science Quarterly. Vol. LXXI, Nr 3, September 1956. (Wyd. Academy of Political Science, New York, 1956).

First Population census of Sudan, 1955-1956, Second Interim Report. Str. 56 plus mapa. (Wyd. Population Census Office, Khartum).

WYDAWNICTWA KRAJOWE

ŻYTOMIRSKI (Eugeniusz). *Liryki.* Str. 99. (Wyd. Czytelnik, Warszawa, 1956).

HERTZ (Paweł). *Pieśni z rynku.* Poezje. Str. 36. (Wyd. PIW, Warszawa, 1956).

ZAGÓRSKI (Jerzy). *Czas Lota.* Wybór poezji. Str. 263. (Wyd. PIW, Warszawa, 1956).

BRAHMER (Mieczysław). *W galerii renesansowej.* Szkice literackie. Str. 339. (Wyd. P.I.W., Warszawa, 1957, cena zł. 15).

WYDAWNICTWA KRAJOWE
(Rok wydania 1956)

WYDAWNICTWO „OSSOLINEUM" — Wrocław:

CALDERON DE LA BARCA (Pedro). *Życie snem*. Przeł. E. Boyé. Str. CIII + 176 (zł. 9.70).
Sylabizm. Praca zbiorowa pod redakcją Z. Kopczyńskiej i M. Mayenowej. Str. 518 (zł. 46).
STARNAWSKI (Jerzy). *Juliusz Słowacki we wspomnieniach współczesnych*. Str. 297 (zł. 37).
MROZOWSKA (Kamilla). *Wa... o nauczycieli świeckich w do... Komisji Edukacji Narodo... na terenie Korony*. Str. 360 (... 58).
Recenzje teatralne Towarzystwa ... sów. 1815-1819. Opracował J. I... piński. Str. 626 (zł. 66).

„NASZA KSIĘGARNIA" — Warszawa:

GĄSIOROWSKI (Wacław). *Szwoleżerowie gwardii*. Str. 230 (zł. 7,60).
GĄSIOROWSKI (Wacław). *Rok 1809*. Str. 314 (zł. 9.85).
GĄSIOROWSKI (Wacław). *Huragan*. Str. 587 (zł. 17,75).
SKIBA (Wołody). *Nad poziomy*. Str. 358 (zł. 15.10).
MORCINEK (Gustaw). *Roztomili ludkowie*. Str. 164 (zł. 7.50).
SMOLARSKI (Mieczysław). *W złoconych pałacach wielkiego Chana*. Str. 497 (zł. 17).
DEOTYMA. *Panienka z okienka*. Str. 288 (zł. 12.10).
SZELBURG - ZAREMBINA (Ewa). *Dary czterech wróżek*. Ilust. E. Różańska (zł. 3.50).
NIZIURSKI (Edmund). *Lizus*. S... 173 (zł. 10.20).
DAUDET (Alfons). *Port-Tarasko...* Str. 171 (zł. 9.10).
Woda żywa. Baśnie pisarzy polskic... Zebrała Stefania Wortman. S... 307 (zł. 14.30).
DĄBROWSKA (Maria). *Czy... serca*. Str. 92 (zł. 4).
GRIMM (Wilhelm i Jakub). *B... nie*. Ilustr. B. Truchanowska... W. Majchrzak. Str. 116 (zł. 1...
ELSZTEIN (Paweł). *Duża książ... o małych samolotach*. Str. 81 (... 8.10).
BÜRGER (Gotfryd August). *Prz... gody Münchhausena*. Ilustr. Gus... wa Doré. Przekład Hanny Ja... szewskiej. Str. 126 (zł. 27).

SPÓŁKA WYDAWNICZA „CZYTELNIK" — Warszawa:

Z syreną na ty. Z programów warszawskiego Teatru Syrena 1945-1955. Wybór L. Klekow. Str. 406 (zł. 27.50).
WELLS (Herbert George). *Opowieści fantastyczne*. Tłum. z ang. Wybór. W. Kopaliński. Str. 562 (zł. 17,70).
STRUG (Andrzej). *Żółty krzyż*. T. I: *Tajemnica Renu*. Str. 344, T. II: *Bogowie Germanii*. Str. 295, T. III: *Ostatni film Evy Evard*. Str. 326 (zł. 31.20).
PAUSTOWSKI (Konstanty). *Opowieść o lasach*. Tłum. z ros. Cz. Jastrzębiec-Kozłowski. Str. 353 (zł. 7.50).
SZEWCZYK (Wilhelm). *Sk... Donnersmarcków*. Str. 286 (zł. 1...
Wierszu, rodzona moja mowo... W... bór poezji współczesnej. Str. 1... zł. 4.80).
MANN (Tomasz). *Buddenbroo... wie*. Tłum. z niem. E. Lib... wicz. Str. 688 (zł. 32).
BŁAHUTOWA KLIMAS (M... ria). *Przedmieście*. Str. 276 (... 8.40).
JIROTKA (Zdenek). *Człowiek ... psem*. Tłum. z czesk. C. D... chowska. Str. 190 (zł. 6).
GOFF (Inna). *Serce bije*. Tłum... ros. E. Dmowska. Str. 252 (... 7.90).

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

List p. A. Bregmana powracający do głośnej uchwały Związku Pisarzy Polskich na obczyźnie, jaką Stefan Kisielewski określił niedawno na łamach katolickiego ,,Tygodnika Powszechnego'' jako ,,niemądrą (u nas w kraju mówi się: głupią''), wymaga dokładniejszego, aniżeli to robi autor listu, przedstawienia przebiegu owego przygnębiającego zebrania.

A. Bregman pisze że był zdania iż ,,w takiej sytuacji, w której dalszy rozwój wydarzeń w Polsce jest nie do przewidzenia'' byłoby lepiej zaczekać nieco z formułowaniem stanowiska w takiej zasadniczej sprawie''. I zaraz dodaje: ,,Większość zebranych, łącznie z przeciwnikami uchwały, nie przychyliła się do tego stanowiska''. Ta informacja nie wyjaśnia dlaczego przeciwnicy uchwały nie mogli poprzeć pozornie kompromisowego wniosku p. A. Bregmana.

Trzeba więc uzupełnić że wniosek A. Bregmana proponował dwie rzeczy: a) potwierdzenie deklaracji z 1947 roku postanawiającej wstrzymać się od ogłaszania czegokolwiek w kraju; b) zwołanie osobnego zebrania dla ponownego sformułowania tej zasady.

Tego rodzaju kompromis wydaje mi się tak zwanym ,,cygańskim kompromisem'', polegającym na oddaniu jednym konia, a drugiej stronie — końskiego ogona. Nic dziwnego że przeciwnicy ograniczania swobodnej działalności pisarza arbitralnymi decyzjami, a przy tym odrzucający zawsze dawną deklarację części członków Związku, musieli się wnioskowi Bregmana sprzeciwić. Deklaracja z roku 1947 nigdy nie obowiązywała całości Związku; była podpisywana imiennie i tak na przykład pamiętam jak gorąco sprzeciwiał się jej Jan Bielatowicz, dziś główny felietonista redagowanego przez J. Kisielewskiego ,,Życia'' i obrońca ostatniej uchwały. Potwierdzenie jej rozszerzyłoby ją na innych.

A. Bregman nie zwrócił widać uwagi że istotną sposobność uniknięcia błędu i spowodowanych przez niego rozdźwięków dawał dopiero wniosek niżej podpisanego. W dyskusji nad niefortunną uchwałą nigdy jakoś nie wspomniano jakie dwa wnioski przeciwstawiały się sobie podczas pierwszego dnia walnego zebrania, i jaka była istota wyboru, dokonywanego przez jego uczestników. Pora to przypomnieć.

Mój wniosek brzmiał: ,,Walne zebranie itd. odracza dyskusję nad projektem uchwały, przedstawianym przez powołaną przez prezesa T. Terleckiego specjalną komisję pod przewodnictwem J. Kisielewskiego, aż do czasu osobnego zebrania w tej sprawie, do którego możliwie szybkiego zwołania zobowiązuje przyszły Zarząd''. Wniosek taki nie przesądzał meritum sprawy i pozwalał na jej spokojne rozważenie w chwili, gdy ogół będzie już lepiej poinformowany o wydarzeniach w kraju. Tu A. Bregman ma rację

iż zebranym spieszyło się do rozstrzygnięcia sprawy od razu, gdyż za wy-niętym przeze mnie kompromisowym rozwiązaniem trudności opowiedzi się tylko trzy osoby. Przyjęto natomiast wniosek przewodniczącego (!) brania, Zyg. Nowakowskiego, który brzmiał: „Walne Zebranie itd. prz muje w zasadzie wniosek Komisji, odkładając jego sformułowanie do d szego ciągu Zebrania w dniu następnym". Nie bardzo wiem, jak mo uchwalać wniosek „nie sformułowany", a więc pozbawiony i formy, i tre rzeczowej i wagi prawnej. Ale widać prawnicza logika obrad była mn więcej taka jak ich przenikliwość polityczna, skoro dziwaczny wnios uchwalono przy trzech tylko głosach sprzeciwu. Następnie powołano komi dla przygotowania tekstu poprzednio uchwalonego wniosku. Te metody ob sprawiły, że nie widziałem celu w dalszym uczestniczeniu w Walnym Z braniu odbywającym się w podobny sposób. Śmiem jednak przypisywać sw kilkakrotnej krytyce projektu Kisielewski-Terlecki pewną zasługę — dziel z prof. Kukielem — zwrócenia uwagi zebranych na niedopuszczalny i treść pierwotnie proponowanego tekstu i tym samym uratowania Związ od jeszcze dotkliwszej utraty autorytetu, niż stało się to w wyniku ca sprawy.

Tak więc Walne Zebranie rozstrzygało wówczas między odroczeni dyskusji a natychmiastowym wystąpieniem przeciw drukowaniu w Pols Dlaczego zwolennikom tej demonstracyjnej uchwały tak się spieszyło? Sąd że są tylko dwa prawdopodobne wytłumaczenia. Albo zdawano sobie sp wę, że wkrótce pomysł uchwały wyda się nierozumny i tak zginie sposobn „zasłużenia się ojczyźnie", albo też po prostu nie wiedziano co się dzi w kraju, od dawna nie orientując się ku czemu kraj idzie. Osobiście prz muję to drugie przypuszczenie. Życie umysłowe w kraju niektórzy pisar i publicyści lekceważyli od tak dawna, tak się od niego izolowali, zamyk jąc się w prymitywnych formułkach intelektualnych i politycznych, że n znając go, tym samym — nie rozumiejąc go, nie mieli żadnej nadziei cokolwiek mogło ulec zmianie. W chwili dokonywania się doniosłej zmia — uczynili sztandar ze swego passeizmu, akcji przeciwstawili pustosłow Gdy nadzieję i zdolność ryzyka posiadał kraj, utraciła je grupa publicystó dziennikarzy i pisarzy emigracyjnych. Cóż za paradoks!

◆

Popełnianie błędów jest rzeczą ludzką. Wstrząs wywołany przez w darzenia w Polsce był tak silny, że należało oczekiwać wznowienia dysku i odwołania, czy choćby zmodyfikowania owej uchwały wynikającej prostu ze stanu idealnej niewiedzy. Ale izolacja od życia jest trudna przezwyciężenia, wytwarza bowiem świat fikcyjnej walki i fikcyjnej cno majestatu itd. Nie pomogło „apostołowanie" Hanny Malewskiej — Stefan Kisielewski nazywa wieczór autorski w Związku Pisarzy miłe gościa z kraju. Uchwała ani drgnęła.

Swoją drogą dość słabe wydaje mi się to apostolstwo, które unika jęcia publicznego stanowiska; wyniki potwierdzają tę ocenę. Doprawdy mam danych by twierdzić, że utalentowana autorka „Przemija pos świata", na swoim wieczorze autorskim w Związku Pisarzy choć jedn słowem zaznaczyła swój stosunek do uchwały Związku.

Jest jej absolutnym prawem przemawiać gdzie chce i jak zechce, równie dobre prawo ma się wtedy przypuszczać że najwidoczniej przyjmu protektorat Związku, a milcząc w najdrażliwszej sprawie, uznaje rację uchwały. Nie ma w tym, samo przez się, niczego gorszącego; wiele o zgadza się z tą antykrajową demonstracją, wielu przeciw niej protestu Ale zawsze przyjemnie wiedzieć z kim się ma do czynienia.

Tak na przykład niemiłe robi na mnie wrażenie wszelkie stwarzanie pozorów odżegnywania się od uchwały, osłanianie jej wstydliwym milczeniem a zarazem brak kroków które mogłyby wpłynąć na jej odwołanie. Rozumiem tych co ją zwalczają, rozumiem tych którzy — w dobrej wierze — bronią jej, atakując słabe punkty odmiennego stanowiska; nie rozumiem takich, którzy albo udają że nic się nie stało, albo udają że nie wiedzą o co chodzi.

Zdzisław BRONCEL

◆

Ogunquit (Maine), USA, kwiecień 1957.

Przeczytałem w ,,Kulturze'' z wielkim zainteresowaniem dwa artykuły: ,,Witamina P'' i ,,Nec Hercules'', które traktowały bardzo drażliwą sprawę: walkę o polskość własnych dzieci. W obydwóch artykułach zabrały głos matki, a teraz przemówi ojciec. Zachowanie polskości było łatwiejsze w Niemczech, czy Rosji, bo najpierw było bliżej Polski, a po drugie obydwa języki były językami wrogów. W dalekim kraju, jak U.S.A., gdzie dla dzieci język angielski nie jest wrogim, ale łatwiejszym i praktyczniejszym od polskiego, walka o zachowania polskości jest bardzo trudna. Możemy mieć najlepsze chęci zachowania polskości, ale życie zmienia nasze plany. Nie będę przytaczał różnych teorii, lecz podam przykłady z własnej rodziny.

Jesteśmy z żoną w U.S.A. od przeszło czterdziestu lat. Tu wychowaliśmy dwie córki i pięciu synów. W domu mówimy tylko po polsku. Dzieci uczęszczały do polskiej szkoły dokształcającej, należały do harcerstwa, latem przeszły kurs harcerski pod kierownictwem harcerzy z Polski. Żeby utrzymać polskość, chciałem każde dziecko wysłać na jakiś czas do Polski. Pierwszą najstarszą córkę wysłałem na rok do Polski do gimnazjum. Po powrocie brała czynny udział w życiu młodzieży polskiej. Jako studentka uniwersytetu została wysłana do Polski na kursy letnie. Po skończeniu uniwersytetu była nauczycielką języka polskiego w ,,High School''. Potem wyszła zamąż za Polaka, urodzonego w U.S.A., mówiącego po polsku, ale już między sobą nie rozmawiają po polsku, a ich pięcioro dzieci także nie mówi po polsku.

Potem przyszła kolej na wyjazd do Polski dla starszego syna. Gdy skończył ,,High School'' w 1938 roku, to na wakacje zabrałem go do Polski. Zwiedziliśmy całą Polskę, był nią zachwycony, chciał nawet tam zostać, ale wrócił, by zapisać się na uniwersytet. Przyszła wojna, wstąpił do marynarki, został oficerem, ożenił się z nie Polką. W domu po polsku nie mówią i syn jedynak też po polsku nie mówi. Obecnie jest w dużej klinice chirurgiem.

Drugi syn też był w marynarce, skończył inżynierię, jest wice-dyrektorem w fabryce. Dwóch synów jest księżmi, jeden pracuje w duszpasterstwie parafialnym, a drugi jest profesorem chemii na katolickim uniwersytecie.

Ostatni syn bierze kurs handlowy. Najmłodsza córka jest pielęgniarką. Wszyscy z nami mówią po polsku, ale między sobą po angielsku. A więc ani polski język w domu, ani szkółki polskie, ani harcerstwo nie mogły utrzymać mowy polskiej, a nawet pobyt w Polsce nie pomógł. Przy naszych najlepszych staraniach nie udało się nam zachować polskiego języka, a jednak — sądzę — nasze wysiłki nie poszły na marne, bo dzieci czują się Polakami, nie wstydzą się swego pochodzenia i bronią polskiej sprawy słowem i pismem.

Zasadniczo trzeba sobie uświadomić, o co mamy walczyć, czy o język polski, czy o zachowanie poczucia polskiego? Jeżeli jest niemożliwe utrzy-

manie języka, to starajmy się wpoić w dzieci polskość. Zachowujmy t dycje polskie, mówmy im o Polsce. Niech czytają po angielsku histo polską, niech dowiedzą się o wyczynach narodu polskiego, a wtenczas n będą się wstydziły swego pochodzenia i jak wyrosną i zajmą stanowisk to będą oddane sprawie polskiej. Mamy tu moc Irlandczyków, którzy n mówią po irlandzku, ale zawsze podkreślają że są Irlandczykami i bron spraw Irlandii. Mamy w U.S.A. Polaków, którzy nie mówią po polsk ale służą sprawie polskiej jak na przykład : posłów do Izb Stanowych i F deralnych, profesjonalistów, artystów i wielu innych.

Na zakończenie podkreślam, że jeżeli nie możemy zachować języ polskiego u naszych dzieci, to starajmy się wpoić w nie miłość do POLSK żeby na przyszłość mogły być pożytecznymi dla NARODU POLSKIEG

Inż. Witold W. KOSICKI

◆

Melbourne, 30. 3. 195

Szanowny Panie Redaktorze,

Należy się uznanie panu Jeleńskiemu i „Kulturze" za śmiałe i be względnie przewentylowanie jednego z narodowych grzechów — antysemity mu. Jestem pewien, ankieta wyleczy z antysemityzmu wielu emigrantów a może jej wpływ dotrze i do Kraju. Szczęśliwym zbiegiem okolicznoś antysemityzm polski nigdy nie osiągnął rozmiarów hitlerowskich, lub rosy skich, ale najmniejszy nawet antysemityzm jest groźny dla naszego narod wego bytu — godzi bowiem w nasze historyczne powołanie, a więc w se narodowego istnienia. Powołaniem polskiego narodu jest tolerancja i wspó życie z innymi narodami. Unia z Litwą i Rusią ocaliła nas od zagłady krz żackiej, a zgodne współżycie z narodami ruskim i litewskim zbudowało ni słychaną potęgę. Tolerancja religijna rozniosła Polsce dobrą sławę w świec i otworzyła nieograniczone możliwości polityczne. Niestety — najświetniejsz koniunktura zewnętrzna zbiegła się w czasie z zanikiem umiejętności wspó życia i tolerancji. Zygmunt Waza nie zdobył się na tolerancję i zrozumien dla narodu moskiewskiego, dlatego świetne zwycięstwo S. Żółkiewskieg i cała Wyprawa Moskiewska skończyła się fiaskiem. Nietolerancja i bra zrozumienia dla narodu kozackiego przesądziły o śmierci politycznej Rzecz pospolitej i jej ostateczny upadek stał się tylko kwestią czasu.

Wydaje się, że Polska była skazana przez Opatrzność albo na ni ograniczony rozrost, albo na zagładę. W roku 1918 Bóg, wracając Polsc wymodloną przez wiele pokoleń wolność, postawił ją przed próbą jej posłan nictwa : wyswobodzenie z czerwonej niewoli narodów niegdyś w skła Rzeczypospolitej wchodzących — Białorusinów i Ukraińców. Próba wypadł ujemnie. Wprawdzie Piłsudski, który zawsze patrzył na otaczające go zja wiska historiozoficznie, zrozumiał wyzwanie losu i z całą powagą przystąp do tworzenia wolnej Białorusi i Ukrainy, jednakże zajadła opozycja kier wana przez Narodową Demokrację zredukowała rezultaty jego wysiłków Następnie Dmowski i Stanisław Grabski na konferencji pokojowej w Rydz z tępotą obłąkańców pogrzebali bez reszty sprawę wolności narodów, któr niegdyś żyły pod wspólnym dachem Rzeczypospolitej.

W Polsce niepodległej Narodowa Demokracja, ta twierdza narodow ciemnoty i zacofania, usiłowała przeprowadzić eksterminację Żydów. Cz okupacja hitlerowska wyleczyła Polaków z antysemityzmu ? Jednych tal drugich nie. W czasie ostatniej wojny, w obozie jenieckim polskich ofic rów w Lubece przebywał pewien filar Endecji (obecnie znajduje się i dzia

na emigracji), który w niewoli pisał i partiami wysyłał do Kraju książkę antysemicką. Mówił, że w Polsce niepodległej nie mógł wydać tej książki ze względów cenzuralnych, chciał więc wydać ją pod okupacją. Rodzina autora jednak odmówiła wydania książki, ratując go tym samym od hańby. Szowinizm jest szkodliwy dla każdego państwa; dla Polski, która była raczej zlepkiem narodowościowym, szowinizm jest samobójstwem. Jak zwalczyć antysemityzm? Oświatą i uświadomieniem. „Kultura" rozpoczęła to dzieło.

Z poważaniem *W. K.*

(Nazwisko znane Redakcji)



Buenos Aires, 17 marca 1957.

Drogi Panie Redaktorze,

W związku ze wspomnieniami ambasadora M. Sokolnickiego w „Kulturze" Nr 1-2/57 „Na rozdrożu czasów" — dopisek (2) strona 136 i 137 — pozwalam sobie nadesłać następujące uzupełnienie.

Konsul generalny w Jerozolimie, Witold Hulanicki, został właściwie usunięty przez min. Kota, jako wyrocznię ówczesnego rządu w sprawach personalnych, a min. Zaleski był tylko formalnym wykonawcą.

Gwałtowne usunięcie Hulanickiego było prawdopodobnie powodem jego późniejszego załamania się, co właśnie chcę opowiedzieć.

Po zwolnieniu z M.S.Z. Hulanicki uzyskał posadę u angielskich władz mandatowych w Palestynie, w roku 1940, jako cenzor-urzędnik, a w latach późniejszych doszedł do stanowiska chief-censor.

W czerwcu roku 1940 ułatwiał Brygadzie Karpackiej przejście z Syrii do Palestyny, torując drogę do odpowiednich władz angielskich oficerowi łącznikowemu por. J. Kłopotowskiemu, wysłanemu z Brygady.

Po przejściu Brygady do Palestyny Hulanicki zaczął bardzo często odwiedzać Brygadę, nawiązując bliższe stosunki z dowódcą, płk. Kopańskim, całym sztabem i wieloma oficerami; odwiedziny były tak częste i natarczywe, że zaczęły wzbudzać pewne podejrzenia; nawet kiedy Brygada później odeszła do Egiptu, do rejonu Aleksandrii, przyjechał tam raz i stale utrzymywał korespondencję z kilkoma oficerami.

Jako ówczesny szef oddziału II na Środkowy Wschód, wyczułem sens działalności Hulanickiego, ale z jednej strony nie miałem jej namacalnych dowodów, a z drugiej strony oceniałem tę akcję — contradictio in adjecto — jako „dobrotliwe szpiegostwo" na rzecz Anglików, którzy nas nie znali, a myśmy nic nie mieli do ukrycia przed nimi. Byliśmy dla kolonialnego zespołu angielskich oficerów narodem jeżeli nie egzotycznym to bardzo mało znanym i jako dowcip może świadczyć pytanie jednego z oficerów angielskiej intendentury, po przyjściu Brygady do Palestyny, czy aby nam religia nie zakazuje spożywania jakiegoś rodzaju mięsa czy tłuszczu (jak np. w wojsku induskim mahometanie nie jedli wieprzowiny, a inni wołowiny).

W każdym razie nigdy nie przypuszczałem, nawet w swej zawodowej podejrzliwości, że Hulanicki może dostawać za swe usługi zapłatę.

Czas płynął, wojna rozwijała się i nasze zainteresowania szły w innych kierunkach.

W roku 1942, w Cairo, pewnego poranku przyszedł do mnie płk. Wiek, delegat szefa intendentury naczelnego dowództwa na Środkowy Wschód,

z prośbą o naświetlenie mu paru spraw Brygady Karpackiej, których
znał, jako przybyły dopiero w 1941 roku z Londynu. Między innymi pr
Rządu wszystkich wydatków naszego wojska na Środkowym Wschodzie,
podstawie dokumentów przesłanych przez Anglików. Choć ,,zarachowani
prowadzał właśnie z Anglikami sprawę ,,zarachowania'' na konto naszc
było raczej symboliczne, ale były sprawy niejasne. Jedną z takich spraw
ku memu osłupieniu — były rachunki Hulanickiego za wyjazdy do Bryga
za przyjęcia dla Brygady, za benzynę itd., w poważnej sumie około 4
sięcy funtów! Za każdą wycieczkę był słony rachuneczek, za przyjęcia r
kome, za benzynę którą dawała Brygada itd.

Domyślać się należy, że raporty poszły inną drogą, bardziej konfid
cjonalną, a rachunki inną i zostały ,,zakartotekowane'' w archiwum p
hasłem ,,Polish'' i gdy Anglicy wydali rozkaz przesłania rachunków woj
polskiego do ,,zarachowania'' na konto ,,Polish'' to prawdopodobnie ja
pilny clerc wyciągnął je i nie czytając treści, odesłał ,,drogą służbową

Pytał się płk. Witek co ma robić z tymi rachunkami?

Sytuacja była wówczas bardzo gorąca; właśnie oddziały gen. Ande
zaczęły napływać z Sowietów wraz z tysiącami wygnańców, kobiet i dzie
Brygada Karpacka przeformowała się na Dywizję, mieliśmy odjeżdżać
Iraku, gdzie miała tworzyć się cała armia itd. Było tysiąc spraw nagły
i istotnych i wszystkie oparte na współpracy z Anglikami.

Uważałem za niewskazane robienie sądów i alarmów, zadrażnianie A
glików. Szkoda państwowa była żadna, chodziło jedynie o degrengoladę je
nostki. Sprawę postanowiłem odłożyć do załatwienia po wojnie, rachun
Hulanickiego kazałem odfotografować do archiwum, a oryginały zwróciłe
płk. Witkowi i poradziłem odesłać Anglikom z ironicznym listem.

Czas znowu płynął, wojna biegła, przeszliśmy do Iraku, później zno
do Palestyny, ale na krótko, wreszcie przez Egipt do Włoch na fro
Element polski, który pozostał na dłużej w Palestynie, był z punktu widz
nia politycznego mało interesujący: dzieci, młodzież, kobiety i starsi pan
wie. Natomiast w Palestynie zaczynało gwałtownie wrzeć zagadnienie ż
dowskie, zasilone około trzema tysiącami żołnierzy-Żydów z 2 Korpus
którzy pozostali samowolnie w Palestynie. Zachodzi podejrzenie czy Hul
nicki nie przerzucił się wtedy na Żydów.

W roku 1946 Hulanicki został zamordowany przez bojówkę żydowsk
widocznie Żydzi wiedzieli za co go mordują, i byli od nas mniej wyr
zumiali.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Wł. MICHNIEWICZ, ppłk. dypl.

◆

Belo Horizonte (Brazylia), 28. III. 195

Szanowny Panie Redaktorze,

W prasie krajowej ostro atakują Władysława Broniewskiego za serw
lizm w stosunku do Stalina i jego reżymu w Polsce. W zażartej walce int
lektualistów o n o w e z konserwą partyjną co raz spadają na niego cię
W wielu wypadkach robiono z jego dzieła oręż polityczny czy też tarcz
pozostawiając samego człowieka na marginesie; w innych, najczęstszyc
ataki przybierają pozór łatwych dzisiaj porachunków z wielkim poetą. Zapa

czywość w walce wiele usprawiedliwia, stawia ją na płaszczyźnie namiętności, nie dziwi. Z innym uczuciem czytałem atak na niego w „Kulturze" pióra Mariana Pankowskiego. W tym ataku trudno dopatrzyć się usprawiedliwiającej zapalczywości skoro wiemy, że atakujący patrzył na sprawę z odległej loży, a atakowany — bezsilny, może nawet zawstydzony, ani się broni, ani, być może, nie chciałby bronić pozycji atakowanej. Zawsze wydawało mi się, że walczymy o wolność dla wszystkich, nawet dla komunistów, nawet dla tych o odcieniu natolińskim. Wolność jest jedna i niepodzielna. Nie musimy być wszyscy zgodni, ale uznać prawo do wolności musimy dla wszystkich, nawet dla tych którzy jej nie uznają.

Pankowski oskarżył Broniewskiego ciężko, napisał o nim: oportunista. Znam Broniewskiego od lat czterdziestu i wiem jak zarzut ten był celny. Życie Broniewskiego nie jest dla mnie ani dla nikogo z Polaków tajemnicą. Legiony wbrew woli rodziny, rezygnacja z łatwej kariery po wojnie polsko-rosyjskiej w roku 1920, nędza („pożyczcie, proszę, 20 złotych"), konieczny niedosyt ambicyj literackich, więzienia rodzime i obce, obozy, tułaczka — oto etapy życia „oportunisty". Wprawdzie Pankowski ich nie ukrywa, ale używa jedynie do zestawienia z inną, niedawną przeszłością. Pisze że Broniewski upodlił się dla SŁAWY. Coś mi tutaj nie pasuje. Dla sławy Broniewski nie potrzebował pisać wierszy o treści politycznej, bowiem nie temat, lecz forma i głębia ujęcia w jego utworach przynosiły mu sławę.

Czym się kierował pisząc upokarzające jego samego „Słowo o Stalinie" czy „Nadzieję" — któż to zgadnie. Nie dałbym, być może, pełnej wiary nawet jego własnej na ten temat wypowiedzi. Dopuśćmy, że w i e r z y ł. Najłatwiejsze są oczywiście skróty: z jednej strony patrioci, z drugiej podejrzani i koniec. W życiu jest zwykle inaczej, nie tak schematycznie. Więc może jednak Broniewski nie jest oportunistą, może jest tylko innowiercą, a może po prostu — zbłądził. Nie on jeden, nie on pierwszy i nie on ostatni.

M.B. LEPECKI



Toronto, Ont. (Kanada).

Szanowny Redaktorze,

Spory okres czasu minął między napisaniem a wydrukowaniem notatki „Polonica na uniwersytetach kanadyjskich" w następstwie czego pewne dane zdeaktualizowały się. I tak na przykład kilku profesorów zdołało już opuścić Kanadę, ale bardziej przykry jest błąd drukarski. Z zestawienia polskich wykładowców uniwersytetu McGill wypadło nazwisko dr. Bogdana Zaborskiego, profesora geografii, odgrywającego dużą rolę w życiu naukowym Kanady. Przy nazwisku dr. L. Ujejskiego opuszczono nazwę uczelni, na której wykłada, mianowicie Sir John William's College w Montrealu.

Pragnę jeszcze raz podkreślić, że zestawienie — mimo iż niekompletne — obrazuje jednak wielki wkład Polaków w życie naukowe Kanady. Następne zestawienie pracowników naukowych różnych instytucji badawczych, poza uniwersyteckich, łącznie z uzupełnieniem listy Polaków wykładowców na wyższych uczelniach winno pozwolić na uzyskanie obrazu wkładu polskiego w młodą kulturę kanadyjską.

B. HEYDENKORN

Buenos Aires, 28. III. 1

Do Redaktora „Kultury".

Zmartwił mnie list p. Jana Kowalika w nr 3/113 „Kultury", w rym to liście stoi iż ja obawiałem się, że moja odpowiedź na wiad ankietę mogłaby „snadno stracić indywidualny wydźwięk". Potem p. walik gniewa się na mnie, że jestem taki zarozumiały i doradza a „walkę z przerostami polskości zaczął od własnej niesfornej osobowoś

Ze swej strony doradziłbym p. Kowalikowi aby nie oddawał się p i nie zabawiał się w pouczanie pisarzy jak mają pisać, gdy — wyraźni z listu jego wydać — jest czytelnikiem, który niezbyt umie czytać. L ratura, panie Kowalik, jest tyleż sprawą pisania co czytania. Jeśli czyte kiepski i nierozgarnięty, to i autor będzie zawszy godny nagany — ale ten autor, który istnieje w rzeczywistości tylko ten, którego ma w gło p. Kowalik. W danym wypadku chodzi o jakiegoś kowalikowego Gom wicza z którym za nic nie chce mieć nic wspólnego niżej podpisany

Witold GOMBROWICZ



Glasgow, 14 luty 19

Szanowny Panie Redaktorze,

P. R. Walewicz („Kultura", styczeń-luty 1957, str. 226) wyrzuca użycie słowa *slang* (użyłem nb. również przymiotnika *slangowy*, por. „K tura", październik 1956, str. 86, 87, listopad, str. 123).

Wbrew temu, co sugeruje p. Walewicz, i *slang* i *slangowy* nie są o językoznawczej literaturze w Polsce. Na przykład na łamach krakowski dwumiesięcznika „Język Polski" znajdujemy oba te słowa w artykuł pt. „O pochodzeniu wyrazu *sitwa*" (1948, str. 79-80) i „Przyczynki słownictwa wojennego" (1950 str. 84-87). Słowo *slang* podaje na str. *Słownik wyrazów obcych* (tj. polskich pochodzenia obcego i obcych używ nych w polszczyźnie!), ułożony przez trzech profesorów językoznawst Rysiewicza, Safarewicza i Słuszkiewicza (P.I.W., 1954).

Co się tyczy czterech terminów zalecanych przez p. Walewicza, żyjący już Henryk Ułaszyn, moim zdaniem słusznie, wypowiedział się pr ciw używaniu *szwargotu* i *żargonu* (por. str. 16, *Język złodziejski*, Łó 1951). Swój własny pogląd na różnicę między *gwarą* a *narzeczem* sformu wałem na str. 53-4 *Rzeczy o polszczyźnie* (Londyn, 1956).

Co do *drapacza nieba*, który p. Walewicz kwestionuje, w tłumacze „Włóczęgi dookoła świata" Richarda Katza, dokonanym przez Zofię Pet sową, jest i *drapacz chmur*, i *drapacz nieba* (sprawdzone w przedmow str. 5-7, i w części traktującej o Stanach, str. 302-343, wydanie II, Warsz wa 1938): „*drapacze chmur*", str. 7, „*drapaczem chmur*", 329, „*Drapac chmur* stoją bezcelowe puste niepotrzebne". Zresztą nie mogłyby dziś „d pać chmur", 337; „nie ma city ani *drapaczy nieba*", 320; „Pod mojemi nami budują nowy *drapacz nieba*", 328. Można na tym poprzestać, a stwierdzić, że *usus* był i jest mieszany. *Nota bene* p. Walewicz nieuważn czyta: w artykule o „Zmianach w polszczyźnie krajowej" pisałem tylko, „*ponoć* w ostatnich czasach" twór *wieżowiec* stał się synonimem *drapac* („Kultura", październik 1956, str. 77).

Wyraz *wydźwięk*, którego p. Walewicz używa w sposób raczej nie-
byt szczęśliwy („Wszystkie te słowa mają *wydźwięk*"!), ostro krytykuje
Eugeniusz Słuszkiewicz w warszawskim *Poradniku Językowym* z roku 1951,
tr. 25-26. Słuszkiewicz również bardzo źle się wyraża o osobach używają-
ych słowa *wydźwięk*, co już zresztą raczej stanowi wypad poza językoz-
nawstwo.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

Stanisław WESTFAL

◆

Londyn, 8 luty 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

Panu rotmistrzowi Zdzisławowi Budynowi coś „sień" pomyliło.
Zdanie cytowane częściowo przez Pana Rotmistrza w moim artykule
Gen. Przewłocki w Motoli" brzmi: „Jeden z pułkowników napisał, że
dkomenderowanie z jego pułku 10 ułanów rozbije mu cały pułk i że rozkazu
ie wykona. Na drugi dzień pułkownik ten meldował się u generała w spi-
aczach i pasie (z bardzo ładnie wyczyszczoną sprzączką) a następnego dnia
ieliśmy 10 ułanów w szkole".
Zarzucanie mi że wyrządziłem krzywdę nieistniejącemu w 2 Korpusie
0-temu Pułkowi Ułanów i jego nieżyjącemu dowódcy śp. ppłk. K. Busle-
owi, którego zasługi nie potrzebują „kupieckiej reklamy" jest śmieszne.
Byłoby bardzo dobrze gdyby Pan rtm. Z. Budyn uważniej przeczytał
rtykuł zanim zdecydował się na napisanie do redakcji. List taki przynajmniej
jednym aspekcie — umiejętności czytania słowa pisanego — nie przy-
arza na pewno sławy bohaterskim „Dziesiątakom".
Byłoby może też dobrze gdyby Pan Redaktor, skoro sam nie miał czasu
rawdzić uwag zawartych w liście z oryginałem, przesłał mi ten list do
ypowiedzenia przed jego ogłoszeniem.
Ostatecznie mogą się znaleźć tacy czytelnicy, którzy nie czytali mego
rtykułu a przeczytali list. Może wtedy u nich pozostać przeświadczenie
niedokładności faktów przeze mnie cytowanych i chęci obrażenia nieistnie-
cego w korpusie pułku.

Łączę wyrazy poważania

Antoni ZIELICKI

◆

WYJAŚNIENIE

W tygodniku „Przemiany" (nr 9/21 i następne) z dnia 3 marca 1957
azał się przedruk opowiadania Andrzeja Bobkowskiego „Spotkanie", opu-
ikowanego w „Kulturze" (nr 3/101) z marca 1956. Przedruk został zaopa-
ony w następujące objaśnienie redakcji „Przemian": „Opowiadanie An-
zeja Bobkowskiego pisarza przebywającego na emigracji, po raz pierwszy
ło drukowane w miesięczniku „Kultura", ukazującym się w Paryżu i re-
gowanym przez p. Jerzego Giedroycia, za jego zgodą rozpoczynamy druk
potkania". Autor przeznaczył należne mu honorarium na pomoc dla repa-
antów z ZSSR".

Ponieważ stylizacja tego objaśnienia może sprawiać wrażenie, że p. [An]drzej Bobkowski wyraził zgodę na przedruk i zadysponował swoim hon[ora]rium — wyjaśniamy, dla uniknięcia jakichkolwiek nieporozumień, że zaró[wno] zgodę na przedruk jak dyspozycję co do honorarium załatwiała reda[kcja] „Kultury" bez porozumiewania się z autorem, który został o tym poinfor[mo]wany po fakcie. Wyjaśnienie to jest tym bardziej potrzebne, że p. And[rzej] Bobkowski jest przeciwny drukowaniu w obecnej chwili utworów w pr[asie] krajowej przez pisarzy emigracyjnych, zaś swoje stanowisko sprecyzo[wał] w ankiecie ogłoszonej w swoim czasie w tej sprawie przez „Kulturę".

REDAKTOR

DOKUMENTY

Zeszyt III



Przyczyny rewolucji węgierskiej



Testament Haricha

Przyczyny rewolucji węgierskiej

(TAJNY DOKUMENT WĘGIERSKI
PRZEDSTAWIONY PRZEZ FRANÇOIS FEJTÖ)

Walki zamarły na Węgrzech, ale spiski trwają. Przede wszystkim w łonie Partii, będącej rzekomo „u władzy". Partia zwyciężyła, ale za jaką cenę: oto zmuszona jest powracać do metod tajnego działania sprzed 1945 roku. Aktywiści organizują się w komórki złożone z 12-tu do 14-tu członków, zbierając się coraz to u innego towarzysza. Oficjalnie tłumaczy się tę nową formułę organizacyjną brakiem lokali (1). Istotnie, znaczna część lokali zajmowanych przez Partię, zwłaszcza w Budapeszcie, została podczas powstania zajęta przez bezdomnych, lub przez robotników żyjących przedtem w fatalnych warunkach mieszkaniowych. Oczywiście Partia mogłaby usunąć tych „intruzów". Ale „nie chce". Bezsilność potężnych...

Opozycja również spiskuje. Przede wszystkim zarząd Związku Pisarzy, który zbiera się prawie otwarcie, nie zważając zupełnie na rozwiązanie Związku przez rząd (2). Reszta opozycji, a zwłaszcza dawni zwolennicy Nagy'ego, zachowują się bardziej dyskretnie. Wydaje się, że brak jej jakiegokolwiek centralnego kierownictwa, więzią organizacyjną są raczej grupy studiów. Na licznych, tajnych zebraniach dyskusyjnych omawia się tam zawsze — jak donoszą mi z Budapesztu — zasadniczą naturę wypadków październikowych. Rewolucja czy Kontrrewolucja? Rewolucja narodowa i demokratyczna, czy też rewolucja ludowa i socjalistyczna? Grupa intelektualistów węgierskich, przeważnie zwolenników Imre Nagy'ego postawiła sobie nawet za główne zadanie oświetlenie zarówno głębokich jak i bezpośrednich przyczyn wydarzeń z zeszłego października i listopada. Uważają oni, że tego rodzaju analiza jest podstawowym warunkiem wszelkich planów na przyszłość. Z początkiem roku przesłano mi z Budapesztu powielony do-

(1) „Nepszabadsag".
(2) Według tygodnika „Magyarorszag" z 28 marca 1957, pisarze tak daleko posuwają swą „bezczelność", że zamierzają przyznać w tym roku, jak gdyby nigdy nic, wielką nagrodę literacką imienia Attili Jozsefa.

Tłumaczenie dokumentu złożono garmontem, uwagi F. Fejtö — petitem.
(Red.)

kument, który stanowił próbę samokrytyki węgierskiej lewicy rewolucy i uwagi o jej perspektywach. Dokument ten omówiłem, przytaczając z ni spore ustępy w „France-Observateur" z 31 stycznia. Obecnie otrzyma dalszy ciąg tej pracy, znacznie ciekawszy: 66 stron powielonego maszy pisu, zawierającego analizę przyczyn rewolucji. Jest to praca zbiorowa, ostateczną redakcją jednego z najwybitniejszych teoretyków węgierskich, ry podpisuje się „Hungaricus" (3).

Jest to pierwszy na Węgrzech wysiłek podjęty celem wyprowadze wniosków teoretycznych z doświadczenia rewolucyjnego. Wiemy już, trzecia część tego dokumentu omawiać będzie przebieg samej rewolucji. mierzamy oczywiście wydać całość tej pracy, ale wydaje mi się że u stępnienie już teraz części przez nas otrzymanej, wywoła zainteresowa polskiego czytelnika. To co wydaje mi się przede wszystkim godne uwa to pełnia świadomości, wyjątkowy obiektywizm „Hungaricusa" (i ty którzy kryją się za tym zbiorowym pseudonimem), a więc ludzi którzy ży pracują i myślą w warunkach bardzo trudnych, pod nieustanną grozą aresz wania, zdani na pastwę pierwszej denuncjacji. Z radością stwierdzam ró nież, że ich punkt widzenia pokrywa się z moim własnym: aby odno socjalizm, trzeba powrócić do jego źródeł moralnych i filozoficznych.

Nic nie jest bardziej oddalone od umysłowości tych prześladowan komunistów, niż szowinistyczny obskurantyzm, o który oskarżają ich pew koła. Ci intelektualiści, rzekomo „anarchizujący", są marksistami, i umi wpisać wypadki w których uczestniczyli w perspektywę ogólnej transforma świata komunistycznego. Widzą oni sedno stalinizmu w rozwoju

„kasty kierowniczej, której większość, w obronie własny interesów i wskutek przywiązania do władzy, stoi na przeszk dzie demokratyzacji systemu".

Mimo to, mówią oni,

„ta ewolucja jest nieunikniona ... W samym Związku S wieckim, dojrzały już obiektywne warunki postępu w kierun socjalizmu, którego nie wolno utożsamiać ani z upaństwowion przemysłem, ani z kolektywizmem rolniczym, a którego głó nymi cechami są wolność i dobrobyt".

Świat komunistyczny jest w pełnym ruchu: wszędzie system totalita traci na sile, zagrożona jest sama ideologia; policja, cenzura nie mogą opanować całości. Staje się coraz bardziej oczywiste, że dyktatura jed partii, nawet jeśli przyjmuje cechy paternalizmu i dobrotliwej tolera wobec ludu, stanowi bardziej przymus i hamulec niż katalizator energii. skutecznego planowania załamał się razem z mitem sowieckiej wyższo W tych warunkach, komuniści muszą przemyśleć na nowo zarówno s cele jak i środki. Jeśli się na to nie zdobędą, grozi im rewolucja anty munistyczna, której przedsmak dała rewolucja węgierska.

---

(3) Według ostatnich wiadomości Hungaricus miał opuścić Węgry, u jąc się do innej demokracji ludowej.

Ale jakież są szanse reformy komunizmu w Z.S.S.R. ? Węgrzy myślą, że reforma ta przyjdzie, ale przyjdzie powoli. Osobiste kontakty, które wielu z nich miało z sowieckimi przewódcami nie pozostawiły im wielkich iluzji w stosunku do moskiewskiego kierownictwa. Hungaricus pisze o

,,zadziwiającym ubóstwie intelektualnym większości rosyjskich przewódców''. : ,,Porównajmy choćby przemówienia Szepiłowa i Susłowa z tym co na temat węgierskiej rewolucji powiedzieli Chińczycy, Togliatti, Dutt, Forster i inni zachodni komuniści. Oczywiście, zarówno zachodni komuniści jak i Chińczycy, wykrzywiali rzeczywistość, fałszowali ją. Ale przynajmniej była tu jakaś próba analizy. Starali się oni przytoczyć jakieś dowody, znaleźć argumenty przynajmniej prawdopodobne. Podczas gdy ze strony sowieckiej mamy całkowitą pustkę umysłową. Twierdzić, jak to czynili, że rewolucja węgierska była dziełem cudzoziemskich agentów, to nie tylko fałsz. To głupota''.

Otóż, według naszych węgierskich przyjaciół, ta głupota nie jest tam cechą indywidualną. Jest ona społecznym wytworem kultu Stalina i uprzywilejowanej sytuacji kierowniczych kadr Z.S.S.R., które zawdzięczają swój awans swoistej selekcji systematycznie eliminującej oryginalnych i uczciwych myślicieli na korzyść ambitnych i brutalnych średniaków. Skądinąd dawny już zwyczaj, zakorzeniony za życia Stalina, na mocy którego w sowieckiej klasie kierowniczej likwiduje się przeciwników ,,w drodze administracyjnej'', nie był zachętą do umysłowych wysiłków. Wystarczy przejrzeć główne sowieckie pisma, ,,Kommunista'', ,,Woprosy Filozofii'', ,,Woprosy Istorii'', aby przekonać się o niewiarogodnym otępieniu i braku jakiejkolwiek oryginalności, cechujących sowiecką ,,elitę''.

Autorzy dokumentu mniej są pesymistczni jeśli chodzi o możliwości komunistów zachodnich. Nie uważają oni za wykluczone by

,,niektóre z tych partii odnowiły się od wewnątrz'',

bez brutalnych rozłamów. Warunkiem jest jednak, aby kadry zerwały z dogmatyzmem, który skazuje je na intelektualny zastój i izolację.

,,Zachodni przewódcy komunistyczni odżegnują się od widma rewizjonizmu. Nie mają odwagi poddać rewizji tez Lenina. A przecież rewolucyjna ważkość Lenina polegała właśnie na tym, że śmiał poddać Marksa interpretacji, rzucając najbardziej zacofany kraj Europy w proletariacką rewolucję''.

Hungaricus przeciwstawia ortodoksyjnym ,,pseudo-rewolucjonistom'' nie tylko przykład komunistów jugosłowiańskich, polskich, czy nawet chińskich, ale również przykład niektórych partii socjaldemokratycznych, zwłaszcza partii skandynawskich,

,które poprzez wysiłki podniesienia poziomu życia i poprzez politykę neutralności oddały o wiele większe usługi klasie robotniczej, aniżeli partie komunistyczne bezpodstawną demagogią. Ale, niestety, międzynarodowa socjaldemokracja tworzy obóz,

w którym szczerzy aktywiści socjalizmu zmieszani są z elem tami służącymi interesom kapitalizmu, w rodzaju Guy Molle

Prześladowani komuniści z Budapesztu z równą uwagą śledzą wys ki Bevana czy Nenniego, ale sądzą surowo — i jakże nie przyznać im r — socjalistycznych przewódców którzy narzucają wewnętrzno-partyjnej de kracji ograniczenia niemal równie arbitralne (bez, oczywiście, likwid fizycznej), co wodzowie komunizmu.

Czy alternatywa socjaldemokracja-komunizm nie należy do przeszłoś — zapytuje Hungaricus. Sądzi on również, że rewolucja węgierska pr czyniła się do wyjaśnienia i zjednoczenia ruchu robotniczego. Reforma t ruchu będzie miała miejsce zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz obecn partii robotniczych, ale, jeśli chodzi o Węgry,

,,socjaliści nie mogą już współpracować ze zreorganizowa partią, która uznała za dogmat jednopartyjność i posłuszeńst Moskwie. Musieliśmy wybrać: zdradzić lud i socjalizm, odda się w niewolę, czy też bronić jednocześnie niezależności, de kracji i socjalizmu. Jeśli zaszła konieczność zerwania, to nie jesteśmy za to odpowiedzialni. To agresja sowiecka z 23 pa dziernika przekształciła w otwartą wojnę konflikt który moż było uregulować inaczej''.

IMPORTOWANA REWOLUCJA

Podczas gdy Szepiłow upiera się przy tezie cudzoziemskich agent niektórzy komuniści zachodni starają się dać bardziej prawdopodobne wy maczenie rewolucji węgierskiej, mówiąc o błędach popełnionych przez kosi i Gerö. I tak, austriacki komunista Franz Marek wyrzuca węgiers przewódcom że ,,stracili z oczu konieczność ciągłego, codziennego prze nywania mas''. Prześladowani komuniści z Budapesztu, którzy nie są p cież zwolennikami Rakosiego, biorą go tu w obronę:

,,Marek'' — pisze Hungaricus — ,,był chłopczykiem kie Rakosi umiał już na pamięć, i w pięciu językach, wszystkie t leninowskie i stalinowskie o potrzebie utrzymywania konta z masami''.

Cokolwiek by się powiedziało o Rakosim, trzeba mu przyznać i świ pamięć i inteligencję.

,,Ale w roku 1949, nie tylko Rakosi, ale jednocześnie z Gottwald, Bierut, Dej, Czerwenkow, Hodża i wielu innych, pominało jak gdyby z dnia na dzień o wszystkich elementarn przepisach kontaktu z masami. Czyżby chodziło o jakąś zbior amnezję? W istocie, Rakosi, podobnie jak inni przewódcy s litów, zaczęli wykonywać w roku 1949 nową linię podyktow im z Moskwy, która polegała na przerwaniu demokratyc

i ludowej ewolucji rozpoczętej w roku 1949, na korzyść ,,dyktatury proletariatu'', opartej na sowieckim wzorze. Jakiekolwiek byłyby przyczyny, które spowodowały tę politykę Stalina (wydaje się, że był on wówczas przekonany o nieuniknionej wojnie), wchodził tu w grę cały proces centralizacji, który niwelował wszystkie różnice w rozwoju państw satelickich. Cóż z tego, że Polska była pierwszą ofiarą faszyzmu, że Bułgaria i Rumunia biły się przeciw faszyzmowi, podczas gdy Węgry pozostały do końca po stronie Hitlera? Cóż z tego, że niektóre z tych państw miały głęboko zakorzenione tradycje demokratyczne, inne nie? Czechosłowacja należała do najbardziej uprzemysłowionych państw Europy, a Albania była na poziomie hodowli kóz? Cóż z tego? Wszystkie te kraje stały się ,,dyktaturami proletariatu'' i z miejsca 98% ludności (ani mniej, ani więcej) głosowało na komunistów ze szczerością, której rewolucja węgierska była tak wybitnym dowodem. Zastosowano w stosunkach międzynarodowych system, który z powodzeniem stosuje się do rekrutów w sowieckich koszarach. Cóż z tego, że jeden jest blondynem, drugi brunetem, jeden kędzierzawy, drugi nie: odtąd będą wszyscy łysi. Tego samego dnia, w ten sam sposób ogoli się wam wszystkim głowy, z tym samym entuzjazmem''.

Ale jeśli Rakosi był tylko wykonawcą, autentyczni komuniści węgierscy nie przeczą, że zabrał się do ,,golenia'' swego ludu z wyjątkowym zapałem.

,,Żaden przewódca wschodnich krajów nie dał tylu dowodów lokajstwa i antypatriotyzmu co Rakosi i jego klika''.

Rakosi równie okrutnie i bezwzględnie przeprowadzał czystkę partii, co kolektywizację czy żdanowizację kultury. Paweł Ignotus podkreślił niedawno że Rakosi powiesił przynajmniej sto razy więcej komunistów niż antykomunista Horthy...

Zapewne, osobisty wkład Rakosiego, urodzonego sadysty, człowieka mściwego, jest dość znaczny. Tym niemniej, lud węgierski, nawet nienawidząc go z całej duszy, uważał go zawsze za instrument. Źródło wszelkich klęski które spadały na Węgry, lud widział w utracie niepodległości i w rosyjskiej przemocy.

,,Lud węgierski zaczynał się przyzwyczajać do faktu, że pierwszy lepszy artykuł wstępny z ,,Prawdy'' więcej miał wpływu na sprawy węgierskie, niż wszystkie przemówienia budapeszteńskiego ,,parlamentu'' razem wzięte, nawet przy założeniu, że przemówienia te mogły zawierać coś rozsądnego. Wszędzie natykano się na sowieckich ekspertów zachowujących się z bezczelnością kolonialistów wobec tubylców. To ci eksperci kierowali żołnierzami i policjantami węgierskimi, ubranymi w sowieckie mundury. To oni organizowali procesy, podczas gdy sowieckie urzędy bezpieczeństwa zarzucały wszędzie swe własne sieci. Tej faktycznej przemocy towarzyszyły, nie wiadomo po co, poniżające ceremonie. Józef Rewaj, który jest przecież autorem

świetnej analizy rewolucji 1848 roku i roli Kossutha, posun podłość tak daleko, że podczas inauguracji olbrzymiego posąg Stalina, oświadczył, że największym człowiekiem węgiersk historii jest... Stalin. Kiedy, jesienią 1955 roku drugorzęd delegat sowiecki, niejaki Pagow, zabrał głos na publicznym z braniu w Budapeszcie, by złożyć hołd „wytwórczemu zapało robotnika węgierskiego", bliski współpracownik Rakosiego Istwan Kovacs, odpowiedział mu: „Dziękujemy towarzyszo Pagowowi i przyrzekamy mu, że węgierska klasa robotnicza d łoży wszelkich wysiłków, aby również w przyszłości zasłużyć jego pochwały". Robotnicy węgierscy, obecni na tej uroczy tości, drżeli z ukrytej wściekłości. To przeciw temu upokorzen całego narodu wybuchło w pierwszym rzędzie powstanie z . października. Głos serca ludu, głos pochodzący z najbardzi elementarnych składników jego duszy, brzmiał: „Rosjanie d domu". Rewolucja miała charakter narodowy, jej pierwszy celem było wyzwolenie narodowe, była zwrócona przeciw re mowi importowanemu, który utrzymywał się dzięki obcej si okupacyjnej" (4).

REWOLUCJA NIEDOŻYWIONYCH

Najciekawszą częścią otrzymanego przez nas studium jest analiza go podarczego podłoża rewolucji. Przyznając, że rewolucja październikowa by zrywem narodowym, a nie „rewolucją nędzy", Hungaricus twierdzi, byłoby błędem nie docenić wagi niezadowolenia ludu, spowodowanego prz czynami gospodarczymi.

„Kilku lekarzy leczących rannych powstańców, mówi nam, że nieraz spotykali młodych ludzi, którzy nic nie wiedzie o Klubie Petöfi, którzy nigdy nie słyszeli o Gomułce, i którz zapytani o przyczyny dla których chwycili za broń, odpowiadal Cóż warte jest życie kiedy się zarabia 600 florinów miesięcznie?

Analizując sytuację gospodarczą kraju, autorzy dokumentu czerpali ob cie z raportu, stanowiącego rezultat ankiety, przeprowadzonej przez węgi skie związki zawodowe na kilka miesięcy przed powstaniem, raportu poufn go, przeznaczonego jedynie dla informacji wyższych kadr partii i związkó zawodowych.

---

(4) Do podobnych wniosków doszedł jeden z głównych teoretyków reż mu, obecnie zwolennik Kadara, Aldar Mod. W powielonym studium, które zesłał przyjaciełom pod koniec listopada, określił rewolucję węgierską jako „r wolucję demokratyczną, narodową, antystalinowską, w której wziął udz cały lud". Według prasy Kadara (z 30 marca), Mod, mimo że przyłącz się do rządu, nie zrezygnował ze swej rewizjonistycznej tezy. „Nepszadsag daje do zrozumienia że nawet w ramach „oczyszczonej" partii, istnieją te dencje heretyckie.

„Minimum życiowe, przyjęte za podstawę ankiety, było bardzo niskie : jedno ubranie na osobę co trzy lata, jedna para itd. W ten sposób doszło się do określenia minimalnej pensji w sumie 1.400 florinów na rodzinę, złożoną z trzech osób (5). Otóż z ankiety wynikało, że jedynie 15% rodzin robotniczych zarabiało w r. 1956 więcej niż minimum określone w ankiecie; 30% zarabiało około tych 1.400 florinów, podczas gdy zarobki 55% stały poniżej owego minimum życiowego. 15% rodzin robotniczych nie posiadało jednego prześcieradła na osobę, a 20% robotników nie posiadało zimowego płaszcza".

„Dziennik *Nepszabadsag* cytował niedawno wypadek wielkiego posiadacza z czasów reżymu Horthy'ego, niejakiego Milenko Nagykovacsi, którego olbrzymie dochody pochodziły z własności domów mieszkalnych w Budapeszcie. *Nepszabadsag* słusznie podkreślał, że Nagykovacsich nie ma już na Węgrzech. Ale jeśli zniknięcie Nagykovacsich i ich olbrzymich dochodów może dać dużą satysfakcję autorowi artykułu, który sam jest uprzywilejowanym dziennikarzem, zarabiającym od czterech do pięciu tysięcy florinów miesięcznie — nie może ono być żadnym pocieszeniem dla robotników, którzy nie mogą sobie pozwolić na kupno płaszcza".

„Niezadowolenie klasy robotniczej, które z taką siłą wybuchło od pierwszych chwil powstania, wydaje się tym bardziej usprawiedliwione, że wbrew przyrzeczeniom reżymu, poziom życia, który dość szybko wzrastał od roku 1945 do roku 1949, zaczął potem spadać, i w roku 1953 wykazywał według danych oficjalnych spadek 17%".

Jakież są przyczyny tego spadku ? Czy trzeba go przypisać, śladem większości Węgrów, eksploatacji kraju przez Rosjan ? Oto co na ten temat mówi Hungaricus :

„Czy lud węgierski miał rację uważając sowieckie czołgi za główną przyczynę swej nędzy ? Zapewne nie należy bezkrytycznie przyjmować wszystkich pogłosek, krążących na temat sowieckiej eksploatacji. Ale u podstaw przeświadczenia ludu o odpowiedzialności Rosjan dotyczącej rozkładu węgierskiej gospodarki, tkwią pewne bezsprzeczne fakty — nawet jeśli wnioski które z nich ogólnie wyciągano były przesadzone. I tak, faktem jest, że kiedy odkryto na Węgrzech obfite złoża uranu, otoczono je sowieckim kordonem wojskowym, zanim węgierska komisja atomowa dowiedziała się o ich istnieniu. Faktem jest również, że eksploatacja towarzystw mieszanych, zlikwidowanych w roku 1955 zapewniała Rosjanom znaczne korzyści ekonomiczne. Wreszcie faktem jest, że kurs rubla został ustalony w skali korzystnej dla interesów sowieckich".

---

(5) Oficjalny kurs : 1 florin = 30 franków francuskich. W istocie siła kupna równa się 10 frankom francuskim.

Hungaricus twierdzi poza tym, że narzucone przez Rosjan bezmyś przenoszenie sowieckich metod planowania i gospodarczej administracji, w rządziło węgierskiej gospodarce szkody o wiele większe niż bezpośred eksploatacja sowiecka z pozycji siły.

,,Rosjanie wprowadzili na Węgrzech, razem z dyktatu proletariatu, przerost biurokracji, będący główną plagą ich wła nego reżymu. W roku 1955 sama administracja państwo liczyła 280.000 osób na ludność liczącą dziewięć i pół m liona ! Należy do tego dodać efektywy wojska — od 250.000 300.000 żołnierzy, zwykłą policję, 100.000 członków policji po tycznej (A.V.H.), urzędników aparatu partyjnego (ponad 40.000 urzędników administracji przemysłowej i rolnej. Cyfry te da przybliżone pojęcie o strukturze reżymu, który wprowadził sposób gorzej niż karykaturalny Komunę, to wymarzone prz Marksa ,,tanie państwo''. Gdyż ponad milion dorosłych obyw teli, zdolnych do pracy wytwórczej, zajętych było rejestrac kontrolą, ,,uświadamianiem politycznym'', szpiclowaniem, a cz sto i torturowaniem trzech i pół miliona Węgrów zatrudniony w pracy wytwórczej''.

Niewątpliwie ,,nadwartość'', zagarniana przed wojną przez kapitalistó była znacznie mniejsza od kosztu tego potwornego aparatu biurokratyczneg Fakt ten dyskredytuje oczywiście nie socjalizm, ale jego sowiecko-biurok tyczną karykaturę narzuconą Węgrom. Tym bardziej, że polityka gospodarc tej olbrzymiej biurokracji : wściekłe uprzemysławianie, konstrukcja giganty nych zakładów jak na przykład huta stalowa w Stalinvaros, absurdalne inw stycje w rodzaju budapeszteńskiego metra, którego konstrukcję musiano zarz cić, kolektywizacja która oczywiście pociągnęła za sobą spadek wydajno rolniczej — była oparta na zasadach przeciwnych elementarnemu zdrowe rozsądkowi, rodziła się w papierowej próżni, w oderwaniu od jakiegokolwi kontaktu z rzeczywistością, pogrążyła kraj w tak daleko posuniętą anarch że w porównaniu z nią anarchia produkcji kapitalistycznej wydawała z góry ustaloną harmonią.

,,Szepilow wyrzucał nam — dziewięciu milionom mieszka ców węgierskiej prowincji — sztuczne i przesadne wyolbrzymi nie błędów, które zaistniały w ramach ,,wielkiej socjalistyczn rodziny'' — pisze Hungaricus. — ,,Ale czyż można sprowadz do ,,błędów'' sytuację w której premierzy wyznaczani są n w stolicy własnego kraju, ale zagranicą, w której obce państw narzuca politykę gospodarczą, za którą musi płacić cała ludność Czy można wtedy żądać od ludu, żeby okazywał cierpliwość, żel był zawsze wielkodusznie wyrozumiały wobec tak potworny objawów ?''

Hungaricus próbuje wreszcie sporządzić ogólny bilans reżymu kom nistycznego na Węgrzech :

,,Cóż myśleć o ubiegłych dwunastu latach ? Czy możn w stosunku do Węgier postawić tę samą tezę co w stosunk

do Rosji, to jest że mimo okropności, tortur i marnotrawstwa, będących cechami reżymu stalinowskiego, kraj przeszedł przez przemiany, które należy uznać za postępowe? Czy można twierdzić, że w sumie, bilans reżymu jest pozytywny? W pewnym sensie tak — mimo, że nasze osiągnięcia są o wiele mniej znaczne od osiągnięć sowieckich. To prawda, że jeśli idzie o uprzemysłowienie urzęczywistniono niezaprzeczone postępy w kierunku socjalizmu. Kapitalizm należy na Węgrzech do bezpowrotnej przeszłości. Dziesiątki tysięcy synów robotników i chłopów mogło się wykształcić. Ale antypatriotyczna polityka, obca przemoc, przeszkodziły ludowi węgierskiemu właściwie wykorzystać pozytywne osiągnięcia ostatnich dwunastu lat. Partia Rakosiego i Gerö nie zdała egzaminu przed Historią. Używając barbarzyńskich metod w budowie socjalizmu, Rakosi i jego klika podkopali wszystko to, co lud dokonał wielkiego pod kierownictwem partii. W Rosji stalinowskiej uprzemysłowienie dawało przynajmniej ludowi poczucie wielkości i odrodzenia narodowego. Przeświadczenie o pracy na rzecz przyszłości własnego kraju mogło być dla Rosjan pewną kompensatą za olbrzymie poświęcenia, których od niego wymagano, za wielkie opóźnienie w poprawie ich osobistego losu. Ale na Węgrzech Rakosi i jego klika prowadzili politykę antynarodową, nawet w chwili gdy lud mógł się przyczynić do materialnego rozwoju".

SIŁA REAKCJI NA WĘGRZECH

Dalsza część studium poświęcona jest analizie sił, którymi dysponowała na Węgrzech rekacja przed rewolucją. Zdaniem Hungaricusa, reakcja posiadała na Węgrzech spore rezerwy, których nie należy niedoceniać. Ale fakt ten w niczym nie usprawiedliwia sowieckiej interwencji. Wręcz przeciwnie, interwencja ta powiększyła tylko potencjał reakcji i znacznie osłabiła szanse wprowadzenia na Węgrbech autentycznego socjalizmu. Interweniując zbrojnie, po tylu interwencjach dyplomatycznych, politycznych i gospodarczych, Sowiety obiektywnie wsparły kontrrewolucję.

,,Niektórzy z naszych towarzyszy uznają doniosłość roli odegranej przez reakcję, ale sądzą, że nie należy tego elementu wysuwać obecnie, aby nie lać wody na młyn Kadara. Jest to, naszym zdaniem, stanowisko całkowicie błędne. Żadna prawda nie może przynieść szkody. Nie możemy dzielić rzeczywistości na części przyjemne, które należy przyjmować i nieprzyjemne, które należy kryć".

,,Dlatego też musimy przyznać, że istniały i istnieją w dalszym ciągu na Węgrzech znaczne siły reakcyjne. Aby uniknąć jakiegokolwiek nieporozumienia na ten temat, określmy co rozumiemy przez ,,reakcję": są to te siły które dążą do restauracji na Węgrzech władzy wielkiej własności ziemskiej i kapi-

tału. Należy tu wprowadzić rozróżnienie między ,,arcyreakc
nistami'' i reakcjonistami ,,mimowoli'', to znaczy tymi wszy
kimi, którzy stali się mniej lub więcej świadomym reakcjonista
na skutek zbrodni reżymu Rakosiego''.

,,Do pierwszej kategorii należą wywłaszczeni wielcy pos
dacze ziemscy, wywłaszczeni kapitaliści, oraz legitymistycz
pół-faszystowscy prałaci. Zapewne, nawet w tej grupie społe
nej można znaleźć ludzi neutralnych, a nawet postępowych,
całość grupy pozostała reakcyjna, nienawidziła reżymu za pozb
wienie jej przywilejów, i, prawdopodobnie, równie nienawidziła
reżymu demokratycznego, który by ją pozbawił tych przywi
jów. Ale prawdą jest również, że nawet w stosunku do czło
ków tej grupy Rakosi nie postąpił mądrze. I tak, nie starał
on nigdy rozpatrywać indywidualnie poszczególnych wypadkó
zastosował wobec całej grupy, bez żadnego rozróżnienia, ter
nawet tam gdzie był on w istocie niepotrzebny czy szkodliw
Dzienniki węgierskie przytaczały ostatnio chińskie metody po
gające na częstym mianowaniu na stanowiska dyrektorów zak
dów byłych przemysłowców, wykazujących zrozumienie dla
form reżymu. U nas nie było nigdy nic podobnego. Tym niemn
błędy terrorystyczne popełnione w stosunku do członków da
nych klas kierowniczych nie były decydujące z punktu widzen
stałości reżymu. Większość grupy arcyreakcjonistów była w ka
dym wypadku wroga reżymowi. Liczba ich nie przekraczała je
nak kilkudziesięciu tysięcy osób, wliczając w to byłych służącyc
personel wielkich majątków ziemskich, byłych wysokich urzę
ników i ich sympatyków. Wobec tak nielicznej opozycji, żad
reżym nic nie ryzykuje''.

,,Najpotworniejsze błędy, być może już nie do naprawien
popełniono wobec drobnych kapitalistów i drobnomieszcza
Marks przewidywał, że społeczeństwo kapitalistyczne podzieli
na dwie antagonistyczne grupy : burżuazję i proletariat. Ale t
antagonizm nie miał nigdy istnieć w ściśle określonych zarysac
Marks określał drobnomieszczaństwo, z punktu widzenia sp
łecznego i gospodarczego, jako klasę dekadencka i reakcyjn
Ale ostrzegał nas zarazem, że nie należy klasy tej gwałcić, g
proletariat dojdzie do władzy. Skądinąd, Marks, Engels, a po
niej Lenin, często radzili ostrożność w stosunkach między pro
tariatem i chłopami. Otóż, w tej dziedzinie także Rakosi służ
czo wzorował się na metodach sowieckich. Stosując metody be
względnego przymusu, reżym Rakosiego pchnął w objęcia reak
setki tysięcy ludzi, których można było — stosując odmien
metody — zneutralizować, czy nawet pozyskać dla sprawy lu
wej demokracji. W ten sposób, reżym Rakosiego zajmował
racjonalną hodowlą własnych wrogów''.

Pierwszą grupą społeczną, którą Rakosi odepchnął od socjalizmu b
rzemieślnicy, mimo że wielu z nich należało przed wojną do socjalde
kracji. Liczni rzemieślnicy byli również aktywistami przedwojennej taj
partii komunistycznej. Otóż, jeśli w roku 1948 istniało na Węgrzech 180.(

rzemieślników — czyli, razem z rodzinami, 500.000 osób utrzymywało się z rzemiosła — w roku 1953, na skutek antyrzemieślniczej polityki rządu, pozostało ich zaledwie 46.000.

,,W ten sposób nasi hurrarewolucjoniści z kliki Rakosiego, z których większość była zresztą pochodzenia burżuazyjnego, synowie kupców, karczmarzy, adwokatów — podniecili przeciw socjalizmowi 134.000 rodzin rzemieślników, których zmuszono, brutalnymi zarządzeniami, do porzucenia swych warsztatów. A była to tylko jedna strona medalu. Drugą konsekwencją tych zarządzeń było pozbawienie całej ludności możliwości taniej i skutecznej naprawy butów, aparatów radiowych, urządzeń sanitarnych itd. Niezależni rzemieślnicy zostali zastąpieni przez ,,rzemiosło socjalistyczne'', źle zorganizowane, niesłychanie kosztowne i przekupne. Skutki tej polityki stały się wkrótce tak oczywiste, że w latach 1953 i 1954 pierwszy rząd Imre Nagy'ego oddał warsztaty 106.000 rzemieślników. Ale w roku 1955, po upadku Imre Nagy, powrócono do dawnych metod antyrzemieślniczych, po to aby znowu, w roku 1957, po sowieckiej interwencji, zacząć akcję rozbudowy prywatnego rzemiosła. Te absurdalne wahania między terrorem i liberalizacją stosowano tak nonszalancko, jakby chodziło o bydło, a nie o ludzi. W roku 1951, tolerowano jeszcze na Węgrzech 3.000 piekarzy; w roku 1953 pozostało ich trzech na całe Węgry. W roku 1954, było ich znów 537 w ,,sektorze prywatnym''... I tak dalej, zależnie od wahań i widzimisię biurokratów... zależnie od konfliktów w łonie Partii''.

,,Inna grupa społeczna, którą reżym Rakosiego niepotrzebnie nastawił przeciw socjalizmowi, ,,likwidując'' ją w sposób nagły i nieludzki, to drobne kupiectwo. W roku 1950 było jeszcze 41.000 drobnych kupców, w 1952 — 2.700. W rok później spostrzeżono, że sieć handlu państwowego jest niewystarczająca i przywrócono do ,,sektoru prywatnego'' 7.000 drobnych kupców''.

,,Brutalna likwidacja kułaków przedstawia problem jeszcze poważniejszy. W zasadzie nie chodziło o ,,likwidację'', rząd się do tego nie przyznawał, chciał rzekomo ,,ograniczyć kułaków''. Ale w praktyce istniało na Węgrzech w roku 1949 — 47.000 małych gospodarstw przekraczających 14 hektarów. W sześć lat później było ich już tylko 7.000. ,,Ograniczono'' więc tak skutecznie 40.000 zamożnych chłopów, że ich zlikwidowano. Zamiast zneutralizować czy nawet pozyskać dla socjalizmu 40.000 rodzin, *wytworzono* z 40.000 rodzin nieprzejednanych wrogów nie tylko Rakosiego, ale wręcz socjalizmu. Dodajmy, że chodziło tu przeważnie o chłopów cieszących się szacunkiem, jeśli nie sympatią szerokich mas chłopskich. Byli oni właścicielami najlepszych gospodarstw, najbardziej wykształconymi i prześladowania mogły tylko dodać im miru''.

Hungaricus oblicza w ten sposób, że reżym Rakosiego, przez podob niepotrzebne ekscesy, zmusił do antysocjalizmu około milion osób. Lud ci powzięli przeciwko reżymowi nieubłaganą nienawiść. A ich uczucia zn dowały życzliwe echo u członków klas pracujących w ścisłym tego sło znaczeniu, to znaczy u robotników, drobnych chłopów i inteligentów, mi że reżym im bez przerwy pochlebiał.

,,Polityka Rakosiego rozszerzała bez przerwy kręgi nie dowolenia i wrogości. Wkrótce do kułaków przyłączyli się chł tak zwani ,,średni'', których lokalni urzędnicy partyjni złośliv wpisywali na listę kułaków, czyli ludzi których należy tęp Wielu technicznych specjalistów traciło pracę na skutek rzek mych poglądów politycznych, czy po prostu na skutek burżu zyjnego pochodzenia. Dziesiątki tysięcy drobnych chłopów p chodzenia jugosłowiańskiego wywieziono z zony nadgranicz ze względów ,,strategicznych''. Dorzućmy do tego 150.c aresztowanych i internowanych z roku 1953 i ich rodziny o komunistów prześladowanych przez reżym za rzekome odchy nia. Ale nie potrzeba nawet tak segregować. System przymus wych świadczeń rolniczych, zmuszający chłopów do sprzeda państwu znacznej części plonów poniżej ceny kosztu, groź kolektywizacji, sprawiły, że masa chłopska stała się szybko zc cydowanie wroga wobec reżymu. Co do klasy robotniczej, większość była antyreżymowa nie tylko na skutek zniżki rzecz wistych płac, ale także z powodu pozbawienia jej wolności org nizacyjnej. Robotnicy źle się czuli w związkach zawodowyc będących ekspozyturą Partii i pozbawionych jakiejkolwiek wnętrznej demokracji''.

Hungaricus notuje dalej paradoksalne zjawisko: rząd nie tylko tra stopniowo jakikolwiek wpływ na masy, ale ułatwił, co prawda mimowoli,

,,infiltrację arcyreakcjonistów do klasy robotniczej. Wie oficerów armii Horthy'ego, zlikwidowanych kułaków, synów w właszczonych wielkich właścicieli ziemskich, zmuszonych by do pracy robotniczej w fabrykach, do chłopskiej pracy w rol czych kooperatywach i gospodarstwach państwowych — raze z dziesiątkami tysięcy drobnomieszczan. Zapewne, ,,kadry'' pa tyjne w fabrykach nie miały do nich zaufania, ale robotni widzieli w nich tylko towarzyszy niedoli. Czyż nie żyli oni ż ciem robotników, w przeciwieństwie do kadr partyjnych, robo niczego nieraz pochodzenia, ale przemieniających się w osob kastę? Robotnicy, coraz bardziej niechętni do komunistów, zna dowali w tych zdeklasowanych elementach sympatycznych ro mówców, często lepiej od nich poinformowanych i operujący trudnymi do odparcia argumentami. I tak w wielu fabryka można było stwierdzić podczas powstania wielki wpływ eleme tów, których głównym celem nie była obrona interesów robo niczych, czy reforma socjalizmu, ale poszukiwanie aliantów walki z socjalizmem''.

W sumie, Hungaricus oskarża Rakosiego o

,,restaurację kapitalizmu w umysłach ludzi''

natychmiast po jego materialnym zlikwidowaniu; o poszerzenie ludowych podstaw reakcji, i oddanie jej tego co było dla niej cenniejsze bodaj od jej dóbr materialnych: jej czystego sumienia. Rakosi i jego klika nie przestawali krzyczeć że ,,nie odda się im nigdy ich ziem i ich fabryk'', ale oddali ,,im'' poczucie godności.

,,Niestety, to co szeptali ci reakcjoniści o antypatriotyzmie Rakosiego, o jego zmowie z Rosjanami, o zbrodniach i śmiesznościach reżymu, o kłamstwach propagandy, wszystko to było prawdziwe ,nie trudne do sprawdzenia. Toteż kredyt ich wzrastał nieustannie. Podobnie jak kredyt Kościoła''.

Hungaricus podkreśla istotnie w swoim studium, że katolicyzm, jeśli nie klerykalizm, węgierski wyszedł szczególnie wzmocniony z próby ostatnich lat. Przed wojną katolicyzm węgierski — w przeciwieństwie do Polski — niewiele miał wspólnego z prawdziwym doświadczeniem religijnym, była to raczej praktyka społeczna. Tymczasem dzisiaj obserwuje się w kraju jakąś nową falę mistycyzmu, mnożą się różne sekty i dzienniki partyjne skarżą się na wzrost przesądów.

,,To odnowienie religijnego ducha, którego wpływ, według zasad marksizmu, winien był zmniejszyć się z chwilą zlikwidowania jego bazy społecznej, tłumaczy się nie agitacją księży, ale wzmocnieniem społecznych źródeł wiary. W istocie, ta masa kilkuset tysięcy drobnomieszczan, o których była mowa powyżej, wytworzyła sobie z socjalizmu, w ciągu tych lat terroru, obraz Strasznego Ojca, niezrozumiałego, o nieprzewidzianych reakcjach, który — posługując się sloganami pozostającymi bez najmniejszego związku z rzeczywistością — operował aresztowaniami, torturami, szykanami, groźbą śmierci. Poczucie niepewności wciąż wzrastało. Pewien znajomy lekarz opowiadał nam o wypadku chłopa, którego przyprowadzono do niego na konsultację, przypuszczając że ma raka w gardle. Radioskopia wydawała się potwierdzać tę diagnozę, ale lekarz nie był o niej przekonany. Długo wypytywał staruszka i wreszcie odkrył przyczynę choroby: stary miał gospodarstwo, które było na samej granicy tego co uważano za gospodarstwo kułackie. Stąd raz wpisywano go na listę kułaków, raz go z niej skreślano. W roku 1951, w chwili wielkiej czystki kułaków, starzec spędzał bezsennie długie noce, spodziewając się że aresztuje go AVO. Istotnie, pewnej nocy zatrzymał się przed zagrodą jeep policyjny. Przyjeżdżano nie po niego, lecz by aresztować jego sąsiada. Stary chłop, który właśnie jadł kolację, odczuł przykry kurcz gardła. Była to więc ta ,,somatyzacja'' przerażenia, którą wiejski lekarz wziął za raka... Otóż, setki tysięcy ludzi żyło w podobnych warunkach niepewności i strachu. Cóż dziwnego, że szukali w religii schronienia i pociechy? Setki tysięcy chłopów,

szewców, gospodyń, robotników i robotnic, którzy dawniej n
bywali częściej w kościele jak dwa razy do roku — na Bo
Narodzenie i Wielkanoc, teraz chodzili co dzień, a nieraz i d
razy na dzień..."

Czyż można lepiej odmalować atmosferę psychologiczną Węg
w przede dniu powstania. Zapewne, propaganda Kadara nie kłamie mów
o rosnącym wpływie reakcji na Węgrzech. Ale wyciąga stąd wnioski wr
odwrotne od tych, które wyciągają członkowie tej socjalistyczno-komunisty
nej opozycji, którą reprezentuje Hungaricus. Istotnie, zdaniem Hungaricu

„socjalizm może zwyciężyć reakcję jedynie poprzez wiel
pojednanie narodowe, pojednanie, z którego wykluczone były
jedynie elementy skrajnie reakcyjne i antynarodowi przedsta
ciele interesów wielkich mocarstw. Jesteśmy bowiem między m
tem i kowadłem. Z jednej strony — antyludowa reakcja, ska
na przez Historię, ale ciesząca się wsparciem pewnych obc
aliantów. Z drugiej strony klika u władzy, która podporządk
wuje interesy węgierskie interesom wielkiego obcego mocarstw
Między tymi skrajnymi elementami musimy torować sobie dro
i możemy tego dokonać jedynie odwołując się do wszystkich
postępowych, lub takich które można zdobyć dla sprawy p
stępu".

W tym leży całe credo postępowej opozycji węgierskiej.

POLEMIKA Z KARDELJIM

Jeden z najciekawszych rozdziałów przytaczanego dokumentu doty
genezy i rozwoju komunistycznej opozycji węgierskiej. Rzuca on cieka
światło na postacie Imre Nagy i Janosa Kadara. Co do Nagy'ego, dowia
jemy się, że jego konflikt z Rakosim sięga roku 1948: Nagy już wt
sprzeciwił się polityce kolektywizacji. Kiedy w roku 1949 Rakosiemu
kazano wyznaczenie kandydata na wielki proces antytitowski, który St
zdecydował zorganizować w Budapeszcie, wahał się pewien czas mię
Nagym i Rajkiem. Jeśli wybrał ostatecznie Rajka, to zapewne dlatego,
zdawał sobie sprawę z przyjaźni jaką cieszył się Nagy w otoczeniu Ma
kowa.

W roku 1953, Nagy został po raz pierwszy zrehabilitowany i mia
wany premierem. Rakosi oświadczył później, w 1955, że to Beria ka
mianować Nagy'ego. Hungaricus ujawnia, że wobec rozbicia i różnic po
dów wewnątrz Węgierskiego Komitetu Centralnego, główni przywódcy w
z Imre Nagy'm zostali zawezwani do Moskwy, gdzie Prezydium sowiec
i węgierskie Biuro Polityczne odbyły wspólne zebranie (6). Beria j

(6) To do tego decydującego zebrania robi aluzje V. Begowicz w „B
bie" z 5 kwietnia 1957, w którym odpowiada na pewne zarzuty Bułgar
i Kadara.

„główny referent" prezydium od spraw narodowościowych i demokracji ludowych, wygłosił wówczas referat o sytuacji węgierskiej i zaproponował w imieniu swoich kolegów, mianowanie Nagy'ego premierem.

Prawdą więc jest, że Nagy'ego wyznaczyli Rosjanie. Podówczas zresztą jego przywiązanie do Związku Sowieckiego nie było mniejsze niż przywiązanie Rakosiego. Różniło ich to, że Nagy, z usposobienia i przekonania bliski był klanowi „reformy" Kominformu, który uważał Malenkowa za swego przywódcę.

„Dopiero po mianowaniu go premierem, na skutek kontaktu z węgierską rzeczywistością i poznając bliżej intrygi i metody sabotażu, stosowane przez stalinowców, Imre Nagy przemienił się pomału z przedstawiciela liberalnej tendencji sowieckiej w przedstawiciela węgierskiej drogi do socjalizmu".

Hungaricus podkreśla uczciwość i odwagę cywilną tego człowieka, który — kiedy Rosjanie zażądali od niego samokrytyki na wzór Malenkowa (w roku 1955) — aby umożliwić mu, podobnie jak Malenkowowi, pozostanie w rządzie, odrzucił tę ofertę po bolesnym konflikcie wewnętrznym i oświadczył, że nie będzie już nigdy współpracował z Rakosim, odpowiedzialnym za tyle zbrodni i marnotrawstwa. Ale Hungaricus zwraca również uwagę na pewną krótkowzroczność Nagy'ego jako polityka. To Nagy przeciwstawił się w roku 1955 utworzeniu politycznego ośrodka akcji antystalinowskiej, którego chcieli jego bardziej przewidujący zwolennicy, celem nawiązania kontaktów z innymi elementami demokratycznymi i organizowania grup działania wśród klasy robotniczej.

„Nawet po wykluczeniu go z Partii, Nagy nadal chciał szanować jej przepisy mimo że wiedział iż Rakosi i jego klika ich nie przestrzegają, że śmieją się z decyzji Centralnego Komitetu, że utworzyli między sobą frakcję która widywała się regularnie i postanowiła skoncentrować w swoim ręku istotną władzę nad partią. Ile Imre Nagy nie chciał iść za tym przykładem. Chciał aby sprawa jego zwyciężyła legalnie, zgodnie ze statutami, bez oparcia o żadne organizacje".

Hungaricus bierze dalej w obronę opozycję grupy Nagy'ego przed zarzutami niektórych Jugosłowian, a zwłaszcza Kardeljego. Kardelj zarzucał intelektualistom-zwolennikom Nagy'ego „brak programu" oraz „idee nacjonalistyczne". Oto jak na to odpowiada Hungaricus:

„Opozycja miała swój program. Żądała realizacji programu rządowego z czerwca 1953, żądając w dodatku ustanowienia rad robotniczych kierujących zakładami przemysłowymi, czystki aparatu biurokratycznego i przywrócenia niepodległości. Czy nie jest to program realny? W myśl tego to programu masy ruszyły na ulicę 23 października i nie ich jest winą, że Gerö odpowiedział im prowokacyjnym przemówieniem i strzałami. Program opozycji węgierskiej był zresztą podobny do programu Gomułki w październiku".

Hungaricus dziwi się, że Kardelj zarzuca ,,nacjonalizm" intelektua tom z opozycji :

,,Przeczytajcie wszystkie przemówienia i artykuły przyw ców opozycji, a zobaczycie że żądania niepodległości narodo są tam sformułowane w sposób o wiele bardziej umiarkow niż w zwykłych wypowiedziach Jugosłowian broniących swo praw. Z drugiej strony w okresie poprzedzającym rewolu żaden druk antysowiecki nie ukazał się na Węgrzech. Jak mogło być inaczej ? Co do opozycji — to zadawalała się ona maganiem się, i to ostrożnym, równości praw. Czy należy wni kować z tego, że to co jest elementarnym prawem dla Jugos wian staje się ,,nacjonalizmem" gdy chodzi o Węgrów ? Card robi aluzje do ,,elementów reakcyjnych", które doszły do gło w Klubie Petöfi. Chcielibyśmy by dał w tej sprawie bliżs szczegóły, by dostarczył dowodów, gdyż z tego co my sa wiemy, żaden z mówców w Klubie Petöfi nie zasługuje na naz reakcjonisty i nigdy nic reakcyjnego nie powiedział".

,,Niech nasi przyjaciele Jugosłowianie będą spokojni : powiedź nasza nie jest podyktowana przewrażliwieniem. Musi jednak bronić prawa do wybrania naszej własnej drogi wa z komunizmem typu sowieckiego, nawet jeśli droga ta zawsze jest równoległa do drogi socjalizmu jugosłowiańskieg którego wagę historyczną w pełni uznajemy. Ale naszym zd niem, znaczenie jugosłowiańskiego przykładu, znaczenie odw neą walki jugosłowiańskiej przeciw stalinizmowi, polega właś na obronie prawa każdego narodu do wyboru własnej drogi. w tym właśnie Jugosłowianie byli dla nas przykładem. Jeśli id o zasadę budowania socjalizmu szukaliśmy i będziemy szuk innych rozwiązań niż te, które oni znaleźli.

◆

W końcowych wnioskach, dokument podpisany przez Hungaricusa twierdza naszą tezę według której bezpośrednią przyczyną wybuchu z października była fałszywa kalkulacja Sowietów. Źle poinformowani pr Gerö, stalinowcy sowieccy — Susłow i jego przyjaciele, którzy nie m zaufania do Nagy'ego i nie mogli się pogodzić z usunięciem Rakosiego doszli do wniosku, że użycie siły potrafi zatamować prąd opozycyjny i uda się narzucić rozwiązanie przejściowe. Intencją ich było dopuścić do wrotu Nagy'ego do władzy jedynie pod tym warunkiem, że da się otocz przez dwóch ludzi którym ufali : Gerö i Kadara. Kadar, mimo że nie widził Rakosiego i miał pewne sympatie do węgierskiego titoizmu, dzi nieufność pozostałych członków aparatu partyjnego wobec Nagy'ego, kt nie był nigdy biurokratą partii. To prawda, że Kadar zawdzięczał Nagy'e uwolnienie z więzienia, do którego wrzucili go Rakosi i Gerö; ale, stw dniały przez cierpienia — taki jakim go przedstawia Jerzy Paloczy-Horv w świetnym szkicu, który ukazał się w marcowym numerze ,,Preuves" Kadar nie czuł się związany takimi głupstwami jak wdzięczność. Hun ricus ujawnia, że Kadar zerwał wszelkie stosunki z Nagy'm, kiedy z końc

1955 Nagy'ego wykluczono z partii. Na wiosnę 1956, podczas zebrania aktywistów prowincji Pest, Kadar nazwał Nagy'ego „prezesem związku kułaków". Tej samej wiosny, zaproszony przez opozycję do wzięcia udziału w organizowanym przez nią bankiecie ku czci Nagy'ego — odmówił. Nieco później, na prośbę Susłowa, Kadar zaczął nawet akcję propagandową na rzecz swego największego wroga — Rakosiego. I jeszcze rankiem 23 października oświadczył dziennikarzom z opozycji, że Imre Nagy winien dokonać samokrytyki zanim powróci do władzy.

Aby przeprowadzić swój własny plan, Gerö i jego sowieccy przyjaciele zdecydowali się na prowokację. 13 października, a więc na dziesięć dni przed powstaniem, wysoki dygnitarz partyjny, bliski współpracownik Gerö, ostrzegł potajemnie Nagy'ego o tych zamiarach. (Fakt ten został nam potwierdzony również przez inne wtajemniczone osobistości oraz poprzez artykuł, który doskonale poinformowany korespondent poświęcił rewolucji węgierskiej w kwietniowym numerze „Esprit"). Gerö przygotowywał więc zasadzkę dla Nagy'ego. Hungaricus jest przekonany, że w celu ukrycia tej operacji Gerö udał się do Belgradu, aby pozyskać zaufanie Jugosłowian i przedstawić się w oczach opinii węgierskiej — on najbardziej służalczy instrument Sowietów — jako przyjaciel Tita i zwolennik zbliżenia węgiersko-jugosłowiańskiego.

„Zachowujemy cały nasz szacunek i całą naszą wdzięczność dla komunistów jugosłowiańskich. Ale nie możemy się powstrzymać od myśli że w tym wypadku dali się nabrać".

Jedną z głównych zalet analizy, którą przedstawiliśmy, jest nacisk na wahania polityki sowieckiej. Jugosłowianie nie dość przywiązali wagi do tych wahań. Rozjazdy po wschodniej Europie Chruszczowa i innych emisariuszy jak Susłow i Mikojan, z których jeden niszczył to co drugi zbudował, wykazują niepewności i sprzeczności polityki sowieckiej. Kreml wahał się i waha nadal pomiędzy neo-stalinizmem, opartym o wzrastającą na sile potęgę wojskową, i prądem reformistycznym, który narasta w społeczeństwie sowieckim, prądem dążącym do humanizacji i narzucenia ram konstytucyjnych socjalizmowi, podobnie jak w swoim czasie liberalny prąd burżuazyjny dążył do narzucenia ram konstytucyjnych monarchiom absolutnym. Mao Tse Tung, Gomułka, Tito, wydają się dążyć do pośredniego rozwiązania — między stalinizmem i demokracją — rozwiązania, które pod pewnym względem przypomina tezy liberalnego Cesarstwa. W ten sposób, pomału, perspektywy ewolucji sowietyzmu stają się dla nas jaśniejsze. Zapewne, jak podkreśla Edgar Morin w swym świetnym artykule w „Arguments" (Nr 2), nie jest to perspektywa „powrotu do kapitalizmu". Niestety nie jest to również perspektywa nieuniknionej demokratyzacji. Jest to perspektywa walki, chronicznego kryzysu, rewolucji i kontrrewolucji nie koniecznie postępowych, ewolucji rozwoju w której kadry intelektualne i myśliciele, będą mieli do odegrania rolę decydującą i często niebezpieczną.

François FEJTÖ

(Tłumaczył *K.A. JELEŃSKI*)

Testament buntownika Partii

1. — KIM JESTEŚMY

Jesteśmy grupą funkcjunariuszy Partii S.E.D. (Zjednoc nej Partii Socjalistycznej Niemiec), reprezentujemy licznych deklarowanych i jeszcze liczniejszych niezadeklarowanych zw lenników. Zwolennicy ci są szczególnie liczni w instytucjach k turalnych Niemieckiej Republiki Demokratycznej — w uniwers tetach, zakładach naukowych technicznych i innych, w reda cjach gazet i domach wydawniczych.

Uczyliśmy się z rezolucji XX Zjazdu Komunistycznej Par Radzieckiej i z kontaktów z towarzyszami zagranicą. Osobis dyskusje z polskimi, węgierskimi i jugosłowiańskimi towarzysz mi utwierdziły nas w naszych konkluzjach. Nasz rozwój ideo giczny zawdzięczamy najbardziej towarzyszowi George Lukacs(

Bertold Brecht aż do zgonu sympatyzująco współdzia z naszą grupą widząc w niej największą nadzieję partii. W cz tych z nim dyskusjach poznaliśmy gorycz i rozczarowanie z kim patrzył on na obecne warunki w Niemieckiej Republ Demokratycznej.

Granice legalności.

Przebyliśmy długi proces klasyfikacji ideologicznych, kt rozpoczął się wkrótce po zgonie Stalina a przybrał na sile wydarzeniach 17 czerwca 1953 roku. Po XX Zjeździe Pa opracowaliśmy projekt własnej niemieckiej drogi do socjalizn dla wewnętrznej dyskusji partyjnej.

Próbowaliśmy zaznajomić z tym projektem kierownict Partii, ale spotkaliśmy się z niedostępnością przywódców. F Oelssner, Paul Wandel i Kurt Hoger (2) odmówili przyjęcia n wzięcia pod uwagę naszych intencji czy też zaznajomienia z naszym projektem. Dlatego też czuliśmy się zmuszeni do w czenia naszego „projektu" ambasadorowi sowieckiemu, to rzyszowi Puszkin, aby za jego pośrednictwem dotrzeć do szych przywódców partyjnych.

---

(1) Wybitny myśliciel węgierski, który przewodził rewolcie intelekt nej ubiegłej jesieni; obecnie w więzieniu.

(2) Członkowie Komitetu Centralnego.

Projekt nasz pomyślany był jako podstawa wewnętrznych dyskusji na temat reformy partii. Nie jest naszym zamiarem zrywanie z partią i stanie się renegatami w takim rodzaju, powiedzmy, jak Arthur Koestler. Nie zamierzamy odrzucać marksizmu-leninizmu, lecz tylko uwolnić go od stalinizmu i dogmatyzmu oraz przywrócić mu podstawę humanistycznego, antydogmatycznego myślenia.

Pragniemy przedyskutować i wprowadzić nasze idee do partii i Niemieckiej Demokratycznej Republiki w sposób najzupełniej legalny. Nasz legalizm jednak skończy się jeżeli kierownictwo partyjne postępować będzie nielegalnie. To zaś, naszym zdaniem, ma miejsce obecnie. Mimo oficjalnych zapewnień, nasza partia systematycznie przywraca kult jednostki.

Wszyscy jesteśmy winni.

Dyskusje wewnętrzno-partyjne są dławione, prasa kneblowana; niezadowolenie klasy pracującej jest w sposób całkowicie anty-marksistowski tłumaczone jako wynik działalności agentów imperializmu. W takiej sytuacji dyscyplina partyjna nie może stanowić celu sama w sobie. Bierzemy tu za przykład Karola Liebknechta (3), który w roku 1914 i, powtórnie w roku 1918, naruszył dyscyplinę partyjną dla uratowania partii.

Nasze zerwanie z obecnym przywództwem partyjnym nie oznacza zerwania z Partią Komunistyczną. Te dwa pojęcia nie są identyczne. Nie zamierzamy również odwracać się od N.D.R. ani też wykręcać się od naszej obywatelskiej odpowiedzialności za jej obecny stan.

Wszyscy jesteśmy obciążeni winą za tę sytuację do której partia nasza doprowadziła N.R.D. Dlatego też naszym obowiązkiem jest zmienić tę sytuację i walczyć o tę zmianę.

Do tego obowiązku należy zmiana naszego stosunku wobec Socjal-Demokracji, która jest najsilniejszą partią robotniczą w Niemczech, i która doprowadziła do zjednoczenia klasy robotniczej w Zachodnich Niemczech. W wielu szczegółach nie zgadzamy się z nią, jak również nie podzielamy jej niektórych burżuazyjno-demokratycznych i oportunistycznych tendencji. Ale zgadzamy się z S.D.P. w zasadach. Ta zgoda w zasadach może umożliwić przezwyciężenie podziału Niemiec.

2. — NASZE KONCEPCJE IDEOLOGICZNE

Stwierdzamy, że kapitalizm w Europie Zachodniej jest przestarzały i że socjalizm jest nieunikniony, ale nie sądzimy, aby do zwycięstwa socjalizmu w Europie Zachodniej konieczna była rewolucja. Uważamy że przejście od kapitalizmu do socjalizmu zachodnio-europejskiego odbędzie się na drodze pokojowej.

---

(3) Niemiecki przywódca komunistyczny zamordowany przez oficerów armii niemieckiej w roku 1919.

Jesteśmy ponadto zdania, że proces transformacji od kap talizmu do socjalizmu w Europie Zachodniej nie wszędzie nastą pod auspicjami partii komunistycznej, lecz że w wielu kraja komuniści nie będą mieć żadnego udziału w prowadzeniu teg procesu.

Przemiana ku socjalizmowi jest obiektywnym procesem hi torycznym i żadna partia nie ma w nim monopolu. Uznajem że w Zachodnich Niemczech tylko S.D.P. może przynieść socj lizm ponieważ komuniści utracili wszelki wpływ na zachodni niemiecką klasę robotniczą. Z tych samych przyczyn w Wielki Brytanii tylko Labour Party, we Włoszech tylko partia socjali tyczna mogą przynieść socjalizm. W zjednoczonych Niemczec socjalizm może być rezultatem jedynie aliansu S.D.P. z praw dziwie socjalistycznymi siłami w łonie partii S.E.D., lub (o czy dalej) nowej partii robotniczej, która mogłaby powstać z fuz S.D.P. ze zreformowaną S.E.D., oczyszczoną ze stalinizmu i sta linowców. W każdym razie odrzucamy, przynajmniej co do Ni miec, pretensje komunistów do wyłączności przywództwa w bu dowie socjalizmu, gdyż jest koncepcja sekciarska, nierealistyc na i skazana na niepowodzenie.

Realne możliwości rozwoju socjalizmu w Europie jako ca łości widzimy w sposób następujący:

Kraje Europy Wschodniej potrzebują radykalnych refor politycznych, ale w swej strukturze gospodarczej górują na większością Europy Zachodniej. Poddane radykalnej destalin zacji zarówno Z.S.S.R. jak Demokracje Ludowe mogą swy przykładem stopniowo wpływać na rozwój gospodarczy Europ Zachodniej. Równocześnie zachodnie koncepcje liberalnej demo kracji będą wpływać na Wschód i krok za krokiem wymusz odwrót od politycznego totalizmu.

W takim wzajemnym wpływie i przenikaniu dopatrujem się prawdziwego znaczenia koegzystencji, która winnaby dopro wadzić do dania Wschodowi wolności politycznej i demokrac a Zachodowi strukturalnych zmian gospodarczych, które przy najmniej w podstawowych przemysłach okażą się nieuniknione Zamierzamy przyspieszyć ten proces w N.R.D. tak aby stępi ostrze antagonizmu Wschód-Zachód i przez to przyczyniać si do pokoju europejskiego.

Rosja przeszkodą.

Stosunki nasze z Z.S.S.R. wyznaczają następujące założe nia: Z.S.S.R. jest pierwszym państwem socjalistycznym świat Nawet stalinizm nie może zmienić tego faktu. Ale sowiecki sche mat socjalizmu nie może być wzorem dla każdego innego kraj przeciwnie nawet Z.S.S.R. będzie go musiał zmienić u siebi gdyż schemat ten, w jego obecnym kształcie, staje się naw wewnątrz Z.S.S.R. przeszkodą do dalszego rozwoju socjalizm

Forma którą socjalizm przybrał w Z.S.S.R. jest uwarunko wana historycznie. Poza rosyjskim zacofaniem i brakiem tradyc demokratycznych, przerost aparatu partyjnego i państwoweg

który go cechuje, wynikł z potrzeby szybkiego doścignięcia Zachodu w rozwoju przemysłowym. To pierwsze uprzemysłowienie Z.S.S.R. było konieczne; w tym zakresie Stalin miał słuszność a Trocki się mylił.

Ale metody i formy w jakich to zostało osiągnięte oznaczały polityczną degenerację partii bolszewickiej i państwa radzieckiego. Dostrzegając to Trocki miał słuszność, a Stalin negując — mylił się. Ta właśnie degeneracja Partii i Państwa spowodowała że XX Zjazd Partii skrytykował metody i formy stalinizmu. Ta jednak krytyka Stalina nie była analizą marksistowską — nawet nie dotknęła ona podstawowych przyczyn degeneracji systemu radzieckiego.

Nie dotknęła ona również podstawowych zagadnień stosunku pomiędzy Z.S.S.R. i Demokracjami Ludowymi.

Po roku 1945 Związek Sowiecki był we Wschodniej Europie czynnikiem zarówno postępowym jak i reakcyjnym. Był postępowym w skończeniu z kapitalizmem i feodalizmem, ale równocześnie eksportował system polityczny który stał się już przeszkodą do dalszego rozwoju w samym Związku Radzieckim — i w tym grał on rolę reakcyjną. Nawet gorzej, przystąpił do eksploatacji Demokracji Ludowych z lekceważeniem ich suwerennej równości i narodowej niezależności.

Jasne jest dziś, że polityka Z.S.S.R. w stosunku do Demokracji Ludowych całkowicie zbankrutowała. Doprowadziła ona do rozprzężenia i groźby rozpadu w obozie socjalizmu. Opór Demokracji Ludowych przeciw hegemonii Z.S.S.R. jest zasadniczym punktem rewolucyjnej walki klasowej mas ludowych przeciw stalinowskiemu aparatowi partii i państwa, oraz jego metodom. Gdzie zdrowe siły partii objęły przywództwo tej walki klasowej tam prowadzi ona do regeneracji i odnowienia postępu ku socjalizmowi. Polska jest tu najwyraźniejszym przykładem.

Metody faszystowskie.

W samym Z.S.S.R. stalinowski aparat od chwili zgonu Stalina uświadomił sobie, że staje przed ślepym zaułkiem. Zdecydował się on na poczynienie koncesji dla mas ludowych. Stąd wyprowadza się zarówno linia polityki gospodarczej Malenkowa, jak i krytyka Stalina przez Chruszczewa. XX Zjazd Partii był próbą uprzedzenia grożącej rewolucji oddolnej przez rewizję odgórną dla utrzymania kierownictwa w ręku aparatu. Próba ta nie mogła być skuteczna w praktyce, gdyż samo istnienie aparatu stanowi główną przeszkodę rewizji.

W stosunkach swych z Demokracjami Ludowymi Związek Radziecki po XX Zjeździe Partii próbował narzucić destalinizację tak samo mechanicznie jak poprzednio narzucał stalinizację. To wywołało tarcia i usiłowania Demokracji Ludowych przeprowadzania destalinizacji na własny sposób. To zaś z kolei pobudziło Związek Radziecki do reagowania metodami stalinowskimi czy wprost faszystowskimi. Przykłady: reakcja na wywiad

Togliatti'ego po XX Zjeździe Partii, okólnik radzieckiej part komunistycznej na temat Jugosławii, reakcje wobec Polski i W gier, utrzymywanie stalinizmu w N.R.D.

Jedynym możliwym wnioskiem z tego nawrotu Związku R dzieckiego ku stalinizmowi jest to, że pozbawia on wszelkieg uzasadnienia pretensje Z.S.S.R. do roli kierowniczej w oboz socjalistycznym, niezależnie od faktu że Z.S.S.R. jest najsilnie szym państwem socjalistycznym na świecie. Radziecka Parti Komunistyczna stoi dziś na pozycji nacjonalizmu i stalinizmu aby zejść z tej pozycji musi być zepchnięta co najmniej na lini Malenkowa i stanowisko XX Zjazdu Partii.

3. — NASZ PLAN

Z tego obrazu obecnej sytuacji wyciągamy następujące kon kluzje dla partii S.E.D. oraz dla N.R.D.

PARTIA. Pragniemy zreformować partię od wewnątrz Stoimy przy marksizmie-leninizmie. Odrzucamy stalinizm. W sto sunku do teorii marksizmu-leninizmu znaczy to, że musi być on uzupełniona i rozszerzona przez wzięcie pod uwagę myśli Troc kiego, a nawet więcej, Bucharina (4), Róży Luksemburg (5) oraz częściowo Karola Kautskiego (6); musi być wzbogacon przez krytyczne przyjęcie myśli Fritza Sternberga i innych teo retyków socjal-demokratycznych. Teoria marksizmu-leninizm winna również uwzględnić doświadczenia zgromadzone w Jugo sławii, oraz nowe idee wyłonione z ostatnich teoretycznych dys kusji w Polsce i Chinach. VIII Zjazd chińskiej partii komunis tycznej dostarczył szczególnie ważnych materiałów w tym za kresie.

Reformy państwowe.

W odniesieniu do organizacji następujące posunięcia są nie zbędne: dominacja aparatu partyjnego nad członkami partii mus być radykalnie złamana; ,,demokratyczny centralizm'' należ uczynić rzeczywiście demokratycznym; zasady Marksa, Engels i Lenina winny być przywrócone w praktyce życia partyjnego stalinowcy muszą być wyrzuceni z partii.

PAŃSTWO. Następujące reformy są konieczne: produkcj winna być zaplanowana na nowo z zadaniem podniesienia stan dardu życia mas (linia Malenkowa). Norm pracy nie należy pod nosić. Wprowadzić udział w zyskach w zsocjalizowanych prze mysłach i handlu. Starcze emerytury dla robotników oprzeć n

(4) Rozstrzelany podczas wielkiej czystki Stalina.

(5) Przywódczyni niemieckich komunistów, zamordowana wraz z Lie knechtem w roku 1919.

(6) Niemiecki przywódca socjalizmu, gwałtownie atakowany prz Lenina i wciąż uważany przez radzieckich komunistów za arcy-heretyka.

tych samych zasadach co emerytury dla pracowników umysłowych. Zniesienie przywilejów dla kierowniczych funkcjonariuszy. Rady robotnicze na wzór Jugosławii we wszystkich zakładach uspołecznionych.

Równość w traktowaniu wielkich znacjonalizowanych i drobnych, prywatnych przemysłów.

Zniesienie przymusowej kolektywizacji, jako nie odpowiadającej szczególnym warunkom niemieckiego rolnictwa; likwidacja nieekonomicznych gospodarstw kolektywnych; polityka rolna popierająca małego i średniego rolnika.

Przywrócenie kompletnej wolności myśli. Pokój z Kościołem dla zniesienia alienacji religijnie nastawionej części ludności. Autonomia uniwersytetów.

Pełna restytucja całości prawa. Zniesienie państwowej policji bezpieczeństwa. Zniesienie tajnych rozpraw sądowych. Przywrócenie nadrzędnej władzy parlamentu. Utrzymanie systemu blokowego pod przewodnictwem zreformowanej partii S.E.D. Wybory w systemie jednej listy ale z większą liczbą kandydatów niż miejsc aby dać wyborcy rzeczywistą szansę wyboru.

W polityce zagranicznej utrzymanie obecnych aliansów z krajami obozu socjalistycznego z zastrzeżeniem pełnej niepodległości i równości; wspólna polityka winna być swobodnie uzgadniana w równych i niezależnych konsultacjach z wszystkimi innymi Demokracjami Ludowymi.

4. — JEDNOŚĆ WSZECHNIEMIECKA

Jeżeli przeprowadzimy te reformy i osiągniemy wyższy standard życia (nawet gdyby pozostawał on niższy od zachodnioniemieckiego) to będziemy mogli rościć sobie prawo do stawiania warunków zjednoczenia również i Zachodnim Niemcom. Zasadą naszej polityki niemieckiej jest że zjednoczenie nie może oznaczać restytucji kapitalizmu.

Zanim będziemy mogli zjednoczyć się z Zachodnimi Niemcami przyszła większość socjal-demokratyczna w Bundestag będzie musiała przeprowadzić następujące zarządzenia w Republice Federalnej:

Odwrócenie procesu remilitaryzacji. Wycofanie się z NATO. Usunięcie faszystów i militarystów z administracyjnych stanowisk w Republice Federalnej. Znacjonalizowanie kluczowych przemysłów. Reforma rolna — parcelacja wielkich majątków gdy będzie to gospodarczo i politycznie uzasadnione. Reforma nauczania: wyższe wykształcenie nie może pozostawać przywilejem bogatych.

Przy takiej polityce Socjal-Demokratów będziemy się mogli zgodzić na wszechniemieckie wolne wybory. W tych wyborach siły reakcyjne Republiki Federalnej i stalinowcy Republiki Demokratycznej niewątpliwie zostaną ujawnieni jako izolowane mniejszości.

Jesteśmy świadomi tego, że w podobnych warunkach parti
Socjal-Demokratyczna prawie na pewno uzyska większość w ca
łych Niemczech. Zreformowana partia S.E.D. będzie musiał
bezwarunkowo uznać i uszanować taką decyzję narodu niemiec
kiego.

5. — JEDNOŚĆ ROBOTNICZA

Wstępnym warunkiem przyszłej jedności ruchu niemiecki
klasy robotniczej jest partia S.E.D. uwolniona od stalinizm
i całkowicie niezależna od obcych partii w swej ideologii i pol
tyce. Po przeprowadzeniu naszej zamierzonej reformy parti
S.E.D. będzie po prostu lewoskrzydłową partią marksistowską
która nie będzie mieć nic wspólnego z partią komunistyczną sta
rego typu, jaką stała się ona przez stalinowską degenerację. T
usunie główną przeszkodę do zjednoczenia ruchu robotniczego

Ponieważ w Zachodnich Niemczech jedność niemieckiej kla
sy robotniczej osiągnięta została w ramach partii socjal-demo
kratycznej, przeto przyszły zjednoczony ruch robotniczy będzi
więcej zbliżony do typu partii socjal-demokratycznej, wobec je
większego znaczenia, niż do partii S.E.D. Ale będzie on niewąt
pliwie posiadać silniejsze lewe skrzydło niż obecna partia socjal
demokratyczna. Zanim jednak będziemy mogli zwracać się d
Socjal-Demokratów i stawiać im żądania musimy przedtem
przyjrzeć się belce w naszym własnym oku.

Obecnie dzieli nas od Socjal-Demokratów wiele z tego c
u nich krytykujemy (burżuazyjne iluzje demokratyczne, tendencj
oportunistyczne itd.), ale główną rzeczą która nas od nich dzieł
jest nasz własny stalinizm. Stąd partia S.E.D. musi przed
wszystkim oddzielić się od stalinizmu zanim współdziałanie z par
tią S.D. stanie się rzetelnie możliwe.

Dopiero kiedy oczyścimy się z naszych własnych błędów, bę
dziemy mogli krytykować błędy Socjal-Demokratów, ale i wtedy
zniesławianie Socjal-Demokratów jako agentów kapitalizmu mus
być raz na zawsze wykluczone.

Jednakże — jako pierwszy krok ku przyszłemu współdzia
łaniu — jedno może być możliwe już obecnie : to jest konspira
cyjna współpraca towarzyszy opozycyjnych z partii S.E.D
z S.D. dla zwalczania stalinizmu w N.R.D. Gdy zaś antystali
nowska opozycja uzyska wewnętrzną kontrolę nad partią S.E.D
wtedy nastąpi oficjalny kontakt między S.D. i zreformowan
partią S.E.D. Z tego mogą się rozwinąć zarodki przyszłego zjed
noczenia, choć żadna z tych partii nie powinnaby wchłonąć dru
giej. Żaden ze stalinowców, który choćby w najmniejszym stop
niu brał udział w zbrodniach grupy Ulbrichta nie może być do
puszczony do nowej partii robotniczej, do której wejść winn
tylko ci którzy aktywnie walczyli przeciw stalinowskiej degene
racji S.E.D.

6. — NASZA OBECNA TAKTYKA

Przeciw nam stoi partia stalinowców i aparat państwowy. Ten reakcyjny aparat będziemy musieli zwalczać wszelkimi rozporządzalnymi środkami. Podstawą naszej opozycyjnej działalności są : statut S.E.D., XX Zjazd Radzieckiej Partii Komunistycznej oraz rezolucje 28 plenarnej sesji Centralnego Komitetu S.E.D. Na tej podstawie mamy zamiar prowadzić otwartą i legalną opozycję. Jesteśmy jednak gotowi zastosować metody frakcji i konspiracji jeżeli będziemy do tego zmuszeni.

Nawiązujemy kontakt z opozycyjnymi siłami w Demokracjach Ludowych i porównywujemy nasze obserwacje.

Opozycyjni towarzysze winni szukać ścisłego kontaktu z ludem ; krytykować politykę przywódców partyjnych, pogłębiać rozłam pomiędzy ludnością a obecnym przywództwem ale równocześnie zapobiegać wybuchowi ludowego powstania.

Niebezpieczeństwo powstania ludowego w N.R.D. istnieje jeśli stalinowska grupa Ulbrichta trwać będzie przy władzy a siły opozycji nie zdołają usunąć stalinowców z przywództwa. Jeżeli jednak zdołamy od wewnątrz zreformować partię na zasadach niniejszej propozycji to nie będzie drugiego powstania ludowego w N.R.D.

Jest zatem naszym obowiązkiem uczynić wszystko co jest w naszej mocy aby oczyścić partię ze stalinowców i poprzez zmianę polityki odzyskać zaufanie klasy robotniczej oraz całej ludności.

WOLFGANG HARICH

Profesor Wolfgang Harich, lat 36, został niedawno skazany we Wschodnim Berlinie na dziesięć lat więzienia za zdradę. Według oskarżenia był on czynnikiem kierowniczym reformistycznego ruchu intelektualistów i członków partii we Wschodnich Niemczech, którzy ubiegłej jesieni usiłowali obalić reżym Ulbrichta.

Aż do chwili aresztowania profesor Harich zajmował katedrę nauk społecznych na uniwersytecie wschodnio-berlińskim — stanowiącą prawdopodobnie najważniejszą pozycję akademicką we Wschodnich Niemczech. Poniższe memorandum, które na język angielski tłumaczył Sebastian Haffner, pisane było przez Haricha w ostatnich dniach przed jego aresztowaniem i przekazane Socjal-Demokratom w Berlinie Zachodnim. Widoczne są w nim oznaki pośpiesznej kompozycji a w podkreślaniu pewnych stwierdzeń jest ono zapewne zabarwione przez skierowanie go głównie do Socjal-Demokratów.

(„The Observer", 17 marzec 1957).

Londyński korespondent „Kultury" : Juliusz MIEROSZEWSKI,
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Cena ogłoszeń : cała strona 20.000 frs., 1/2 *strony* 10.000 frs.
(*w tekście* + 50%; *okładka* + 100%).

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4ᵉ)

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal : 2ᵉ Trimestre 1957

KULTURA

REDAKTOR : **JERZY GIEDROYC**
Adres Redakcji :
91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).
Telefon : Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczno
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15 th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, «Libreria Polaca», Serrano 2076, Buenos Aires	17 peso	102 peso	204 peso
AUSTRALIA : «Vistula» (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia Kietlinska,** Av. Batel 1514, Curitiba Parana; **Hanna Lekszycka,** r. Guiara 139, vila Pompeia, Sao Paulo	40 cruz.	200 cruz.	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
FRANCJA : «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris-4	180 fr.	800 fr.	1.800 fr.
HISZPANIA: Wl. Pajor, Paseo de los Olivos 93, Madrid		120 peset	240 peset
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA : Jaxa-Debicka, 220 Howard Park Ave, Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W, Toronto Ont.; **K. Krakowska,** 3445 Marlove Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; **St. L. Lemanski,** 472 Aikins St., Winnipeg/Man.; **H.R. Radomski,** 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel.: HY-0829; **«Zwiazkowiec»,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel.: LE 1-2491	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Apartado Postal 294, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY : «Ostatnie Wiadomosci», Gendarmerie Kaserne, Mannheim-Schoenau; **St. Mikiciuk,** (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/I	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	3 sh 9 d.	21 sh.	42 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève. Tel.: 32-32-92. Nr konta poczt. I.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25,00 fr. s.
SZWECJA : Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, «Gryf Publ.», 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; **L. Dudarew Ossetynski,** 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; **S. Dziarczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, California; **M.K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; **T. Konopacki,** 1471 Lakeland Ave., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 183 Chancellor Ave, Newark 8, N.Y.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book C°** 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; **The Polish Book Importing C°, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; **K. Trojanowski,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA : «Gryf» Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh 9 d.	21 sh.	42 sh.
WLOCHY : Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 30 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :
Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Imprimerie RICHARD, 24, rue Stéphenson, Paris (XVIII°).

Cena 180 frs.